

ŚCIEŻKI WYOBRAŹNI

Sztuka przegrywania



SZTUKA PRZEGRYWANIA

Antologia
Sekcji Literackiej
Śląskiego Klubu Fantastyki



Śląski Klub Fantastyki
Katowice 2021

**Sztuka przegrywania – Antologia Sekcji Literackiej Śląskiego Klubu Fantastyki © 2021
Śląski Klub Fantastyki**

Redakcja i korekta:

Alicja Tempłowicz
Anna Askaldowicz
Anna Hrycyszyn
Anna Kańtoch
Krzysztof Wójcikiewicz

Ilustracje:

Alicja Tempłowicz

Okładka:

Alicja Tempłowicz

Skład i łamanie:

Michał Dagajew

Wydawca:

Śląski Klub Fantastyki
ul. A. Górnika 5
40-133 Katowice (Koszutka)

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej książki nie może być powielana ani rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny), włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-931240-7-7

WSTĘP

To już piąty zbiorek przygotowany dla Was, czytelników, przez sekcję literacką *Logrus*. W pierwszym bawiliśmy się w Boga, w drugim rozważaliśmy potencjalne związki między skafandrem a melonikiem (jeśli macie skojarzenia z science fiction oraz steampunkiem, to idziecie słusznym tropem), w trzecim stanęliśmy na rozstajach, a w zeszłym roku zwiedzaliśmy inkszy welt. Teraz przyszedł czas przekonać się, jak w interpretacji sześciorga autorów ze Śląskiego Klubu Fantastyki wygląda „*Sztuka przegrywania*”.

Znajdziecie w tym tomie rasowe science fiction, zarówno bliskiego, jak i dalekiego zasięgu, fantasy czerpiące z dziejów polskiej historii i fantasy bardziej klasyczne, melancholijną opowieść w egzotycznym, japońskim klimacie oraz współczesną interpretację motywu faustowskiego. Czy wszystkie te historie kończą się źle, a ich bohaterowie przegrywają? Cóż, o tym musicie się przekonać sami – ja tylko powiem, że każde z tych opowiadań zdecydowanie warto jest przeczytać, a interpretacja tytułu antologii okazała się wcale nie tak oczywista, jak mogłoby się wydawać.

Jest to jednocześnie druga antologia, którą wydajemy w trakcie światowej pandemii. To czasy niełatwe dla nikogo, ale paradoksalnie akurat sprzyjające czytelnictwu. Mamy więc nadzieję, że zanurkowanie w fantastyczny świat „*Sztuki przegrywania*” pozwoli wam oderwać myśli od rzeczywistości za oknem, a za rok spotkamy się przy okazji wydania następnej antologii – oby w lepszych okolicznościach.

Anna Kańtoch

SPIS TREŚCI

WSTĘP <i>Anna Kańtoch</i>	3
POZA SIÓDMYM <i>Marta Magdalena Lasik</i>	7
JEDNA Z TYCH DOBRYCH <i>Krystyna Chodorowska</i>	35
O KOBIECIE OD KURCZAKÓW <i>Marta Ryczko</i>	65
SPOWIEDŹ KAPITANA NEUMANNA <i>Michał Niedźwiedzki</i>	99
NIEPOJEDNANI <i>Anna Askaldowicz</i>	137
TO, CO ZOSTAJE <i>Paula Wanarska</i>	161

Marta Magdalena Lasik
POZA SIÓDMYM



Czwarty

Rotunda w Czwartym Kręgu wyglądała tak samo jak w Pierwszym, Drugim i Trzecim. Była prostym budynkiem o białych ścianach pozbawionych okien. Każde piętro stanowiło labirynt korytarzy w tym samym kolorze co fasada, prowadzących do niewielkich pomieszczeń, w których znajdowały się tylko dwie rzeczy: krzesło i łóżko immersyjne. To pierwsze dla nadzorującego próbę Opiekuna, to drugie dla dziecka. Bez takiego sprzętu żadne nie mogłoby zanurzyć w wizarze nawet opuszków palców; implementację wszczepu przeprowadzano dopiero przy opuszczaniu Siódmego Kręgu, w chwili gdy pozwalano na przejście w świat dorosłych – świat na zewnątrz.

Podchodząc do próby, Iza starała się myśleć o ostatecznym celu. O dniu, kiedy wejdzie w dorosłość i dostanie swój wszczep, ale pierwszy raz od lat skupienie się na tym nie było proste. Gdy siadała na krawędzi łóżka, jej myśli błądziły wewnątrz Czwartego Kręgu zamiast wybiegać w dal. Stała prawdopodobnie u progu swojej ostatniej próby, ostatniego zmierzenia się z samą sobą, zanim nie przejdzie do Piątego, ale nawet to nie stanowiło prawdziwego źródła jej niepokoju. Nie bała się Piątego. Wyczekiwała go.

Położyła się na ciepłym materacu, jak robiła to setki razy. Nad nią biały sufit przechodził w białe ściany tak płynnie, że nie dostrzegała miejsca styku. Nie znalazła w nim niczego, co mogłoby rozproszyć myśli, skierować je w konkretną stronę, odwrócić jej uwagę, nakierować na cokolwiek. Był neutralny, kojący, ale tym razem Iza odwróciła od niego oczy. Spojrzała w bok, gdzie Opiekunka Elena ustawiała parametry symulacji. Na twarzy kobiety gościł ciepły uśmiech i w ostatnich latach zwykle to wystarczyło, żeby przegnać czarne myśli z głowy Izy. Nie tym razem.

– Gotowa?

Przytaknęła nieszczęrze i świat wokół się rozpląnął.

* * *

Z powijarowej śpiączki obudziła się poza Rotundą. Za na wópół wyprzezroczoną ścianą pokoju zapadł już zmrok. Zarysy przeciwnieległego budynku mieszały się z odbiciem wnętrza – łóżka, biurka i siedzącej przy nim Opiekunki. Przez chwilę Opiekunka Elena wyglądała, jakby wcale jej tu nie było; nie duchem. Nieskupione spojrzenie w dal, nienaturalnie statyczne ciało – pozostawała zanurzona w wirtualnym świecie. Tu, w jej własnym pokoju, bez łóżka immersyjnego. To wydawało się niesamowite, wspinała i przez moment Iza myślała tylko o tym, że kiedyś też tak będzie mogła.

Chwila minęła i Opiekunka Elena zamrugwała, odetchnęła głębiej i spojrzała bardziej przytomnie.

– Dobry wieczór, Izo. Jak się czujesz?

– Dobrze... Ile spałam?

– Sześć godzin.

Dwa razy dłużej niż trwała sama próba.

Co prawda Izie zdarzało się spać jeszcze więcej, ale to było marne pocieszenie. Wielogodzinne lagi ją irytowały. Sześć godzin w komie to sześć godzin, których nie mogła poświęcić na żadną z lubianych rzeczy. Nie mogła w tym czasie nauczyć się czegoś nowego, porozmawiać z kimś, obejrzeć odcinka dramy, bo spała, a na koniec wcale nie czuła się wypoczęta. Wręcz przeciwnie. Jej ruchy były ociężałe, oczy szczypały, a kojarzenie rzeczy szło opornie.

To było normalne, ale i tak frustrujące.

– Jak mi poszło?

Zamiast odpowiadać, Opiekunka podała jej tablet z mapą symulacji. W Trzecim Kręgu Opiekunowie jeszcze podpowiadali ich interpretację. Nie wprost, ale zadając pytania, nakierowując w sposób, którego Iza na początku nie zauważała. W Czwartym rzadko robili nawet to. Trzeba było ich ciągnąć za język i z jednej strony dziewczyna to lubiła, czuła, że wszystkie decyzje są bardziej jej, z drugiej teraz wolałaby usłyszeć proste procentowe stwierdzenie albo nawet słowną ocenę. Dobrze, źle, tak sobie. Cokolwiek, co zdjęłoby z niej konieczność wyciągnięcia wniosków z oktogonalnej wielobarwnej mapki mocnych stron jej próby. Ale Opiekunka nie skomentowała ani tego, jak mocno Iza zacisnęła dłoń na tablecie, ani jej milczenia, ani tego, jak skrzywiła się, gdy w końcu spojrzała na rezultaty.

Nie były złe i nie były dobre, a co ważniejsze: nie zaskoczyły jej. Patrzyła na nie i powoli docierało do niej, że dokładnie takich

się spodziewała, kiedy dziewięć godzin temu kładła się na łóżku immersyjnym w Rotundzie. I to właśnie tej przeciętności się obawiała. Strach znowu wpełził jej pod skórę, wlał się ołowiem w dłonie i przydusił klatkę piersiową. Dwa głosy w głowie mówiły dwie różne rzeczy. Jeden nalegał, aby odpuścić w końcu i skupić się na rzeczach, które szły jej lepiej, do których miała więcej talentu i cierpliwości. Drugi powtarzał, że jeśli to zrobi, będzie zdrajczynią.

Oba należały do niej.

– To była długa próba. – Słowa opiekunki wdarły się w jej myśli. – Zostawiłam ci jedzenie do odgrzania w aneksie. Zjedz je, proszę, a potem odpocznij. Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała, wyślij mi wiadomość.

Iza nie miała ochoty jeść, a jeszcze bardziej nie chciała spać. Była zmęczona, ale zbyt wiele myśli kotłowało się w jej głowie, żeby była w stanie zasnąć.

– Czy to minie? – zapytała, przez moment sama nie będąc pewna, o co naprawdę pyta: o lagi, o rosnące poczucie winy, czy może... – Chodzi mi o tak długie lagi? – dodała, aby samą siebie powstrzymać od dalszego roztrząsania tematu. – Niektórzy budzą się już po piętnastu minutach od wylogowania. Tomek może nurkować, na jak długo chce i jak często chce bez żadnych lagów.

Opiekunka przystanąła w drzwiach pokoju, odwróciła się i w przyciemnionym świetle Iza dostrzegła na jej twarzy wahanie, którego nie umiała wyjaśnić.

– Każdy jest inny, Izo. – Znała ten ton. Wszyscy Opiekunowie dysponowali jakimś jego wariantem. Był łagodny, a zarazem jasno dawał do zrozumienia, że na dane pytanie nie udzieli konkretnej odpowiedzi. Dlaczego? Bo tak, bo zasady, powody i jeszcze nie czas. – Niektórym nurkowanie przychodzi łatwiej niż innym, niektórzy lepiej radzą sobie ze skutkami ubocznymi. Częścią procesu dorostania jest zrozumienie, jakie są mocne i słabe strony nie tylko twojego umysłu, ale również twojego ciała. A teraz zjedz, proszę, i odpocznij.

Na moment rozbłysło światło w przedpokoju, a potem kliknęła zamek drzwi. Leżąc na łóżku, Iza nie widziała, jak Opiekunka Elena wychodzi, ale słyszała charakterystyczne stuknięcie obcasa o niepokrytą wykładziną podłogę korytarza, odgłos zamykających się drzwi i piknięcie uzbrajającego się zamka.

Westchnęła i usiadła powoli.

Pełna wirtualna rzeczywistość nie jest dla każdego – to jedna z pierwszych lekcji o niesprawiedliwości świata, jakie otrzymywały dzieci jeszcze w Pierwszym Kręgu. Iza żywiła nadzieję,

że odpowiedni wszczep byłby rozwiązaniem dla niej, ale nikt nie dałby na to gwarancji.

Opiekunka się nie myliła. Każdy miał tak swoje mocne strony, jak i ograniczenia. Iza spojrzała na leżący obok tablet z ciągle wyświetlającym się na nim oktagonem – jej limity wyrażały się w lagach trwających długie godziny i byciu przeciętną artystką.

Mogę z tym żyć – stwierdziła w myślach.

* * *

Ale to, że ona tak stwierdziła, nie oznaczało jeszcze, że cały świat myślał podobnie. Opiekunowie zawsze służyli wsparciem, pozostawali neutralni i można się było przejrzeć w nich jak w lustrach. Ale z czasem – choć najbliżsi i najdrożsi – stawali się coraz odleglejsi, bo nigdy nie wyszli poza Siódmy. Otrzymali wszczepy, ale na zawsze pozostali w kręgach, by opiekować się dziećmi. Jeśli Iza chciała osiągnąć sukces na zewnątrz, to tak naprawdę żadne z nich nie mogło być dla niej wzorem. Ich akceptacja, ich potakiwanie nie wystarczyło. A inni wychowankowie – co myśleli o jej decyzji? Maria...? Maria to Maria – lubiła mówić Iza, gdy w rozmowach ktoś zaczynał komentować zachowanie jej przyjaciółki. A teraz siedziały po dwóch stronach stolika w niewielkiej kawiarni, którą polubiły już w pierwszych tygodniach pobytu w Czwartym. W jej monochromatycznym wnętrzu Maria zawsze wyglądała, jakby sama była dziełem sztuki – świeżym, budzącym zachwyt tropikalnym kwiatem. Chwilę temu prezentowała się jeszcze piękniej, ale potem Iza pokazała swój ostatni oktagon i uśmiech zniknął z jej twarzy, jasność w zielonych oczach przestała przypominać ciepłe światło słońca, a stała się podobna do zimnego blasku błyskawicy.

– Nie pytałam o wynik, a o to, co stworzyłaś. Nie interesują mnie te durne mapki.

– Ale one mają znaczenie. Gdyby go nie miały, to w ogóle by ich nie było.

Maria wzruszyła ramionami. Włosy w kolorze nieba nad Saint-Raphaël zatańczyły wokół jej twarzy, dodając gestowi teatralności.

– Kreatywność, wydajność... Nowatorstwo. Sztuki nie da się mierzyć w ten sposób. Mapki mogą być dla wyrobników, nie dla artystów. Sztuki nie da się skwantyfikować.

– Nie da się...

Maria miała rację. Z drugiej strony istniały przecież statystyki oglądalności, w newsach mówiono, ilu fanów ma ta, a ile tamta aktorka, organizowano konkursy, plebiscyty. Podawano, jak wiele osób odwiedziło wystawę tego czy tamtego malarza i kto w tym roku zgarnął najwięcej głosów w igryskach pięciu sztuk. I te wyniki przekładały się na kolejne role, wystąpienia, wystawy. Iza nie powiedziała tego jednak głośno, bo przerażały już ten temat rok, a może dwa temu i doszły do wniosku, że nie można oceniać jakości sztuki jej popularnością. Z trzeciej strony jeśli miały zawojować świat na zewnątrz, musiały tworzyć coś, co zachwyci tłumy, a jeśli gusta tłumy były uwzględnione w oktagonalnej mapce, to rokowania Izy nie były najlepsze.

– Pamiętasz, jak w Drugim dostałyśmy podobne wyniki z tańca i postanowiłyśmy dalej nie brnąć w tę gałąź? – Wspomnienie tamtych czasów dało jej nadzieję, że znajdą wspólny język i wszystko jakoś się ułoży.

Szklanka z wodą uderzyła o blat nieco głośniej, niż powinna, i Iza mimowolnie napięła mięśnie, jakby miała lada moment rzucić się do ucieczki.

– To było zupełnie co innego. Taniec to tylko gałązka, odnoga i nawet najwięksi z największych nie są doskonali w każdej z dziedzin sztuki. Może Ah-Yue jest, ale nie słyszałam nigdy o kimś równie wszechstronnym, co ona. Jest ideałem, do którego można dążyć, ale niewielu go osiąga i tyle. Jednak to była próba łączna wielu gałęzi, tylko Ah-Yue mogłaby w niej zwyciężyć.

– To nawet nie chodzi o zwyciężenie, ale mnie poszło... średnio. – Iza obróciła tablet w swoją stronę i włączyła go. Ekran rozbłysnął wzorem, który przez ostatnią dobę zdążył wypalić jej się pod powiekami.

– To zrób ją jeszcze raz, jeśli tak ci to przeszkadza.

Tylko że Iza miała pewność – przy kolejnym podejściu wcale nie pójdzie jej lepiej. Naprawdę dała za siebie wszystko za pierwszym razem. Spędziła trzy godziny czasu rzeczywistego, odpowiadając na pytania, a potem tworząc dzieło – obraz wszystkiego, co mogła zaoferować światu. Było najlepszym, co kiedykolwiek stworzyła, ale sama przed sobą umiała przyznać, że nie zwałało z nóg. A na mapce wypadało wręcz bladło przy kilku innych próbach z ostatnich miesięcy.

– Nawet nie waż się myśleć o zrezygnowaniu z tej gałęzi.

Próbach, które sprawiły jej wiele frajdy.

Gdyby trzy, cztery lata temu ktoś powiedział Izie, że w przyszłości symulacje z termodynamiki będą ją ekscytowały bardziej niż kreowanie przestrzeni, to nie uwierzyłyby, i to nie tylko dlatego, że wtedy nawet nie wiedziała, czym jest termodynamika. Zanim przyszła na spotkanie, przemyślała swój wynik wiele razy. Przemyślała sobie całą tę gałąź i była pewna, że wie, co robi, rozumie swoją decyzję i potrafi ją obronić. Miało to wszystko pięknie przygotowane i może przed każdą inną osobą dałaby radę, ale nie przed Marią. Ta gałąź znaczyła w ich relacji zbyt wiele.

Przez lata dzieliły wiele marzeń, ale były to zwykle małe marzenia małych dzieci. To było inne. Zrodziło się jeszcze w Pierwszym Kręgu. Miały po cztery, może pięć lat i patrzyły w stronę wyższych budynków Drugiego, jeszcze wyższych Trzeciego, Czwartego i Piątego, wiedząc, jaki jest ich cel – wyjść do świata dorosłych, poza Siódmy, razem jako wielkie artystki, twórczynie. Dorastając, pielęgnowały to marzenie i wydawało się, że nic nie stanie im na przeszkodzie. A teraz, zaledwie w Czwartym Kręgu, wszystko miało runąć, i to przez nią, przez Izę. Poczucie winy zakiełkowało w dole jej brzucha, zacisnęło się na jelitach i naparło na pęcherz. Przez tyle lat wspierały się wzajemnie we wspólnym marzeniu. Maria Izę, Iza Marię. Były w tym we dwie, a teraz...

– Ty już jesteś artystką. Twoje prace są lepsze od prac wielu artystów z zewnątrz, których pokazują w programach. A ja... – Iza spróbowała załagodzić sytuację, przedstawić swoją decyzję w skali szarości, a nie czerni i bieli. – Będę tworzyła hobbystycznie, ale nie zostanę profesjonalną artystką! Ty tak. Jestem tego pewna i chcę to zobaczyć, chcę móc mówić, że znałam cię, jeszcze zanim stałaś się sławna. – Miała nadzieję, że to uspokoi sytuację, że próżność Marii na moment przyćmi jej oburzenie, ale się pomyliła. Zrozumiała to, zanim jakiegokolwiek słowo opuściło usta jej przyjaciółki, ale już było za późno.

– Hobbystycznie... Do szuflady, we własnej głowie, wstydliwie w ciemnym kącie? To po co w ogóle? Sztuka jest po to, żeby być podziwiana.

– Tobie pokażę, co-

– Poddajesz się. Po prostu się poddajesz i próbujesz ubrać to w ładne słowa. To było nasze marzenie. Nie moje, nie twoje, a nasze. Było. Dziesięć lat marzenia wyrzucone do śmieci, bo ty wolisz iść na łatwiznę, zaufać mapkom i spędzić życie, słuchając poleceń i robiąc dokładnie to, co ci każą i jak ci każą. Robiąc byle jakie rzeczy, których nikt nie zapamięta. Odtwórcze, bezpieczne...

Jak maszyna. – Maria już nie patrzyła na Izę. Zamiast tego spoglądała za okno, jakby chciała podkreślić, jak bardzo ją to wszystko obrzydza. – Będziesz biologicznym przedłużeniem jakiejś windy, układu wentylacyjnego czy czegoś równie fascynującego.

Iza podążyła za jej spojrzeniem, aby nie odpowiedzieć, nie wyjaśnić, co obecnie ją fascynowało, nie brnąć w niuanse, bo nie miały znaczenia. Dla Marii świat dzielił się na sztukę i wszystko inne, i nie było to nic nowego. Maria nigdy się z tym podejściem nie kryła i Iza nie mogła udawać, że jest jej słowami zaskoczona. Może trochę ich doborem i tym, jak głośno Maria mówiła, ale nie sensem. Spodziewała się go tak, jak spodziewała się swojego wyniku.

Plac za oknem był niemal pusty. Zielone światło rozwieszonych nad nim reflektorów zalewało go i malowało rozgwiazdy cieni. Po jego drugiej stronie na ławce siedziała Opiekunka. Skrajem szedł któryś z wychowanków w żółtym płaszczu, tylko nieco mniej przyciągającym spojrzenie niż biały uniform Opiekunki. Nie spieszył się – do ciszy nocnej zostało jeszcze dużo czasu. Za nimi rozciągała się ciemność i całość wyglądała nieco nierealnie, pięknie jak na obrazie – dziele sztuki. Iza odwróciła wzrok, ale nie napotkała twarzy Marii, a jedynie jej kolorowy sweter. Przyjaciółka już wstała, patrzyła ponad głowę Izy, poprawiając torebkę na ramieniu. Nie spojrzała w dół, nawet gdy odezwała się po raz ostatni.

– Żałosne.

Wysunęła się zza stolika i wyszła. Przez jedno uderzenie serca Iza chciała za nią pobiec. Tak naprawdę rozmowa nie przebiegła źle. Mogły być łzy, krzyki, naleganie i szantaż. Maria była emocjonalną bombą i chłodne wyrzuty nie stanowiły najcięższego działu w jej arsenale. Ot, tym razem po raz pierwszy Maria skierowała je przeciwko Izie. Dziewczyna odchyliła się na krześle i spojrzała w namalowane na suficie rozgwieżdżone niebo. Układ gwiazd nie pasował do niczego, co było widać z Ziemi, i kiedyś z Marią wyznaczyły na nim swoje własne konstelacje. Bezpośrednio nad stołem był Siódmy – pięć jasnych gwiazd równie dobrze mogących wyznaczać granice okręgu co pięciokąta, wybrały to pierwsze. Kawałek dalej, bliżej okienka odbioru, znajdował się Pędzel, a obok niego Dłuto. Chciały umieścić na tym fikcyjnym niebie wszystkie muzy, ale okazało się za małe. Może w Piątym było podobne miejsce, choć większe, i tam mogłyby spróbować raz jeszcze. Iza jednak się na to nie nastawiała.

* * *

W antycznych tekstach opisano pierwszy grzech – skazę, z którą przychodzimy na świat, ale w nieprecyzyjnym języku metafor nie zostawiono wskazówki, gdzie jej tak naprawdę szukać. Czym była w istocie, gdzie tkwiła w ludzkim ciele, jak się jej pozbyć? Nieważne, jakie postępy czyniła medycyna, nie potrafiono jej odnaleźć, aż w końcu odpowiedź przyszła z zupełnie innej strony.

Światopogląd
– orzekli myśliciele –

ciężar skazonych umysłów dorosłych przekazywany dzieciom.

W odległej przeszłości rodzice wychowywali dzieci obok siebie i przez to musiały one dorastać pośród dorosłych. Codzienne troski zalewały ich umysły, a one same stawały się więźniami światopoglądu ludzi, którzy sprowadzili je na ten świat, by potem zrobić dokładnie to samo swojemu potomstwu. Niekończący się cykl dobrych intencji i bólu, który należało przerwać.

I tak uczyniono.

* * *

Koniec końców Iza spróbowała raz jeszcze.

* * *

Oczywiście, że spróbowała, przekonana, że chce to zrobić, nie dlatego, że musi. Opiekun Kamil towarzyszył jej w Rotundzie, ustawił symulację i życzył powodzenia, gdy świat powoli rozpląwał się wokół niej, a jedenaście godzin później, kiedy wybudziła się z zaledwie dwugodzinnej komy, siedział na krześle obok łóżka, uśmiechając się łagodnie. Gdy podał jej tabletki, prawie parsknęła śmiechem – oczywiście poszło jej nijako.

* * *

Wysłała swoje wyniki do Marii jeszcze tej samej nocy i ledwie wiadomość wyszła z jej konta, włączyła tryb prywatny „uwzględnij wszystkich”. Nie miała ochoty na żadne rozmowy. Opiekunowie, znajomi, koleżanki, koledzy, przyjaciółki – wyłączyła każdego. Zjadła odgrzany obiad i obejrzała powtórkę „Wszystkich Światów Ann May z Ann May”. Jaskrawe kolory Lazurowego Wybrzeża, morza, sukni i flajerów wylały się ze ściany. Plotki, spiski, oskarżenia

i historii opowiadane z lampką chardonnay rocznik 2113 w dłoni. Pewnego dnia razem z Marią miały należeć do tego świata, tak miało wyglądać ich życie – to było ich wielkie marzenie.

Było.

Nie zamierzała próbować po raz trzeci. To nie gra, żeby bawić się w do trzech razy sztuka. A nawet jeśli, Iza potrafiła przyznać przed samą sobą, że przegrała. Koniec!

– Było – powiedziała głośno i tym razem nie zabrzmiało to źle. Nie dobrze, ale zdecydowanie lepiej, niż gdy mówiła to Maria. – Ktoś musi tuningować sekwencje snów, programować boty kuchenne i naprawiać windy. Ktoś zaprojektował te piękne domy i flajery, skonfigurował maszyny, dostarczył je, zainstalował. Tym kimś mogą być ja.

Skupiła się na tym. Wyłączyła plejer w połowie odcinka i znalazła na tablicie swoje drzewo rozwoju. Wyświetliła je na oknie i przyjrzała mu się z daleka, a przynajmniej z tak daleka, jak dało się w jej pokoju. Sięgało ledwie do połowy wysokości ściany – taka sugestia, ile rzeczy pozostało jeszcze do odkrycia w kolejnych kręgach. Niektóre z konarów miały smutny, nadgniły kolor – drogi, które już porzuciła. Była tam na przykład ta z okresu, kiedy Iza pasjonowała się sekretami sprzed wieków. Jeszcze zanim opuściła Trzeci, zrozumiała, że na dłuższą metę ją to nuży (wówczas Maria nie protestowała). Inna gałąź reprezentowała zawilosci ludzkiego organizmu – kiedyś dziewczynę fascynowały, ale szybko uznała, że nie ma do tego drygu. Patrząc na zwiędłe konary, miała wrażenie, że nie, tym razem wcale nie odpuszczała za szybko. Wręcz przeciwnie, nierozsądnie długo trzymała się tego marzenia – jak dziecko, którym już przecież nie była. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Jego powierzchnia pozostawała chłodna pod opuszkami palców, gdy przesuwiała nimi po gałęzi artystycznej. To była duża gałąź, prawdziwy konar, ale w ostatnich latach zamiast wznosić się, rósł coraz bardziej poziomo, dokarmiany tylko autoplgiatem, brakiem wyobraźni, utknięciem w schematach, z których Iza nawet nie chciała się wyrwać. A to oznaczało, że w pewnym sensie podjęła decyzję już dużo wcześniej, tylko nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Powinam była się domyślić, że tak to się skończy. – Roześmiała się i pozwoliła gałęzi ściemnieć.

Piąty

Piąty Krąg przyniósł ze sobą prywatne kuchnie w miejsce wspólnych stołówek i niewielkich aneksów, gdzie dało się jedynie

zaparzyć pobudzacz albo odgrzać przyniesione w pudełku jedzenie, brak obowiązkowej ciszy nocnej zaraz po wyłączeniu prądu, więcej zajęć, nowe, interesujące jasnozielone gałęzie na drzewie rozwoju, nowych znajomych i przyniósł też Mateusza, który szybko stał się kimś więcej niż kolegą. A nim skończył się drugi rok, przyniósł również powrót Marii.

To nie było zaplanowane.

Nie przez Izę, ale gdy później o tym myślała, doszła do wniosku, że powinna się tego spodziewać. Nie rozmawiały od tamtego wieczoru, gdy przesłała Marii wyniki swojej ostatniej próby i dostała w odpowiedzi tylko krótkie: „Nie mam ci nic do powiedzenia”. Wspólni znajomi dostosowali się do nowej dynamiki i nawet nie widywały się z daleka. Ale Iza nie umiała po prostu zapomnieć. Odruchowo zaczynała słuchać, gdy ktoś o nich mówił, nawet jeśli była w połowie innej rozmowy. Miała ustawione filtry wyszukujące w feedzie informacje o wystawach Marii, ich opisy, recenzje poszczególnych prac. Stąd wiedziała, że ta weszła w Piąty z przytutpem.

Szybko stworzyła sobie miejsce pośród starszych roczników, jej pierwsza wystawa wstrząsnęła publicznością, kolejna, audio-wizualna, wywołała poruszenie, a potem już poszło. Zdaniem Izy nadal bardzo dobrze, ale nie była obiektywna. Wiedziała to. Czytała średnio przychylnie opinie. Poza tym znała Marię. Naprawdę powinna się domyślić, że prędzej czy później dojdzie do spotkania.

Tamten dzień nie wyróżniał się niczym. W kręgach dni rzadko same z siebie się czymś wyróżniały. Zwłaszcza w tych bardziej wewnętrznych, chronionych przez wyższe budynki kolejnych, zjawiska atmosferyczne były stłumione. W Pierwszym nic nie wyrastało wyżej niż do drugiego piętra, w Drugim do siódmego, w Trzecim do jedenastego. W Piątym budynki miały po piętnaście pięter i jeśli spojrzano się do wnętrza, to czasami można było wypatrzeć coś znajomego, powspominać. Na zewnątrz – tam wznosiły się tylko kolejne ściany do pokonania.

Maria stała na placu. Zmieniała się przez te dwa lata, a zarazem Iza nie miała problemu z rozpoznaniem jej. Choć wróciła do naturalnego koloru włosów, a ubranie miała w odcieniach szarości lansowanych w tym roku choćby przez Ann May, Azzo czy Ah-Yue, to i tak przyciągała spojrzenia. Tylko teraz robiła to jakby dostojniej, co jedynie potęgowało wrażenie. Stała na wprost wyjścia i nie dało się jej nie zauważyć, choć tak wiele osób właśnie opuszczało budynek. Wystarczyło, że ich spojrzenia spotkały się na moment i Iza wiedziała, że nie uniknie rozmowy. Żadne

zerkanie na tablet i udawanie skupienia na treści z wyświetlacza nie miało racji bytu. Maria wiedziała, że Iza ją rozpoznała, a Iza wiedziała, że Maria wie. Dwa lata osobno nie mogły wymazać ponad dziesięciu lat razem.

* * *

Kawiarnia była zupełnie inna niż ta w Czwartym. Nie znajdowała się na parterze, a na jednym z ostatnich pięter budynku. Użyto większej liczby kolorów, a sufit pomalowano na biało. Żadnych gwiazd, choćby nawet namiastki nieba. Iza nie była tu nigdy wcześniej. Czy Maria знаła to miejsce lepiej? Tego nie udało się wywnioskować. Zanim Iza zdążyła o to zapytać, Maria wybuchła.

– Zrobiłaś to specjalnie! – wrzasnęła.

Przez chwilę spojrzenia kilku osób, do tej pory w spokoju zajmujących się swoimi sprawami, skupiły się na nich.

– Co takiego zrobiłam? – odpowiedziała Iza cicho, żeby nie ściągać więcej uwagi i żeby przypadkiem nie zainteresowali się nimi Opiekunowie. Wątpiła, aby taka kłótnia sprawiła, że któryś przyszedłby do kawiarni i wmieszał się w rozmowę, ale później mogli zwrócić uwagę, że może to jednak nie wypada, żeby zakłócały spokój innych. Iza tego nie lubiła.

Oni chyba też.

– Specjalnie nie zdałaś! – Maria jednak wydawała się absolutnie nie mieć takich problemów. Jej głos rozbrzmiewał donośnie, emocje wibrowały w nim i z całą pewnością intrygowały. Nakazywały słuchać. Może nawet robiła to celowo. Była dobrą aktorką, lubiła występować, w normalnym życiu jednak rzadko udawała... kiedyś. Iza w pośpiechu starała się rozstrzygnąć, czy Maria gra i próbuje ją sprowokować, czy naprawdę wierzy w to, co mówi.

– Słucham?

– Trzy lata temu specjalnie zaważyłaś próbę, specjalnie zrobiłaś tak, aby druga poszła ci gorzej, a potem wywiesiłaś białą flagę – wyjaśniła Maria tonem, który tylko w pierwszej chwili wydawał się grzeczny, a tak naprawdę szalał w nim sztorm. Wściekły, prześmiewczy chichot wibrował w ostatnich słowach.

Iza potrzebowała chwili, aby dotarły do niej sens i absurdalność tego oskarżenia. To było szalone. Głupie, ale przede wszystkim szalone. Tak niesamowicie szalone, że w pewien sposób pasowało do Marii. Pytania zakotłowały się w myślach Izy. Zaskoczenie wypłynęło na jej twarz, wykrzywiło ją, ale najwyraźniej nie dość dobrze, aby wyrzucić wrażenie na siedzącej po drugiej

stronie stołu artystce, bo ta nadal patrzyła nieruchomo, zdając się zaglądać w głąb umysłu. Prosto w chaos niezrozumienia, bo czemu ktoś miałaby specjalnie podcinać sobie skrzydła i ograniczać opcje? Po co? I dlaczego przyjaciółka uznała, że musi jej to powiedzieć teraz, w dodatku prosto w twarz? Powinna była pracować nad wystawą. Ostatnio coraz bardziej skupiała się na rzeźbie, malarstwie i kompozycji. Zaczynała je mocniej łączyć w jedno i w biuletynie wspomniano, że w tym roku Maria powinna zaprezentować coś nowego. Iza nie mogła się doczekać.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – wydusiła w końcu, wcale nie kryjąc zdumienia. Ba! obudziła się w niej pewna ciekawość, chęć zrozumienia, jak pokrętną drogą Maria doszła do tego wniosku. Może wtedy zrozumiałyby, po co w ogóle się spotkały, jaki cel miała ta rozmowa.

– Żebym ja też poniosła porażkę – odpowiedziała Maria bez wahania. – Żebym stała się kimś nieważnym. Kimś, kto nie wyrze na świecie żadnego wrażenia, nie pozostawi niczego po sobie. Żebym została jednym z tych, o których się zapomina, ledwie przestaną oddychać! – Przez mgnienie oka cisza była tak doskonała, że aż piszczało w uszach. Nikt w kawiarni nie miał odwagi się poruszyć, może nawet odetchnąć. Wielu na pewno wierzyło, że to spontaniczny wybuch złości, ale nie Iza. Wiedziała, kiedy Maria gra, i to była gra. Przygotowane zawczasu przemówienie skrojone dokładnie pod nią. Każde słowo, akcent, pauza. – Kolejnym przeciwnikiem, który robi i myśli tylko to, co mu każą. Którego pracę może wykonywać byle jaka maszyna... – Wiedziała, jakie słowo usłyszy następne. Wymyśliły je jeszcze w Trzecim. – Człowiekomaszyną, a nie prawdziwie żyjącym człowiekiem, bo życie to coś więcej niż durne powtarzanie czynności, ciągle żarcie, pochłanianie treści i tyle. Nie po to się rodzimy... – Kolejna pauza, opuszczenie ramion, oburzenie przechodziło w łagodność. Jesteśmy stworzeni do większych rzeczy, ale trzeba sobie na nie zapracować. Jesteśmy jak drzewa w lesie. Musimy rosnać jak najszybciej, żeby inni nie przesłonili nam słońca. To wyścig. Walka. Wygrani sięgają nieba, przegrani... – Maria wzruszyła ramionami, ale nie odwróciła spojrzenia.

Patrzyła wyczekująco, a Iza nie była w stanie jej odpowiedzieć. Od dawna wiedziała, że Maria potrafi popadać w przesadę, że bywa toksyczna i czasami nieco odrealniona, ale to oskarżenie było tak głupie, że nie umiała znaleźć słów komentarza. Tylko ciężar nastu spędzonych razem, cudownych, twórczych, nieco

naiwnych, ale pięknych lat oraz wyuczona przyzwoitość sprawiły, że nie wybuchła Marii śmiechem w twarz.

Nie zdała specjalnie w imię wielkiego spisku mającego pogrążyć towarzyszkę z dzieciństwa. Iza miała bujną wyobraźnię, nawet trzy lata po odcięciu gałęzi czasami tworzyła rzeczy do szuflady, ale na coś takiego nigdy, przenigdy by nie wpadła.

– Przystań. – Głos jej drżał i ktoś z boku mógłby tylko zgadywać, czy to z tłumionego śmiechu, czy tak bardzo zaboląły ją słowa Marii.

– To ty przestań! Przystań ciągnąć mnie za sobą! Przystań mnie ograniczać! Jesteś kimś, kogo raz-dwa zapomną, więc czemu ciągle tu jesteś, czemu nie mogę cię zapomnieć! Ty! Ty...

W tym momencie do Izy dotarło, że powinna była to przewidzieć, że jej zaskoczenie to tylko skutek naiwności. Odetchnęła. Maria nadal na nią patrzyła. Czekwała na przyznanie się do winy, może na przeprosiny i...?

– Przystań. Niczego nie zrobiłam specjalnie. To ja zderzyłam się ze ścianą i musiałam pogodzić się z tym, że nie jestem dość dobra. Przez dobre dziesięć lat brałam udział w tym wyścigu czy jakkolwiek chcesz to nazywać. To było też moje marzenie, ale w końcu musiałam spojrzeć prawdzie w oczy, więc jeśli ktoś tu ma prawo być rozgoryczony, to ja. Ale nie jestem. Lubię to, czego uczę się teraz, jeśli w ogóle cię to interesuje. Mnie interesuje to, co tworzysz, wiem, jakie recenzje dostałaś ostatnio, wiem, że były słabsze, ale na wszystko, co poza Kręgami. Oskarżanie mnie, że trzy lata temu specjalnie skupiłam się na innych rzeczach tylko dlatego, żeby tobie nie szło... Jaki ja w ogóle mam z tym związek? Cel?! No i to ty napisałaś, że nie masz mi nic do powiedzenia.

Przez moment Maria patrzyła na Izę nieruchomo, a potem odwróciła wzrok ku oknu. Milczała i było nieco tak, jak wtedy – w Czwartym po ewaluacji przyjaciółki – tylko tym razem oddychała ciężko i cisza trwała góra dwie minuty. A potem Maria wstała i wyszła.

Tak po prostu.

TO BYŁO NAJKRÓTSZE W HISTORII SPOTKANIE PO LATACH

Iza wysłała wiadomość Mateuszowi i czekała na niego ze wzrokiem utkwionym w odległych budynkach kolejnego kręgu. Słowa Marii coś w niej zmieniły. Obudziły myśli, którym nigdy nie poświęcała zbyt wiele uwagi. Po raz pierwszy w jej życiu budynki kolejnego kręgu wyglądały niepokojąco. Niczym bariera nie do pokonania, za którą czaiło się nieznane. Nie ciekawe nieznane,

ale takie, którego należy się obawiać, a nawet czuć przed nim strach.

Co wiedziała o Szóstym?

Co wiedziała o świecie na zewnątrz?

Znała nazwę miasta oraz nazwy wielu innych miast i wiedziała, gdzie znajdowały się na mapie. Znała rzeki i morza. Wiedziała, jacy topowi aktorzy grają w których najnowszych serialach w holo i wiarze. Znała nazwiska wybitnych twórców snów, śpiewaków, ale nie potrafiła podać personaliów ani jednego hydraulika, tunera czy mechanika. Media pełne były gwiazd, artystów z różnych mniejszych gałęzi konaru, któremu pozwoliła zwiędnąć.

Maria ma rację...

Ludzie tacy jak ona byli zapomniani. I to nawet nie po śmierci, ale jeszcze za życia i patrząc na wysokie budynki Szóstego, Iza czuła się mała. Nieważna. Jakby już przegrała w wyścigu, a przecież jeszcze nawet nie wyszła na zewnątrz, wciąż się uczyła, wciąż odkrywała nowe rzeczy. To już nie miało znaczenia. Przegrała. Cokolwiek zrobi ze swoim życiem i tak nic po niej nie pozostanie.

Czy to było uczucie towarzyszące dorastaniu?

* * *

Mateusz miał dość taktu, żeby nie pytać, jak poszło. Przez ponad godzinę opowiadał o projekcie, nad którym pracował w ramach kolejnej gałęzi tworzenia wmiarowych symulacji. Iza nie rozumiała z tego co najmniej połowy, ale on nie oczekiwał od niej wnikliwych pytań ani jakiegokolwiek innej interakcji. Mówił tak, że mogła milczeć zatopiona we własnych myślach i była mu za to wdzięczna.

Dzień po spotkaniu w kawiarni wszystko pozostało takie samo jak dołą wcześniej. Zupełnie jakby nic szczególnego się nie wydarzyło, jakby przez moment Iza nie miała nadziei, że będzie jak dawniej.

Wieczorem, gdy wróciła do siebie, odwiedziła ją Opiekunka Alina. Odbyły krótką rozmowę o robieniu scen w przestrzeni publicznej, o szanowaniu innych i trochę o życiu. Opiekunka Alina była zupełnie inna niż Elena czy Kamil. Jej twarz pozostała neutralna, nieważne, czy słuchała opowieści Izy o tym, jak urwała się znajomość z Marią w Czwartym, czy sama mówiła, że Iza dobrze zrobiła, nie eskalując kłótni, ale na przyszłość w podobnych sytuacjach powinna może pomyśleć o innym miejscu na takie spotkania. To ostatnie, Iza miała wrażenie, powinno raczej zostać skierowane do Marii. To ona wybrała lokal i to ona

pierwsza podniosła głos. A przede wszystkim to Maria powiedziała rzeczy, które mogły urazić inne osoby w kawiarni. Ale nie było sensu tego punktować, bo jej dawna przyjaciółka z pewnością odbyła taką samą rozmowę albo dopiero miała ją odbyć. Oczyma wyobraźni Iza widziała, jak wybucha ona Opiekunce w twarz swoim szczerym oburzeniem, choć jako znakomita aktorka pewnie tego nie zrobiła. Mogła gotować się w środku, ale na zewnątrz bezbłędnie grać. Ciekawość zaskrobała Izę w potylicę, pytanie cisnęło się na język, ale go nie zadała. Przytaknęła i się pożegnała. Pół godziny później Mateusz był już u niej, siedzieli na podłodze i to on mówił.

Odchyliła głowę i oparła ją o łóżko. Patrzyła na szary sufit, oddychając głęboko. Chciała być zła na Marię za wytrącenie jej z równowagi, ale nie umiała.

– Weź ją zbanuj na swoich kanałach i tyle.

Słowa przepłynęły przez myśli Izy, zahaczyły o kilka, pociągnęły je w dół, do rzeczywistości.

– Słucham?

– Męczy cię. Weź ją zbanuj. Napisanie filtru, który ukrywałby wszystkie informacje o niej, to chwila. Mogę ci to zrobić choćby na jutro.

– Ale ja chcę o niej czytać. Jest wkurzająca... nawet bardziej niż wkurzająca czasami...

Mateusz uniósł wysoko brwi. Nie odezwał się, ale jego grymas mówił wiele.

– Maria to Maria. Jak się zastanowić, to większość gwiazd taka jest. Jak się trochę poogląda, to niby są mili i puchaci, a potem zaczynają się opowieści, jaki to ten-a-ten nie jest trudny we współpracy. Poza tym ukrycie wszystkich newsów o niej nie uniemożliwiłoby tego spotkania. To ona mnie znalazła, i to osobiście.

– Szlag, fakt. Ale i tak, jakbyś chciała, to ci napiszę.

– Nie chcę.

* * *

Choć może powinna chcieć, ale o tym pomyślała miesiąc, a może nawet dwa później, gdy czytała kolejne średnie recenzje z premiery pierwszego pełnoskalowego konstruktu Marii. Nie były złe, ale nie powalały na kolana i złośliwy głos w podświadomości wyszeptał Izie, że może to przez nią.

Wzdrygnęła się i gwałtownym gestem zamknęła wszystkie otwarte na ścianie okna.

* * *

Stała z czołem opartym o sikrytalitową, przezroczystą połąć okna. W szarym świetle późnego popołudnia była w stanie dostrzec budynku Szóstego jak w dniu, kiedy niemal rok temu spotkała się z Marią. Nadal śledziła jej karierę, odwiedzała wystawy i czasami zastanawiała się, jak by to było wpaść tam na nią, a może wręcz przyjść w dniu wernisażu i podejść do niej specjalnie. Zagadać. Być tą dobrą przyjaciółką, która pierwsza wyciąga dłoń na zgodę. Ale ostatecznie to Maria okazała się szybsza.

Znowu? Chyba tak: znowu.

Iza westchnęła i odsunęła się od okna. Teraz widziała przede wszystkim swoje drzewo rozwoju. Było imponujące i tylko ta przekłeta gałąź artystyczna wciąż pozostawała tam nie do końca marstwa – bo w odruchu usypiania wyrzutów sumienia Iza dopchała sobie grafik niepotrzebnym kursem pisania scenariuszy – ale za to idealnie pozioma.

Doskonała, żeby się na niej powiesić, pomyślała kobieta.

– Wszystko OK?

Serce podskoczyło jej do gardła. Zupełnie zapomniała, że Mateusz przebywa w pokoju razem z nią.

– Yhym. Myślę.

– O Marii.

To było trochę przykre, że tak łatwo zgadł. Miała w życiu wiele innych rzeczy, o których mogła myśleć. Miała swoje projekty, plany, znajomych, ulubione dramy. Naprawdę nie wszystko sprowadzało się do Marii...

...a jednak – zgadł.

– Widziałem newsy o wystawie.

Łypnęła na niego przez ramię, a on uniknął jej spojrzenia, wpatrując się w tablet. Wiedziała, o jakie newsy chodzi, za to Mateusz nie wiedział, to że Maria zaprosiła ją na wernisaż. W przypadku kogoś takiego znaczyło to więcej niż długie i kwieciste przeprosiny, nawet jeśli samo zaproszenie było krótkie i najdłuższy akapit poświęcono temu, gdzie odbędzie się wystawa; jakby Iza nie wiedziała.

– Zajawki wyglądają nieźle – dodał.

– Prawda? Ma być potem pokazywana na zewnątrz, to duża rzecz. I Maria zaprosiła mnie na jej otwarcie.

Mateusz skrzywił się, ale niczego nie powiedział, co zawsze było miłą odmianą. Maria wyrażała opinie o wszystkim – jasne i precyzyjne, nieważne, o jak skomplikowanej sprawie. Zawsze miała jasną wizję tego, kim chce zostać. Potrafiła odcinać gałęzie

swojego drzewa rozwoju bez tonięcia w wątpliwościach i zastanawiania się całymi dniami. Iza podziwiała to w niej, bo po latach w piątym nauczyła się sporo o zaawansowanym planowaniu, strategiach, relacjach międzyludzkich i miłości, ale to wszystko nie pomogło jej określić, jaki jest jej własny Wielki Cel. Tak naprawdę przez lata w ogóle o nim nie myślała. Po prostu szła do przodu, a potem nagle Maria ponownie zjawiła się w jej życiu i jedną krótką wiadomością sprawiła, że Iza zdała sobie sprawę, że nie wie, bo po porzuceniu ich wspólnego marzenia nie znalazła niczego na jego miejsce. Że nie ma celu, nie ma wielkiego planu, nie ma wielkiej misji – nie ma nic poza tu i teraz.

– Jeszcze nie wiem, czy pójdę.

* * *

Poszła.

Oczywiście, że tak i jeśli to było naiwne z jej strony, miała ten fakt w poważaniu.

* * *

Wernisaż odbywał się w labiryncie białych i czarnych ścian. Ukryte pomieszczenia skrywały konstrukty z prawdziwych i wirtualnych materiałów. Rzeczywistości przenikały się, dźwięki nakładały, aby nagle ucichnąć i wcisnąć się tą ciszą w myśli ludzi. Wypełnić je pustką. To nie była po prostu wystawa kilku nowych dzieł sztuki. Nie. Cała ta przestrzeń tworzyła wielkie dzieło i ludzie mogli się w niej zgubić. A mimo to Maria z łatwością znalazła Izę, a potem, nie wahając się ani chwili, poprowadziła ją przez labirynt identycznych korytarzy do drzewa.

To nie było prawdziwe drzewo, takie, które wyrasta z ziemi. Tych w kręgach pozostało niewiele i nigdy by nie pozwolono jednego przerobić na instalację artystyczną. Drzewo Marii stanowiło konstrukt z jasnych materiałów, które zdawały się lśnić, jakby pokrywał je szron. Tkwiło zawieszzone w czerni. Podłoga, ściany i sufit zlewały się ze sobą jak w Rotundzie, ale były idealnie czarne, a nie białe, i to wszystko zmieniało. Iza czuła się onieśmielona. Im dłużej obserwowała drzewo o potężnej koronie, tym więcej szczegółów dostrzegała w układzie jego gałęzi, w szmerze liści, w delikatnych żyłkach na ich powierzchni. Było fenomenalne i Iza straciła poczucie czasu, patrząc na nie, aż głos Marii nie zakłócił szumu tła.

– Myślałam... Myślałam, że odcięcie się od ciebie zdejmie mi z ramion ciężar i wszystko będzie jak dawniej. – Mówiła,

jakby każde słowo przychodziło jej z trudem. – Ale tak się nie stało. Może dlatego, że nie było prawdziwego „dawniej” bez ciebie w nim i... – Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu, ale przestrzeń wokół drzewa nadała jej słowom dodatkowej mocy. – Rozumiem to... Różne sposoby na życie. Wszyscy są potrzebni i tak dalej... – Iza nie przywiązała wagi do wydechu, który brzmiał prawie jak prychnięcie. Słuchała. – Powinnam była zrozumieć to wcześniej... W sumie... w sumie myślę, że zrozumiałam, ale nie umiałam tego zaakceptować. To był nasz sen, wiesz? Bez ciebie... czułam się samotna. To było... – Maria zacięła się, gubiła wątek i to było zupełnie do niej niepodobne. Iza chciała coś powiedzieć, ale z zaskoczenia słowa utknęły jej w gardle i milczała, a Maria mówiła dalej, coraz szybciej i szybciej. – Rozumiem to! Marzenia z dzieciństwa nie zawsze się spełniają. Dorastanie oznacza, że niektóre odchodzą i zastępują je inne. Do diabła! Rozumiem, że masz swoją własną ścieżkę, ale nie zostawiaj mnie! Dobrze? Rozumiem, że stare marzenie jest już nie do odzyskania, ale potrzebuję cię, aby stworzyć, potrzebuję twojej przyjaźni, proszę, nie zostawiaj mnie, bo ja mam tylko to marzenie. Nic więcej. Proszę.

Maria patrzyła na drzewo i Iza również wróciła do niego spojrzeniem. Żałowała, że nie zrobiła jakiegoś podstawowego kursu z zakresu psychologii, nawet nie czytała ciekawostek o tym. Teraz bardzo przydałaby jej się jakakolwiek solidna wiedza, bo z jednej strony chciała zapewnić Marię, że oczywiście, że jej nie zostawi, nigdy nie zostawiła tak naprawdę. Z drugiej co do słowa pamiętała ich ostatnią rozmowę w Czwartym, bez trudu potrafiła przytoczyć tę z Piątego. To nie były dobre wspomnienia. Bolały, budziły demony, wyrzuty sumienia i wątpliwości. Chciała zaufać Marii, że to się nie powtórzy, i bała się to zrobić. Miała swoje życie, swoje plany, Mateusza, nowych znajomych, nowe zobowiązania i nie potrafiła rozsądzić, czy jest w tym miejsce dla Marii, czy tylko sama, wbrew zdrowemu rozsądkowi, próbuje je tam zrobić.

Cisza trwała długo i wydawało się, że cały labirynt na coś czeka. Na coś wielkiego. Ważnego.

Iza była głupia. Nie, nie głupia. Może po prostu naiwna.

– Jestem tu. – Na początku słowa nie przychodziły jej łatwo. – Już ci to mówiłam – brnęła dalej i zaczynało jej to przychodzić łatwiej. Powoli wracały frazy, których przez lata nie używała. – Jestem twoją pierwszą fanką. Wiedziałam, że jesteś najlepsza, jeszcze zanim ktokolwiek inny to zrozumiał. – Nie kłamała,

nie przesadzała. Była szczęśliwa. Pod fantastycznym konstruktem stworzonym przez jej najlepszą przyjaciółkę czuła, że nawet podążając innymi ścieżkami, mogą się wspierać do granicy Siódmego i poza nią. – Jestem tu. A kiedy już przejdziemy wszystkie próby i opuścimy Siódmy, pokażesz wszystkim, że Ann May, Rose Lalande, ba! nawet Ah-Yue nie dorastają ci do pięt, a ja będę mówiła wszystkim, że jestem twoją pierwszą fanką. OG. I będziemy spędzały razem czas w twojej pięknej, jasnej willi nad morzem. – Widziała to oczyma wyobraźni i czuła, jakby w końcu rzeczy była takie, jakimi powinny być od lat.

Te słowa sprawiły, że Maria się rozpogodziła. Uśmiech zagościł na jej ustach i Iza odetchnęła z ulgą, bo to był wernisaz jej przyjaciółki, wielkie wydarzenie, i powinna być na nim szczęśliwa.

– Ciągłe nie rozumiem, czemu się poddałeś – odezwała się łagodnie Maria. – Lubiałam twoje prace.

– I dla ciebie ciągle mogę coś stworzyć. To wystarczy. Poza tym lubię to, czego uczę się teraz.

– Odtwórcze, powtarzalne, konsumenci treści... Nie zostaniesz dzięki nim zapamiętana.

– Będę zapamiętana jako twoja przyjaciółka.

Maria spojrzała na nią i Iza poczuła się, jakby znowu były w kawiarni w Czwartym, gdzie niebieskozielony blask latarni zalewał ulicę, a cisza nocna nadal obowiązywała. Ale rzeczy się zmieniły. To był inny krąg i one też były inne.

– Cóż... To... To może się udać. Jeśli tobie to pasuje, to... To myślę, że będzie dobrze. Jesteś moją przyjaciółką – Maria mówiła cicho.

– Moją najlepszą przyjaciółką. Przepraszam.

Na zewnątrz

– Och, Iza, Iza...

Maria wdycha, ale nie ciężko, nie cierpiętniczo, a z rozbawieniem i spokojem. Nie wytyka, nie atakuje, wręcz jest w tym westchnięciu nuta samozadowolenia i w sumie Iza trochę to rozumie. Siedzą przy stoliku na skraju tarasu, ten zaś nieco wystaje ponad krawędź klifu. W dole fale rozbijają się o skały, huk trochę utrudnia rozmowę, ale tak jest nawet lepiej.

– Wiedziałam, że ci się spodoba. Zarezerwowanie tu stolika graniczny z cudem, ale było warte zachodu, co nie?

Iza przytakuje odruchowo, skupiona na wymyśleniu, co odpowiedzieć, ale Maria interpretuje to najwyraźniej jako ciągle trwające oniemienie z zachwytu. To dobrze.

– Można się tu zupełnie wyciszyć. W sumie niekoniecznie o to chodzi w restauracjach, ale ma to swój niebywały urok. Czasami chciałabym móc mieszkać w takim miejscu. Nie tu, ale w podobnym, a potem dochodzę do wniosku, że jednak jest tu dla mnie zbyt odludnie. Poza tym w takich miejscach o dom jest trudno, warunki najmu są nieziemskie, a ja lubię zmieniać otoczenie.

O tym Iza wie. Słyszała o każdej planowanej przeprowadzce, odwiedziła każde nowe mieszkanie, pracownię i dom. Nie jest sławną artystką. Nie maluje, nie komponuje, nie tworzy konstruktywów wielkich jak stadiony, w których można się w sztukę zanurzyć, czasami tylko pisze scenariusze snów, ale Maria dotrzymała słowa i pokazuje jej to wszystko, czego nie ma w jej własnym życiu. To wszystko, czego się wyrzekła, gdy odcięła gałąź artystyczną. Czasami Maria dodaje coś o tym, że to mogło być też jej, że mogła to zdobyć, że tak żyją ci, co wygrali. Iza nigdy nie komentuje tego nietaktu, nie ma sensu strzepić na to języka. Poza tym to grzaski teren, lepiej nie rozwijać tematu.

– To jest prawdziwy świat. To jest świat, świat, do jakiego każdy powinien dążyć. To, a nie zatłoczone miasta pełne smutnych ludzi robiących smutne rzeczy pod dyktando innych smutnych ludzi, ale co ci tam pasuje. Może ja nie dostrzegam jakiejś odmiany piękna w tym, w każdym razie kupiłam ci bilet na mój kolejny wernisaż. Będzie w Nowym Kairze. Znajdziesz czas, prawda?

– Oczywiście.

– To dobrze. Bez ciebie to nie byłoby to samo. Zwłaszcza po tej katastrofie... – Maria oddycha głęboko, z drżeniem. Przez moment patrzy na morze, zanim wraca spojrzeniem do Izy. – Musiałam porozmawiać z kimś znajomym, z kimś, przed kim nie muszę nikogo odgrywać. Najpierw Azzo, on zawsze był inny, ale to teraz. Nie wiem, czy to, co mówi o samobójstwie i aniołach, to tylko bredzenie pod publiczność, czy naprawdę coś się stało. W anioły nie uwierzę, ale może chciał się zabić, zaćpał coś... Wystraszył mnie tym i ledwie zaczęłam dochodzić do siebie, a uderzyło to tsunami. Za szybko. Ledwie odetchnęłam, że jemu nic nie jest, a już zginęło tylu ludzi.

Iza przez moment nie wie, co odpowiedzieć. Zgubiła się, słowa jej uciekły, ale na szczęście Maria nie zwraca na to uwagi. Znów wpatruje się w morze, zagubiona we własnych myślach, wspominająca. Iza nie wie, ale dziękuje swojemu szczęściu za to i jednocześnie wysłała wiadomość do Mateusza („Łeb ci urwę!”) oraz wrzuca w sieć zapytanie o tsunami. Gdzie, kiedy? W mgnieniu oka znajduje informacje o katastrofie – ponad tysiąc ofiar, w tym

wiele znanych osób przebywających wówczas na archipelagu, ponieważ trwał festiwal pięciu sztuk.

– Dwudziesty drugi wiek, a matka Ziemia nadal jest od nas o wiele silniejsza. Nawet nie jesteśmy w stanie przed nią uciec – mówi w końcu sama, również patrząc na wodę w dole.

– Co nie? To straszne. Jednego dnia jesteś, drugiego potężna fala sprawia, że cię nie ma. Nie zrobiłaś niczego złego, nie zasłużyłaś na śmierć... Po prostu tam byłaś. Iza, boisz się śmierci? – Maria też patrzy na ocean. Obraca w dłoniach opalizującą filizankę i po chwili odzywa się ponownie. – Bo ja czasami się boję.

Milczą bardzo długo.

* * *

Wybudzenie się z komy jest trudne. Wiele rzeczy w życiu Izy zmieniło się po wyjściu z Siódmego, ale problemy z pełną immersją miały najwyraźniej pozostać z nią na zawsze. Otwarcie oczu to walka, kończy się ma ciężkie, zdrętwiałe i czuje się, jakby przeżyła lata, a nie godziny. Łóżko immersyjne w ich mieszkaniu jest najwyższej klasy, warte pewnością więcej niż wszystko inne, co znajduje się na tych dwudziestu pięciu metrach kwadratowych, ale nawet to niewiele pomaga.

– Jak-

– Nicco ponad godzinę – Mateusz wchodzi jej w słowo, trafnie zgadłszy, jakie padnie pytanie. – Podejrzenie krótko jak na ciebie.

Iza prycha, ale nie jest w stanie włożyć w to zbyt wiele emocji. Siada powoli. Żadnych gwałtownych ruchów. Skoro obudziła się tak szybko, to chce wykorzystać ten czas, a nie stracić przytomność ponownie. Gdyby miała wybór, to nie wchodziłaby w pełny wihar. Wszystko, czego potrzebowała na co dzień, mogła mieć za pośrednictwem wszczepki, okien oesu generowanych na nerwie wzrokowym, twardej interfejsów i awatarów z wykupionym pakietem animacji. Tylko te spotkania wymagały całkowitej immersji.

– Jak poszło? Zaprosiła cię na klify, prawda? Są prze, co nie?

Spojrzała na niego spode łba. Tak, klify okazały się piękne i może choćby dlatego warto było w pełni zanurzyć się i przebywać tam, a nie tylko oglądać to przez proxy awatara jak przez grubą tafłę sikrytalitu.

– Są. Twoje? Brawo.

– Nie, ja takich cudów nie umiem, ale uczę się. Jak siedziałaś przy kawce, to skończyłem kolejne szkolenie. Człowiek wychodził

z Ósmego i myślał, że teraz wie już naprawdę wszystko i koniec z nauką, a tymczasem... – Mateusz śmieje się i podaje Izie szklankę ze wzmacniaczem.

Płyn jest obrzydliwie słodki.

Ósmy Krąg. Jego budynki są niższe niż te w Siódmym. Nie widać go stamtąd, nikt nigdy o nim nie mówi i nie każdy do niego wchodzi, a nie każdy, kto wszedł, wychodzi na zewnątrz. Ci drudzy poznają prawdę – suche fakty: takie emisje, takie zużycie zasobów, takie złoża, takie potrzeby, taka śmiertelność i żadnych opinii, dobrych rad, wskazówek. Ci, co nie są w stanie tego znieść, zostają w Ósmym, na granicy światów, wracają do środka i po latach Iza czasami myśli o Opiekunkach i Opiekunach nie jako o kimś, kto poświęcił swoją przyszłość dla niej, ale bardziej jak o kimś, kto uciekł od rzeczywistości. I w przeciwieństwie do Marii zrobił to świadomie, bo Marii nikt nie dał wyboru. Wyszła z Siódmego „na zewnątrz”, prosto do wirtualnego świata.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tsunami?

Mateusz patrzy na nią zdziwiony i Iza wie, co zaraz powie: „To nie wiedziałaś o tym?”

– To nie wiedziałaś o tym?

– Nie. Nie śledzę Second Life.

– Ale to było wszędzie! Nie dało się lodówki otworzyć, żeby nie trafić na jakieś komentarze. Gdy odpalaliśmy system po ostatnim lockdownie burzowym, mieliśmy małą... dużą awarię. Nie znam szczegółów, ale szlag trafił modele i części nie udało się w pełni przywrócić, więc poszła decyzja, żeby sprawdzić w rankingach, kto jak sobie radzi, i skorzystać z okazji, żeby tych mniej lubianych nie przywracać, a zamiast tego skupić się na jak najszybszym polatanium reszty. Nie wiem, czy słusznie, bo wyszło, że trzeba przywrócić Azzo, a to już wcześniej była sieczka, nie model. A teraz... No ale ludziom w sumie podoba się jego załamanie nerwowe-

– Podoba?

– Nie że są psychopatami i zacieszają, że się koleś chciał zabić, ale są ciekawi, a po tym kombo, jak już go poskładamy z ostatniego backupu, a szlag trafił ten ostatni, to pewnie zostanie guru jakiejś secondowej sekty. Ku zgrozie tych z kontroli. No wiesz, o co mi chodzi?

– Nie reagują na nie negatywnie? Współczują mu?

– Dokładnie. Czyli wyszło nieźle. Jak dobrze pójdzie, to może na bazie tego, co zostało, wyjdzie Azzo 2.0. *Show must go on*. Serio myślałem, że wiesz może nie wszystko, ale wiele. – Pierwszy raz

brzmi na zaniepokojonego, co Izy nie dziwi. Mateusz lepiej niż ona wie, jak ważne jest, aby modele osobowości w Second Life były przekonane, że ich świat jest prawdziwy i że nie ma żadnego innego. Dla Marii Iza mieszka Gdańsku, choć w rzeczywistości Gdańska nie ma od kilkudziesięciu lat. Nad wody Zatoki wystają wyższe budynki, na wzgórzach nadal mieszkają ludzie, ale nie ma porównania między tym a Trójmiastem, jakie zna Maria – pięknym, nieco głośnym, pełnym kolorowych domów i ludzi.

– Raczej wzięła moje początkowe milczenie za znak, jak bardzo mnie to przejęło, a potem ją w tym utwierdziłam, ale przez moment było gorąco.

Mateusz oddycha z ulgą i opiera się o ścianę, jakby nagle to on był osłabiony po powijarowej komie.

– Ale serio, może powinnam dostawać jakieś streszczenia, zanim zanurkuje...

Bo o nienurkowaniu nie może być mowy jeszcze przez długi czas. Maria ma zbyt wielu fanów, a fani są najważniejsi, cała ta szopka jest dla nich. Gatunek ludzki okazał się niezdolny do życia pozbawionego rozrywki, nieważne, jak bardzo nie było go na nią stać. Potrzebował sztuki, tak jak potrzebował tlenu, wody i pokarmu. Jeśli oznaczało to zamknięcie najlepszych twórców w wijkarze, gdzie nie ograniczały ich limity zużycia surowców na głowę, gdzie mogli tworzyć, co im w duszy zagra, w pięknym świecie, który wciąż stał o włos od granicy katastrofy klimatycznej, ale jeszcze jej nie przekroczył, właśnie tak uczyniono. I jeśli teraz oznaczało to, że Maria ma tworzyć, to ma tworzyć, a skoro jej twórczość zdaje się zależeć od tego, jak układa się jej znajomość z Izą, to Iza ma dalej nurkować i utrzymywać tę relację.

– Nie moglibyście mnie tam po prostu zaprogramować?

– Wiesz, ile to kosztuje? – Mateusz wzdycha teatralnie i osuwa się na krzesło. W skąpym świetle monitorów (godzina jest na tyle późna, że odłączono już oświetlenie mieszkań) jego twarz wygląda nieco potwornie, więc Iza próbuje ją taką zapamiętać i opisać do scenariusza. – Dużo. Firma mniej płaci za twoje usługi i łóżko, niż jakby mieli mieć cię tam dwadzieścia cztery na siedem. Większość enpeców w środku ma tylko zarysy charakteru albo nawet nie to. Działają nawet bez wsparcia SI, na prostych scenariuszach. Jakby pogadać z nimi dłużej, to by się wpadło na ścianę... więc nie próbuj. Inne są sterowane zdalnie, nie powiem ci które, choć piszesz sny, więc może ci w feed wpadło trochę ogłoszeń o naborze do tej pracy.

Iza przytakuje. Wpadły. Zwykle chodziło o bycie co najmniej kilkunastoma osobami naraz, należało być wysoce dostępnym, elastycznym i mieć przyzwoite wyniki z aktorstwa – tak przynajmniej do Czwartego, a lepiej Piątego Kręgu.

– Tobie płacą godzinowo, musisz tam wpaść może dwa razy w miesiącu, czasami pogadać zdalnie, jakieś listy i co tam wymieniacie. To wszystko ciągle jest tańsze. Więc o ile nagle nie okażesz się śmiertelnie chora, to cię nie zeskanują.

– Codziennie mogę utknąć w windzie i w niej umrzeć albo ktoś może mi dać w łeb, gdy będę wracała z pracy.

– Ano, może. Mówię, jak jest. Ktoś tam wyżej ma to jakoś opracowane. Ja tam nie wiem, jestem prostym programistą.

Kolejnym przegrane, który robi tylko to, co mu każą, myśli, co mu każą, i którego pracę może wykonywać byle jaka maszyna – podświadomość Izy czka wspomnieniem tak wyraźnym, jakby Maria stała tuż obok.

* * *

Iza trze oczy. Ma scenariusz do przesłania przed północą. W pewnym sensie dotrzymała słowa, choć może pisanie scenariuszy snów to nie tyle jej hobby, co dodatkowa praca. Jedna z tych kilku artystycznych dziedzin, które wciąż funkcjonują w rzeczywistym świecie, bo nieważne, jakimi fanami twórców z Second Life są ludzie, to jednak myśl o tym, że ich sny miałyby być pisane przez modele osobowości przekonane, że Kręgow jest Siedem, nie Osiem, i którzy *de facto* już nie żyją, nie biologicznie, im nie leży. Nieważne, jak dobre są to modele, jak dobrze wykonano skan i jak dobry jest algorytm. Kilka firm próbowało to wprowadzić i nie, ludzie wolą, kiedy ich sny piszą inni prawdziwi ludzie, a że to ten rodzaj sztuki, który nie wymaga zasobów, biznes się kręci. To Maria, żeby się realizować, potrzebuje nie tylko prądu i swojej wyobraźni, ale też dziesiątek tworzyw, materiałów, ozdób, o których może opowiadać godzinami. I dlatego to Maria jest w Second Life, a Iza Na Zewnątrz. Obie opuściły Siódmy i wtedy ich drogi ostatecznie się rozeszły. Za murem Siódmego Maria znalazła świat z dram i reality show, Iza znalazła Ósmy Krąg. Ten, w którym mówiono o kryzysie klimatycznym, оголоczeniu Ziemi z surowców, Second Life i jego klonach oraz o wszystkich problemach ludzkości, do której oficjalnie Iza miała dołączyć. Maria nie.

– I kto w takim razie wygrał życie?

Patrzy w okno, za którym jest tylko ciemność. Gęsta, chmurna i wilgotna.

– Słucham?

Patrzy na Mateusza i waha się, czy zacząć tę rozmowę, gdy deadline powoli wgryza jej się w kark. Ryzykuje.

– Maria uważa, że jej życie jest tym, które należy się ludziom. Że dorastanie to wyścig do spełnienia wielkich marzeń i życia takiego, jakie ona ma teraz. To nie jest nowy pomysł. Miała go już w Czwartym. Mówiła, że jesteśmy jak drzewa w lesie, ścigamy się ku słońcu, a ci, co zostają w tyle, pozostają w cieniu, karłowate, rachityczne drzewka. Jej zdaniem wygrała. Ja przegrałam, bo nie decyduję o każdej swojej minucie. Tworzę, bo muszę, bo mam termin, a jutro o ósmej wyjdę z mieszkania, spędzę godzinę w drodze do biura, gdzie będę wykonywała zadania, które muszę wykonywać, a niekoniecznie chcę. Ona za to od rana do wieczora będzie robiła to, co chce, i to ma oznaczać, że wygrała życie. Może trochę tak jest. Nic jej nie ogranicza. Dla niej to wszystko tam jest równie prawdziwe, co dla nas to mieszkanie i padający od dwóch dni deszcz. Ale...

– Ale?

– Ale myślałam o tym, co powiedziałeś o Azzo. Chciał się zabić, ale to niemożliwiłicie, bo ma zbyt wielu fanów, którzy chcą dalej oglądać jego występy. I tak mnie naszło, że może w tym wyścigu do najlepszego życia nie chodzi jednak o życie. Nie, wróć. Może wyścig o najlepsze życie to tylko etap większego wyzwania. Ważniejszego. I żeby wygrać to ważniejsze, to trzeba przegrać w Kręgach. Trzeba zostać przegrańcem, jak mówi Maria, żeby wygrać prawo do decydowania o własnej śmierci.

Mateusz nie odpowiada. Patrzy na nią nieco zagubiony i jasnym jest, że nigdy się nad tym nie zastanawiał. Ale też nie spędził większości życia na orbicie Marii.

– A może wszyscy przegraliśmy już dawno temu, w chwili, gdy musieliśmy w ogóle wymyślić ten system – dodaje Iza.

Żadne z nich się nie odzywa przez długi czas. Wracają do pracy. Mateusz robi coś dla drugiego końca świata, tam jest środek dnia, a Iza ma trzy godziny, żeby skończyć scenariusz snu, potem minutowy prysznic, sen i kolejny prawdziwy w całej swej szarości dzień bycia człowiekomaszyną, z którym trzeba się będzie zmierzyć.

Marta Magdalena Lasik – urodzona w 1985, opowiadaczka science fiction, teoretycznie: operatorka elektrowni jądrowych, faktycznie: korposzczur. Ponadto fotoamatorka, wrocławianka i trochę żeglarka. Píše głównie fantastykę naukową, zastanawiając się, dokąd zaprowadzi nas technologia na Ziemi i co kryje się w głębi kosmosu. Publikowała między innymi w „Okolicy Strachu”, „Fenixie” i antologiach SKF-u.

Krystyna Chodorowska
JEDNA Z TYCH DOBRYCH



Ocean nigdy nie zamiera.

Wszystko, co się w nim unosi, jest stale szarpane przez prądy i pływy, popychane przez wiatr, ciągnięte w różne strony. Myślałam o tym, obserwując tę masę wody i zmarszczki na jej powierzchni, która (jaki paradoks...) z tej wysokości wydawała mi się całkiem zastygła. Anna-Lilou twierdziła, że moje życie wygląda bardzo podobnie – wiecznie dokądś zmierzam, niesiona prądami, których sama dobrze nie rozumiem. Ale tym razem się myliła, bo prąd, który przyciągnął mnie tutaj, miał nawet imię i nazwisko. Krótko mówiąc: wróciłam do domu, bo Tahei Tong, kierownik bazy w La Vato, miał już dość szukania ludzi.

Samo to zjawisko nie było nowe. Liczby wyglądały równie stabilnie, co ponuro: już od lat co miesiąc na pełnym morzu znikły dwa duże statki, przy czym niektóre z nich – jeśli wierzyć raportom ubezpieczycieli – udawało się nawet odnaleźć, zanim poszły na dno; inne znajdowano dopiero jako roztrzaskane skrupy wyrzucone na plaże. A ile mniejszych jednostek – motorówek, prowizorycznych promów, łodzi rybackich i rekreacyjnych – przepadało w tym czasie bez wieści, ciężko było nawet ocenić. W Queensland, gdzie robiłam praktyki, przychodziło nam to nieco łatwiej. Tam każdy szyper jachtu, wychodząc z portu, musiał zgłaszać port docelowy i planowaną godzinę przybycia, a każda rodzina, której nastoletnie dziecko nie wróciło na kolację z popołudniowego surfowania, natychmiast łapała za telefon i w panice wydzwaniała do Coast Guardu. Tu, na wyspach, najczęściej upływało więcej czasu, zanim ktoś zgłosił zaginięcie, ale statystyki policji, biorąc pod uwagę proporcję żeglujących do zaginionych, wyglądały dość podobnie. Oznaczało to, że w wodzie otaczającej nasze wyspy w każdej chwili pływało mnóstwo różnych obiektów – w tym także żywi ludzie.

Ci ostatni przyprawiali władze o szczególny ból głowy, bo bardzo trudno jest wypatrzeć pojedynczego człowieka z pokładu śmigłowca, a kiedy pilot przeleci rozbitkowi nad głową i nie zobaczy niczego interesującego, najczęściej nie wraca już po raz drugi w to samo miejsce. Ratunkowe kamizelki w odblaskowych kolorach trochę ułatwiały poszukiwania, przynajmniej za dnia – problem w tym, że oprócz odpowiednio ubranych ludzi w morzu pływały też pomarańczowe przedmioty niebędące rozbitkami, jak też rozbitkowie pozbawieni kamizelek.

Sięgnęłam po walizeczkę, w której siedział Mały Tawhaki. Nie zdobyłabym się na to, żeby zostawić go w beztróskich rękach pracowników lotniska, a za drugi bagaż podręczny musiałabym dopłacić, dlatego resztę drobniaków przydatnych podczas lotu musiałam upchnąć po kieszeniach. Z trudem dałam się przekonać, żeby schować swój skarb pod fotel na czas lotu.

W myślach powtarzałam swoją prezentację: robiłam to, odkąd zaczęliśmy zniżać lot, ciągle wracając do pierwszego zdania, chociaż przecież wiedziałam, jak będzie brzmiało – napisałam je wiele miesięcy temu.

W akcjach ratunkowych nie chodzi tylko o to, żeby widzieć lepiej.

* * *

Tahei Tong odebrał mnie z lotniska osobiście, ale dopóki nie usiedliśmy przy stole w budynku, nie wspomniał ani słowem o celu spotkania. Wypytywał o podróż, o pogodę, rodzinę. Był dżentelmenem.

Podalam mu torbę, żeby schował ją do bagażnika, ale walizeczkę znów wzięłam na kolana.

Jechaliśmy nadmorską szosą wzdłuż wybrzeża i przez większość drogi mogłam obserwować zatokę, gdzie w oddali kołysały się spłachetki bieli; naliczyłam sporo żaglówek, co zapowiadało udany sezon. Sąsiednie wyspy, jak Kiribati czy Tuvalu, od lat walczyły o swoją ziemię ze wzbierającym morzem, ale my mieliśmy więcej szczęścia – zmieniający się prąd niosł w naszą stronę piasek, który osadzał się na rafach, wzmacniając brzegi wyspy. Oczywiście wywoływał też zupełnie inne problemy.

Podskoczyłam, gdy zabłąkana mewa nadleciała niskim lotem wzdłuż szosy i rozczapierzyła skrzydła tuż przed szybą, prawie zaliczając czołowe zderzenie. Właśnie dlatego zrezygnowaliśmy z wykorzystania ptaków. Były tanie, ale nieprzewidywalne.

Po wejściu do klimatyzowanego (na szczęście) biura kapitan zaproponował mi lemoniadę palmową i był to pierwszy znak, jak wiele się tu zmieniło – kiedy wyjeżdżałam, wciąż uważano, że lemoniada dobra jest dla dzieci, do popijania na tarasie i dla turystów.

– Zawsze najtrudniej jest zacząć, prawda? – zagadnęła, widząc, że zaciskam dłoń na ręczce walizki.

– Owszem. – Nie wspomniałam, że otwarcie mam już od dawna zaplanowane.

– Może opowie pani, jak przebiegały badania.

– Nikt nie zginął – pozwoliłam sobie na żart. – No, w każdym razie nie u nas.

Przez cały czas trwania doktoratu nasz zespół kolekcjonował wszystko, na czym rozbitkowie mogli dryfować w wodzie. Mieliśmy na stanie kadłub siedmiometrowego jachtu regatowego, kajak morski, deskę surfingową, drewnianą tratwę z żaglem, drewnianą tratwę bez żagla, a nawet tratwę ratunkową pewnej linii lotniczej, która zgodziła się wspomóc nasze badania. Miałam też kolegów, którzy na moją prośbę regularnie zgadzali się wskakiwać do wody – czasem w ubraniu, czasem w pianie, czasem w kombinezonie termicznym, czasem w samych kąpielówkach. Czasem nawet zgadzali się poudawać, że są martwi.

Wyświetliłam listę kilku typowych przykładów przytykanych ciekawostkami.

– Spis oczywiście nie jest zamknięty i wciąż się rozszerza. Dodaję do niego nowe przedmioty, gdy straż przybrzeżna zgłasza, że nie udało im się na czas odnaleźć kogoś, kto pływał uczonej listy, tym większa szansa, że znajdzie się na niej coś bardzo zbliżonego do jakiejś innej rzeczy.

Każdy obiekt miał własną, specyficzną charakterystykę: poruszał się w innym tempie, inaczej poddawał się prądom czy stawił opór wodzie. Jeśli tylko wiedzieliśmy, gdzie i kiedy rozpoczął swoją podróż, mogliśmy mniej więcej obliczyć, gdzie znajdzie się po upływie określonego czasu. Jeśli znało się prędkość wiatru i prądów morskich – a straż przybrzeżna zwykle znała – potrzebny był tylko dryf.

– Mój kolega przerobił tę zależność na bardzo prosty program.

Przesunęłam dysk po stole i gdy kapitan wskazał na ekranie ikonę delfina, przez chwilę bałam się nie na żarty. Wzięliśmy pod uwagę istnienie starych systemów, dysk obsługiwał kilka standardów, w bocznej kieszonce torby miałam nawet adaptery

i wymienne końcówki do różnych portów – ale komputer szefa bazy w La Vato był naprawdę antyczny.

– Widzi pan – powtórzyłam – podczas akcji ratunkowych nie chodzi tylko o to, żeby widzieć lepiej. Najważniejsze jest, żeby patrzeć we właściwe miejsce.

Ikonka kursora wpadła w szalony wir. Trwało to dłużej, niż byłam przyzwyczajona, ale już wiedziałam, że będzie dobrze – gdyby program miał się wywalić, zrobiłby to od razu.

– Tu wprowadzamy współrzędne, gdzie ostatni raz widziano zaginioną jednostkę, a w kolejnych krokach inne przydatne informacje. Zbudowaliśmy model, który przerabia opis układu na odpowiednie równania i w efekcie program powinien wskazać na mapie obszar, gdzie rozbitek najprawdopodobniej się w tym momencie znajduje.

– A co wtedy?

– Wkraczają one.

Znów położyłam dłoń na walizce (dostała osobne krzesło), w której siedział Mały Tawhaki. Podczas pracy nie ukrywaliśmy, że zainspirował nas europejski projekt ICARUS, ale od początku nie podobała mi się ta nazwa. Nazwać program ratowania rozbitek na morzu na cześć młodego durnia, który zginął, bo nie przestrzegął zasad bezpieczeństwa? To jakby nazwać swój projekt „Przegryw”.

Tahei Tong z ciekawością przyglądał się, jak wyjmuję Tawhakiego z pudełka i ustawiam stelaż na stole. Pokiwałam głową, gdy spytał, czy może dotknąć, a wtedy delikatnie popukał w kopułkę osłaniającą kamerę i przesunął palcem po rotorach, jak ktoś, kto kompletnie nie orientuje się w temacie, ale chce wyrazić uprzejme zainteresowanie.

– To są nasze drony ratownicze – podjęłam temat, gdy zaspokoił ciekawość. – Mają zamontowaną kamerę, moduł przetwarzający i zestaw do łączności radiowej. Nie stworzono ich do podróży dalekiego zasięgu, więc ratownik powinien wziąć je ze sobą na akcję i wypuścić już na właściwym obszarze.

– Czy to nie będzie trudne? Umieszczenie ich w powietrzu przy silnych podmuchach, z kołyszącego pokładu?

Jakieś pojęcie jednak miał, nawet jeśli nie znał zagadnienia od najbardziej naukowej strony. Nikt w Australii nie zadał takiego pytania, ale nasi ratownicy byli przyzwyczajeni do pracy na małych, lekkich łódkach i rozkołysanym morzu. Otworzyłam drugie pudełko, w którym mieścił się stabilizujący żyrostojak.

– Może być, dlatego przy starcie i lądowaniu używamy właśnie tego stelaża. Po odnalezieniu rozbitka nasz dron automatycznie wykrywa, śledzi i okrąża znaleziony obiekt, streamując obraz na urządzenie ratowników płynących na statku matce.

Lekkie zmrużenie oczu powiedziało mi, że zainteresowałam swojego gospodarza, ale do osiągnięcia celu było mi jeszcze daleko.

– No dobrze. Powiedzmy, że pani drony znajdują rozbitka: i co dalej?

– Łączą się przez sieć ze stacją bazową, czyli z jednostką ratowniczą, i ze sobą nawzajem. Jeśli rozbitkowie znajdują się zbyt daleko, żeby ratownicy zdołali do nich szybko dotrzeć, większe drony mogą zrzucić im na dół potrzebne przedmioty, na przykład dmuchaną tratwę albo apteczkę. Nasz maluch nie ma do zaferowania wiele poza obrazem z kamer, bo chcieliśmy spełnić minimalne wymagania sprzętowe, ale za to może unosić się w powietrzu przez cały dzień.

Tym go przeraziłam. Widziałam, że wcześniej w ogóle o tym nie myślał, i teraz popatrzył na mnie okrągłymi oczami, jakbym oznajmiła, że ta oto walizka dolarów może unosić się na wodzie przez cały dzień, zanim utonie.

– A jak bateria się wyczerpie?

– Oprogramowanie ma wbudowaną funkcję „Powrót do domu”. Cały czas śledzi pozycję statku matki i uruchamia kurs powrotny, jeśli poziom naładowania baterii spadnie poniżej określonej granicy.

– To jednak drogi sprzęt. Spore ryzyko.

– Rozważaliśmy korzystanie z gołębi, ale roboty sprawdziły się lepiej.

– Mówi pani poważnie?

– Oczywiście.

Wykorzystanie ptaków nie było nowością – próby usprawnienia akcji ratunkowych trwały od dawna i istniało niewiele, nawet całkiem szalonych, rozwiązań, których straż przybrzeżna nie byłaby skłonna wypróbować. Jeden z takich pomysłów zakładał przewożenie na pokładzie śmigłowca specjalnie wyszkolonych gołębi, które na widok pływającego obiektu dziobałyby pręty klatki. Gołębie są tanie w eksploatacji, mają dobry wzrok i, w przeciwieństwie do pilotów, nigdy się nie nudzą – niestety, są też bezradne w odróżnianiu rozbitków od pływających śmieci.

Oczywiście mając do dyspozycji bardziej zaawansowaną technologię, nie zamierzaliśmy ograniczać się do fundowania ptakom

lotów wycieczkowych. Potrzebowaliśmy do tego potomków gołębi pocztowych, osobników wyuczonych powracania w miejsce, z którego je wypuszczono, i po wszczępieniu im soczewki z kamerą na podczerwień i modułu radiowego byliśmy w stanie oglądać ich oczami większe partie morza. Problem polegał na tym, że nie mieliśmy absolutnie żadnego wpływu na tor ich lotu i szybko stało się jasne, że dopóki nie przejmemy pełnej kontroli nad układem motorycznym ptaków, w żaden sposób nie zmusimy ich, by obierały konkretną trasę i zaglądały w wytypowane obszary. A przecież, jak powiedziałam na samym początku...

Najważniejsze, żeby patrzeć we właściwe miejsce.

– Można spytać, skąd taka nazwa? – Mój rozmówca znów lekko dotknął nieruchomego drona.

– Pasuje, prawda?

Kapitan uśmiechnął się chytrze i w zamyśleniu pogładził palcem podbródek. Przez chwilę spoglądał w okno na morze, które teraz było gładkie i błękitne i gdyby ktoś nie pochodził stąd, pewnie trudno byłoby mu uwierzyć, ile osób mogło tam teraz dryfować na szczątkach wraków, umierając z pragnienia. Podczas katastrofy promu MV Butiraoi, wypadku, który skłonił miejscowe władze, żeby poważniej zająć się problemem bezpieczeństwa, zginęło dziewięćdziesiąt pięć osób, w tym prawie wszyscy pasażerowie dryfujący na łodziach ratunkowych. Jedna z kobiet zmarła w szalupie, rodząc dziecko.

– Można tak powiedzieć. Ale pamięta pani, że heros Tawhaki nigdy nie dotarł do swojej żony w niebie? Spadł do morza i zginął na miejscu.

– Tylko dlatego, że złośliwy Tama-i-waho odrąbał mu skrzydło. Nie dlatego, że był idiotą.

Kapitan uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Prawda. Ale zostaje jeszcze jedna sprawa: na samym początku mówiła pani o wprowadzaniu pozycji zaginionego statku, a my rzadko ją znamy. Jeśli w pobliżu zatonie jakiś zagraniczny jacht, który ma na wyposażeniu boję ratunkową i przed zatonięciem zdąży nadać sygnał... Wtedy tak, ale rzadko trafia się taki luksus. U nas dużo ludzi żyje z łowienia, ale mało kto inwestuje w drogi sprzęt, wypływają na łowiska codziennie rano – teraz mówił do mnie już całkiem jak do cudzoziemki – więc nikt nie zgłasza ich zaginięcia od razu, dopiero gdy zbyt długo nie wracają na posiłek. Czasami dowiadujemy się, że ktoś nie pojawił się w domu od tygodnia. Gdzie mamy zacząć poszukiwania?

– Nawet nie znając pozycji początkowej, nadal można wykorzystać drony do wspomagania poszukiwań.

– Owszem – przyznał Tong. – I to do mnie przemawia, gdyby program bezpieczeństwa sfinansował nam zakup paru takich, moglibyśmy być zainteresowani. Oczywiście musiałbym zobaczyć, jak się sprawdzają w akcji. Bo teraz, jeśli miałbym wybierać, to wolałbym nową łódź patrolową. Bez urazy

– Możemy to zademonstrować.

Powoli pokiwał głową.

– Jeśli chce pani to zrobić, proszę przyjść do nas któregoś dnia wieczorem – zaproponował. – Pod wieczór naprawdę zaczyna się dziać.

Dopiłam resztkę lemoniady, złożyłam stelaż Tawhskiego i schowałam z powrotem do walizki. Głupio zaczęłam z tym właściwym miejscem.

* * *

Ulani odebrał mnie z przystani promowej. Włożył czerwoną koszulę w niebieskie kwiaty i przez chwilę czułam się jak turystka witana przez tubylca – tylko czekałam, aż zarzuci mi wieniec na szyję.

– Cześć, siostra.

Gdy uniósł ręce, zobaczyłam, że pod pachami ma ciemne plamy, i od razu poczułam się bardziej swojsko.

– Ioane nie przyjdzie?

– Dziś nie mogła. Najmłodsza źle się czuje, podobno brzuch ją boli. Ustaliliśmy, że spotkamy się wszyscy u mamy w niedzielę.

– Jak tam mama?

– Wiesz, jak jest. Gdyby czas można było mierzyć w jej westchnieniach, to mielibyśmy już koniec świata.

Z nielicznych ostatnio calli wideo wiedziałam, że matka często skarży się na osłabienie, że bolą ją stawy i najchętniej nie oddala się od domu, jeśli tylko może. Pewnie dlatego nie przyjechała po mnie na przystań.

Korzystając z sytuacji, opuściłam szybę, rozpuściłam włosy i przez całą drogę wystawiałam głowę przez okno. Matka od razu by krzyczała.

Pierwsze, co zobaczyłam po wejściu do jadalni, to dzbanek lemoniady i trzy szklanki.

– Będziemy tylko we troje?

– Nao łowi. – W głosie matki zabrzmiała duma. Wyczołowała mnie w policzki i szurając pantoflami, na powrót zniknęła w kuchni. Przyjrzałam się zastawie.

– Mamo, jak my przejemy taką górę żarcia?

– Siadaj, siadaj. Musisz być głodna po podróży.

Jak zwykle nie chciała pomocy w przygotowaniach, więc po krótkiej chwili niezdecydowania rzeczywiście usiedliśmy i dobraliśmy się z Ulanim do miski. Matka miała trochę racji: wprawdzie przyleciałam na wyspy już wczoraj, ale miałam za sobą kilka dni pełnych hotelowych śniadań i samolotowych posiłków.

W misce był siekany surowy tuńczyk z zieloną cebulką, sosem sojowym, wodorostami limu i ostrymi papryczkami – przez całe studia brakowało mi tego smaku. Tłumaczyłam kolegom, że to taki wyspiarski tatar, ale to w ogóle nie było to samo. W ogóle gdybym miała podsumować naszą kuchnię jednym słowem, to nie zastanawiałabym się ani chwili i brzmiałoby ono: ryby.

Taulea była atolem koralowym – nie wulkanicznym, jak większość wysp Pacyfiku – i niewiele tu rośło, tylko palmy kokosowe, dynie, drzewa chlebowca i pandanu; kapusta i pomidory zostały zaimportowane później i jakoś się przyjęły. Na stołach królował tuńczyk, ale też inne ryby: gotowane, smażone, panierowane, pieczone, w marynacie, przyrządzone na wszelkie możliwe sposoby. W naszej części świata tak zwana kuchnia regionalna właściwie nie istniała, nie było uświęconych tradycją przepisów przekazywanych z matki na córkę, – każdy po prostu brał to, co wyciągnął z morza, i dodawał to, co akurat miał w domu.

– I jak? Smakuje? – zagadnęła matka, wchodząc do jadalni z garnkiem parującego ryżu. Wiedziałam, że to jest ten moment, gdy muszę zacząć rozpląwać się w pochwałach i skończyć dopiero wtedy, gdy matka mi przerwie.

– Tak, myślę, że dobre mi wyszło. Bardzo dobre – stwierdziła w końcu, jakby żadne słowa w ogóle nie padły i ostateczne wydanie werdyktu spoczęło na jej barkach. – Teraz nie jest łatwo o świeże ryby. Na szczęście Nao ma dobrą rękę, zawsze coś przyniesie, a jak nic nie złowi, to zna takiego faceta, który zna kogoś i wtedy...

Narzekania na trudności z zaopatrzeniem w ryby miały u nas długą tradycję: ojciec był rybakiem, więc zaczęły się jeszcze na długo przed tym, zanim wyjechałam na studia. Nao jako jedyny z rodziny poszedł w jego ślady.

Ulani dołożył sobie tuńczyka.

– To kto ci załatwił tę nową pracę? – zagadnął.

Przełknęłam słowo „załatwił”, jakby to był kawałek rybiej tuszki.

– Policja morska z La Vato bierze udział w programie Bezpieczeństwo na Pacyfiku. Chcą się dowiedzieć, jak skuteczniej szukać rozbitków, którzy zaginęli na morzu.

– No proszę. I jak to zamierzasz robić?

– Dronami.

Matka usiadła z nami i przez chwilę słuchała, a w każdym razie nic nie mówiła. Nigdy nie była specjalnie zainteresowana robotyką i widziałam, że aż się pali, żeby zadać to jedyne pytanie, które miało dla niej znaczenie. Byłam ciekawa, ile wytrzyma.

Wytrzymała kwadrans, z zegarkiem w ręku.

– No, ale, jak to się mówi, nie samą pracą człowiek żyje, prawda? – wpadła mi w zdanie i poklepała mnie po ręce, pewnie dla podkręcenia rodzinnej atmosfery. – Jak tam sprawy osobiste? Poznałaś kogoś?

Pytanie padło przede mną na stół jak ciężki włók, który trzeba rozplątać. Wiedziałam, że tak będzie, i przygotowałam sobie kilkanaście wariantów odpowiedzi – jak przystało na kogoś z naukowym podejściem do życia – zapisałam je wszystkie i posortowałam pod względem różnych kryteriów: grzeczności, szczerości i minimalizacji szans na dalsze pytania.

– Jakoś się nie złożyło.

Najlepsze, co zdołałam wymyślić.

– Ojej. – Nic nie było w stanie ukryć ciężaru rozczarowania w jej głosie. – Naprawdę? Nie poznałaś nikogo? Zupełnie?

– To nie takie proste.

– Ale przecież...

Urwała, ale dobrze wiedziałam, co chce powiedzieć. „Od początku o to chodziło, prawda?”. Odwróciłam wzrok od półmiska z pieczonym tuńczykiem i zapatrzyłam się w ciemne plamy na obrusie, majaczące w bieli jak widma obiadów z przeszłości.

* * *

– To co, zajrzysz na chwilę do nas? – spytał mój brat, gdy wstawaliśmy od stołu. Powiedział matce, że nie mógł się doczekać spotkania i chciałby mi pokazać, jak bardzo dzieciaki urosły, ale domyślałam się, że nie tylko o to mu chodzi. Zresztą dzieci już pewnie spały, bo nad oceanem właśnie zapadał zmrok i niebo było już całkiem granatowe.

Ulani i Ioane mieli dom tuż nad brzegiem morza – po raz kolejny pomyślałam sobie, że ono robi, co w jego mocy, żeby nas nie wypuścić. Może była to nasza przypadłość rodzinna, a może ogólnowypsiarska, ale cokolwiek w życiu robiliśmy, i tak nie byliśmy w stanie uciec od niego zbyt daleko. Zajrzałam do środka, ale Ioane właśnie usypiała młodszą córkę – tę z bolącym brzuchem – więc tylko pomachałam im bezgłośnie i wyszłam kuchennymi drzwiami. Usiadłam na wygiętym pniu drzewa rosnącego zaraz za płotem, wyjęłam stopy z sandałów i pogrzebałam w piasku dużym palcem, czując drobne ziarenka, które podmuch wiatru zostawiał na gołej łydce.

Ulani wyszedł z ogrodu, niosąc butelkę wina i dwie szklanki z grubego szkła. Spojrzałam na niego pytająco.

– To dobry pomysł?

Poklepał glukometr w kieszeni.

– Jeszcze tak.

Usiedliśmy w ciszy, ja ze skrzyżowanymi nogami, kiwając bosą stopą, on rozkładając szeroko nogi, z koszulą rozpiętą na piersi. Miałam ochotę poprosić go, żeby przyniósł ukulele, ale z drugiej strony nie chciałam, żeby czuł się, jakby był w pracy, więc milczałam. Pewnie wszyscy znajomi zawsze na to nalegali.

– Nie złość się na nią – poprosił w końcu. – Wiesz, jaka ona jest, to dla niej bardzo ważne. Mnie też nie dawała spokoju.

Machnęłam stopą, zostawiając w piasku brudę.

– Emi, co się dzieje?

– A ty? Też będziesz mi robić wyrzuty?

Nawet w ciemności widziałam jego zdziwiony wzrok.

– Ja? Dlaczego? Nie, nie będę. Pojechałaś się uczyc, o to właśnie chodziło. Inne rzeczy... Cokolwiek ludzie gadają, to przecież nie ma znaczenia.

Milczał przez chwilę, ale widziałam, że coś go zastanawia.

– Ale weź powiedz prawdę. Nie było nikogo...?

Zamierzałam powiedzieć im prawdę. Kiedyś. Równie dobrze mogłam zacząć od bardziej lubianego brata.

– Anna-Lilou powiedziała, że nie może przyjechać.

– Ach! W ten sposób. No trudno.

Powiedział to lekko, ale widziałam, że teraz on grzebie stopą w piasku. „Trudno”, że nie mógł jej poznać? „Trudno”, że istniała? Może oba.

– Wiedziałaś już, kiedy wyjeżdżałaś?

Złość zalała mnie, jakbym przypadkiem opła się morskiej wody, wlała się do płuc i musiałam ją z siebie wyrzucić.

– Najpierw mi mówisz, że to bez znaczenia, a teraz pytasz, czy wiedziałam...?!

Coś zaszurało nam za plecami. Odwróciłam się akurat w porę, by zobaczyć ciemną głowę chowającą się zza sztachetę, tak że tylko kilka drobnych palców na krawędzi deski zdradzało intruza. Przez ostatnie parę minut musiał podchodzić bliżej – teraz, słysząc podniesiony ton głosu, schował się za płot. Ulani wykonał uspokajający gest, jakby jego ręka była liściem palmy na wietrze.

– Nie bój się, Karau. To jest ciocia Emeri, wiesz?

Mały znów wyjrzał ostrożnie.

– Chcesz ją poznać? Ciocia Emi uczy roboty.

– Ja też mam robota!

Pobiegł z powrotem, żeby przynieść jakąś zabawkę ze swojego pokoju. Ulani pokręcił głową, ale dostrzegłam w tym ojcowską dumę.

– Poza tobą chyba on jeden w rodzinie coś z tego kuma. Bardzo dobrze. Może pójdzie w twoje ślady.

– Chciałbyś, żeby to zrobił?

Pokiwał głową.

– A jak nie wróci?

– Wróci. – Głos brata zabrzmiał niepewnie. – Będzie miał godziny do odpracowania.

– To odpracuje i znów wyjedzie.

Ulani westchnął i duszkiem opróżnił szklanekę.

– A niech sobie jedzie. Co ma tu niby robić? Ryby łowić?

Odlałam mu trochę ze swojej i wypiliśmy w milczeniu.

* * *

Było tak: Taulea zajmowała zaszczytne drugie miejsce na liście krajów, w których najwięcej mieszkańców chorowało na cukrzycę (kiedy wyjeżdżałam, plasowaliśmy się o stopień niżej). Cierpiała na nią jedna czwarta osób powyżej osiemnastego roku życia i prawie połowa ludzi powyżej czterdziestki, a najczęstszą przyczyną śmierci w naszej okolicy były choroby sercowe.

Naukowcy próbowali to wyjaśnić na różne sposoby: przez pewien czas obwiniano za to nasze „oszczędne geny”. Selekcja naturalna, twierdzili niektórzy badacze, promowała osobników potrafiących odkładać tkankę tłuszczową, dzięki czemu mogli

skuteczniej przetrwać okresy głodu. Teoria ta była krytykowana już dobre trzydzieści lat temu (mimo wielu prób nie odkryto żadnego konkretnego genu łączącego zmagające się z otyłością populacje), ale pojawiły się inne – mówiono na przykład o „dryfie genetycznym”, który pozwolił na akumulację w jednej populacji genetycznych wariantów sprzyjających otyłości i cukrzycy.

Jak można było temu zaradzić? Niektórzy dietetycy twierdzili, że winny jest biały ryż w diecie i wystarczy go zastąpić brązowym, najwyraźniej zapominając o tym, że brązowy ryż ma jeszcze wyższy indeks glikemiczny. Wiele osób nieco słuszniej zauważało, że przez ostatnie dziesięciolecia mieszkańców wysp bardzo przybyło, a gleby niekoniecznie. Produkty lokalne i świeże były drogie, bo uzależnione od pogody i pory roku; importowana żywność ze sklepów była sycąca i tania. Ten i ów spec przy okazji palnął też, że nie zaszkodziłoby zróżnicować pulę genetyczną.

Od kilkudziesięciu lat Uniwersytet Południowego Pacyfiku miał swoją filię w naszej stolicy, Toborai, połączoną przez sieć z centralną jednostką na Fidżi, ale większość uczniów z okolicy, jeśli w ogóle myślała o zdobywaniu wyższego wykształcenia, wolała wyjechać, korzystając ze stypendiów finansowanych przez organizacje z Australii albo Nowej Zelandii. Nazywano je „stypendiami wyrównawczymi”, „dla krajów rozwijających się”, „dla mniejszości”, ale w którymś momencie w naszej okolicy uznano, że przecież musi chodzić o coś więcej. Wiadomo, młodzież wyjeżdżając, pozna kogoś nieobciążonego, wróć, założą rodzinę i będą mieć zdrowe dzieci. Nie wspomniano o tym w żadnych oficjalnych miejscach ani tam, gdzie twórcy stypendiów mogli to przypadkiem usłyszeć, ale wszyscy uważali, że taki właśnie jest ich sens. W pewnym momencie szkoły, idąc za sugestią kogoś z resortu zdrowia, wprowadziły nawet dodatkowe testy sprawnościowe – w tym bieg na pięćset metrów. Przecież, argumentowano, stypendia miały podnieść ogólny poziom wykształcenia, a kultura fizyczna też jest istotna.

Tradycyjne stypendia naukowe, które przyznawano za same stopnie, były trudne do zdobycia, a ja zawsze byłam lepsza z jednych przedmiotów, z innych – gorsza, ale w ostatecznym rozrachunku zupełnie średnia. Miałam właściwie tylko jeden duży atut – w wieku osiemnastu lat jeszcze na nic nie chorowałam. Nagle w ostatniej klasie odkryłam, że zostało mi do wyboru: zacząć się uczyć lepiej albo wystartować w takiej kategorii, w której średniactwo było całkowicie wystarczające.

Czasem żałowałam, że nie czułam się dość dobra, żeby podjąć ryzyko i spróbować powalczyć o to, co sama w głębi ducha uważałam za „prawdziwe” stypendium. Gdybym tylko wierzyła, że mam choć cię szansy, na pewno bym zaryzykowała – teraz przynajmniej nie musiałabym wysłuchiwać wymówek na temat swojego życia osobistego.

Ulani zapewniał mnie, że i tak bym musiała – jemu matka też suszyła głowę, a przecież nigdzie nie wyjeżdżał – ale jego głos nie brzmiał przekonująco.

* * *

– Jak tam powrót do domu?

Połączyłam się z Anną-Lilou późno w nocy, w swoim starym pokoju, leżąc na łóżku i patrząc na farbę oblażącą w narożnikach. W kręgu światła, tuż pod sufitem, rysował się trzepoczący cień wielkiej ćmy, po drugiej stronie kręgu majaczył łeb jaszczurki, która w świetle mojej lampki zdawała się wielka jak prehistoryczny stwór. Skradała się po obrzeżach, stopniowo przekradając się coraz bliżej ćmy, a ja nie byłam pewna, komu w tym starciu kibicuję.

– Trochę się zmieniło – stwierdziłam wymijająco. – Jak uczelnia?

– Och, sama wiesz. Tutaj im bardziej coś się zmienia, tym bardziej zostaje po starym.

W zeszłym miesiącu na wydziale otworzyło się stanowisko asystenckie – ale tylko jedno, a nas było troje. Od początku było jasne, że to Anna-Lilou jest ulubienicą profesora, więc niespodziewana odpowiedź szefa morskiej policji w Taulei, który był zainteresowany naszą ofertą, spadła nam jak dar z nieba. Dla mnie – bo mogłam tu przyjechać i zachwalać nasz projekt, udając, że niczego nie straciłam, dla Anny-Lilou – bo mogła powtarzać, że będę właściwą osobą na właściwym miejscu. Dla Jana Geerta – bo już nie musiał się zastanawiać, czyją stronę trzymać.

– Są zainteresowani?

– Trochę jakby. Szef policji to łebski facet. Póki co, jest trochę sceptyczny i nie da sobie wcisnąć byle czego, ale jeśli zobaczy, że nasz dron rzeczywiście dużo im ułatwi, to będzie chciał go mieć. Muszę zademonstrować, że to działa.

– W prawdziwej akcji?

– Najlepiej.

– Dasz radę.

– Boję się – przyznałam szczerze. Gekon podkradał się coraz bliżej.

– Wiem, że ci się uda. Jeśli komuś ma się udać, to właśnie tobie.

Jaszczurka uderzyła jak błyskawica, wypadła z kręgu światła i zacisnęła rozwarłe szczęki. Z motylem w pysku jej monsturalny cień wyglądał prawie zabawnie. Jakby nosiła wielką kokardę.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć Annie-Lilou o rodzinnym obiedzie. Nie, uznałam. Niech się cieszy, że projekt zmierza w dobrym kierunku. Po co mam to psuć gadaniem o mojej matce.

– Jesteś sama...?

Nie spodziewałam się, że zapyta o to tak wprost, i poczułam się jak dziesięć lat temu, gdy będąc nastolatką, chowałam się pod kołdrą i wpisywałam w telefonie imiona dziewcząt. Serce zabiło mi szybciej.

– Tylko zamknę drzwi.

* * *

Nao, mój drugi brat, łowił w va'a.

Był w takim wieku, kiedy ludzie z naszej okolicy często mieli już za sobą ślub, ale wciąż mieszkał w swoim starym pokoju, w domu matki. Właściwie to mieszkaliśmy teraz pod jednym dachem, ale prawie się nie widywaliśmy, bo Nao wychodził wcześniej rano. Jeśli skończył łowienie późną nocą, a następnego dnia miał zacząć o świcie, w ogóle nie wracał, tylko spał w chatce na plaży. Moja matka twierdziła, że zbudował ją sam. Czekając na niego, obejrzałam ją z bliska – była to właściwie budka z desek kryta palmowymi liśćmi, z drzwiami zamykanymi na proste skoble z obu stron. Wokół na piasku widać było odciski stóp, większych i mniejszych, jakby sypiała tam więcej niż jedna osoba. Może to dlatego mój brat tak chętnie tu zostawał.

Stojąc na plaży, patrzyłam, jak wyciąga na brzeg kadłub swojej łódki; była tak lekka, że doskonale radziła sobie z tym w pojedynkę. Va'a – zwrotne, wąskie łodzie, stabilizowane bocznym pływakiem – na pewien czas odeszły w zapomnienie, a potem wróciły na nasze wody w dwudziestym wieku i szybko zdobyły popularność jako jednostki regatowe i z innych, bardziej praktycznych powodów.

– Wiecie, dlaczego tak wiele czasu zajęło ludziom osiedlenie się w Polinezji? – tłumaczył nam kiedyś ojciec. – Przybyli tu z północy i zaczęli płynąć z wiatrem w plecy, ale przy Samoa on się odwracał. Nie mogli ruszyć dalej, póki nie nauczyli się żeglować pod wiatr.

Słuchałam go z braćmi, siedząc nieopodal na pochyłym drzewie, które sięgało konarami powierzchni morza. Czasami widzieliśmy z daleka spiczastą płetwę rekina, a wtedy podpuszczaliśmy się nawzajem, kto wetknie nogę do wody.

Rybołówstwo było najpopularniejszym zajęciem w naszej okolicy, zaraz po turystyce, choć wszyscy wiedzieli, że tuńczyki są przełowione i że winę ponoszą głównie duże chińskie kutry. Chińczycy zaklinali się, że nie łamią kwot i nie łowią zagrożonych gatunków, ale wciąż kupowali najwięcej licencji.

Trudno było współzawodniczyć z tymi gigantami, chyba że wpłynęło się między rafy na północy, gdzie nie odważały się zapuszczać wielkie trałowce. W chłodnych prądach przepływających pomiędzy skałami aż kipiało życie: idealne warunki dla tuńczyków, które kilkanaście razy do roku tworzyły tam szalony, wirujący cylinder, gdzie wpływały potem parami, by zapłodnić ikrę. Był z tym tylko jeden problem: pod naciskiem organizacji międzynarodowych cały obszar Rasy Feniksa został uznany za ścisły rezerwat. Przez kilkanaście lat władze przymykały oko na kłusownictwo w większości łowisk na terenie rezerwatu, dopóki łodzie nie zbliżyły się do paru kluczowych miejsc – ale to się musiało kiedyś skończyć. Kilka inspekcji międzynarodowych ujawniło, że sporo jednostek narusza granice chronionego obszaru. Australia i inne kraje zaangażowane w dostarczanie służbom ratowniczym nowych statków patrolowych uzależniły swoją pomoc od tego, jak skutecznie nasze władze rozprawią się z wszechobecnym kłusownictwem.

Mój brat i jego koledzy pomstowali na tę niesprawiedliwość – uważali, że to oni ponoszą największy ciężar ograniczeń, bo wielkie trawlerzy bez problemu mogły wypuścić się dalej w morze. Twierdzili, że byłoby lepiej dla ryb, gdyby władze zaczęły skuteczniej kontrolować dużych graczy, sprawdzając, co właściwie poławiają i w jakiej ilości, zamiast tak gorliwie ścigać drobnych rybaków. To dlatego pływali tymi małymi, lekkimi łodziami, ledwie widocznymi z powietrza, zupełnie niewidocznymi z satelity.

– Cześć, Nao.

– Cześć, siostra.

Odłożył sieci na pokład i objął mnie mocno. Miał duże ręce, chociaż poza tym ustępował posturą Ulaniemu i w ogóle pod każdym względem z moich dwóch braci bardziej przypominał ojca.

– Jak się miewasz?

Wzruszył ramionami.

– Dobrze. W każdym razie mogło być gorzej. Jak tam wyjazd? Owocny?

– Owszem, bardzo.

– A zatem masz kogoś?

To była pułapka, a ja wlałam w nią jak idiotka. Powinnam wiedzieć lepiej.

– Matka ci nie powiedziała?

– Nie masz?

– Nie.

– Czyli co? Zmarnowałaś pieniądze?

W jego głosie zabrzmiało coś, co mogło być śmiechem albo wyzwaniem. Trudno było to odróżnić, Nao często mówił okropne rzeczy tak, jakby oczekiwał, że będę się z tego śmiać, a jeśli się oburzałam, tłumaczył mi, że nie mam poczucia humoru.

– Jak tam połów? – odgryzłam się, zanim zdołałam się powstrzymać. – Biorą?

Od razu trochę pożałowałam; w końcu on też nie miał na tę sytuację żadnego wpływu, a ja nawet nie mogłam udawać, że to żart, bo naprawdę chciałam go zranić – ale kiedy się wzdrygnął, było to bardzo satysfakcjonujące.

Nao znów zajął się sieciami i przez dłuższą chwilę nie zwracał na mnie uwagi, jednak ja stałam jak zahipnotyzowana. Może nie miałam mu już nic do powiedzenia, ale nagle odkryłam, że nie mogę oderwać wzroku od jego łodzi.

* * *

Nie mogę powiedzieć, że ucieszyłam się, słysząc, że pierwszym statkiem, jaki zaginął w okolicy po moim przyjeździe, był amerykański jacht z Hawajów.

Nie mogę, bo gdybym tak powiedziała, to byłoby okrutne. Ale kierownik bazy nieświadomie zrobił coś podobnego przy naszej pierwszej rozmowie, kiedy nazwał katastrofy zagranicznych jachtów „luksusem”. Po prostu jak na pierwsze poszukiwanie mogłam trafić znacznie gorzej.

Przyjechałam do La Vato wieczorem, tak jak proponował Tahei Tong, usiadłam z oficerem dyżurnym i przez dłuższy czas zdawało się, że nic się nie stanie – aż wreszcie koło północy wywołał nas kapitanat Toborai, by oznajmić: „Mamy opóźnioną żaglówkę”.

Zagraniczne jachty miały do siebie, że często meldowały przybycie z wyprzedzeniem, a ten powinien przybyć do portu około siódmej wieczorem. Jego ostatnią potwierdzoną lokalizacją

była plaża w Terainie, którą opuścił rano. Na pokładzie znajdowało się małżeństwo w średnim wieku i kilkuletni chłopiec.

Spojrzałam na to, czym dysponował dyżurny: nie miał nawet dobrze opisanych prądów w zatoce, a informacje o prędkości wiatru musiał pobierać ręcznie z najbliższej stacji meteorologicznej. Jeśli zaginieni płynęli z Terainy do Toborai z mniej więcej stałą prędkością, mogliśmy obliczyć, gdzie w przybliżeniu byli, kiedy zderzyli się z chłodnym frontem, który nadszedł dzisiejszej nocy, choć nikt się go nie spodziewał.

– Proszę spróbować tego – poprosiłam, wręczając mu dysk.

Z Anną-Lilou i Janem Geertem od początku nie mogliśmy się zgodzić, czy ikona delfina to dobry pomysł. Annie-Lilou się to podobało; argumentowała, że delfiny czasem ratują rozbitków.

Dyżurny nawet nie mrugnął okiem, widząc delfina – za to na pewno nie ucieszyła go instalacja bibliotek i aktualizacji map natychmiast po uruchomieniu. Był zirytowany, że coś odrywa go od akcji ratunkowej, ale kiedy w końcu zobaczył program, oczy mu się zaświeciły, a ręka poruszyła się instynktownie. Był młodszym od Tahei Tonga, a interfejs przypominał popularne aplikacje.

* * *

Kuter ratowniczy miał około dwudziestu metrów, a ja stałam na mostku z Małym Tawhakim przy nodze. Wysoka czułość w średnim paśmie podczerwieni zapewniała mu dobrą jakość widzenia zarówno w dzień, jak i w nocy, ale nie chciałam wypuszczać go za wcześnie, bo nocą nie mógł ładować baterii poruszających śmigła. Kilka ultraczułych kamer zamontowanych w niewielkim korpusie tylko czekało na obraz, który mogłyby nam przekazać, a matryca nałożona na piksele czujnika pozwalała wykrywać zmiany faz pomiędzy pikselami. Najlepsze, co zdołaliśmy wycisnąć z pół kilograma wagi i dwunastu centymetrów długości.

Była prawie druga w nocy, kiedy trafiliśmy w zieloną strefę.

Dane wejściowe dla naszego programu poszukiwawczego stanowiła heurystyczna mapa okolicy. Nazwaliśmy ją mapą przekonań, bo cała okolica była podzielona na lokalizacje, z których każda miała przyporządkowane prawdopodobieństwo, że znajduje się tam poszukiwany przez nas obiekt. W miarę jak kuter przemieszczał się z jednej lokalizacji do drugiej, program podawał ratownikom prawdopodobieństwo znalezienia zguby. Jego wartość była różna w zależności od tego, czy jacht był wyrócony,

czy tylko pozbawiony napędu, czy rozbitkowie trzymali się wraku, czy zostali zmyci z pokładu i czy zdążyli włożyć kamizelki. Waga rozbitka też była istotna, a my nie mieliśmy pojęcia, ile ważą ci Amerykanie – ale zakładaliśmy, że jeszcze żyją.

Jedną ręką dla siebie, drugą dla statku, tak uczono mnie na praktykach. Tyle że czasami musiało być inaczej: jedna ręką dla Tawhskiego, druga dla mnie, lina wpinająca mnie do relingu musiała załatwić resztę. Rozłożyłam stelaż na pokładzie i pozwoliłam drowi wzbic się w powietrze. Zerkałam za nim nerwowo jak ptasia matka patrząca na pisklę po raz pierwszy zrywające się do lotu.

Żałoga przypatrywała się ciekawie. Teraz trochę żałowałam, że w ogóle nie dopracowaliśmy wyglądu drona – może powinniśmy byli wcześniej zadbać o to, żeby ratownicy mogli dostrzec w nim przyjaznego pomocnika, a nie tylko kompozytowy konstruk. Może powinniśmy mu dorobić małe oczka.

O świcie znalazł rozbitków.

W wodzie unosiło się dwoje ludzi uczeplonych przewróconego kadłuba jachtu – rzeczywiście byli dość tędy, co pewnie pomogło im przeżyć. Ich syn, któremu w ostatniej chwili zdążyli założyć kamizelkę, został zmyty z pokładu i unosił się w wodzie jakieś trzy mile dalej, skąd podjęła go inna łódź. Ratownicy przekazali go do szpitala Tungaru Central, gdzie stwierdzono zgon – chłopiec był bardzo szczupły i prawdopodobnie doznał ciężkiej hipotermii.

Tahei Tong nie odezwał do mnie ani słowem aż do chwili, gdy kuter zaczął powrot w porcie. W ostatniej chwili, gdy już spakowałam walizki i miałam sobie iść, zaproponował, że zaparzy mi kawę, a potem ktoś odwiezie mnie na prom – co przyjąłam z wdzięcznością, bo po nieprzespanej nocy padałam z nóg, a chciałam jak najszybciej złapać transport do domu zamiast spać w hotelu. Zaprosił mnie do swojego biura; gdy w elektrycznym czajniku bulgotała już woda, sięgnął do szafki i oprócz dwóch szklanek wyjął butelkę rumu. Byłam pewna, że obyczaje nie zmieniły się aż tak bardzo, by proponować alkohol ledwie poznanej kobiecie, ale jednak tej nocy wyłowiono z wody martwe dziecko i domyślałam się, że nawet ratownikom nie zdarzało się to codziennie.

Tong obsłużył mnie, ale sam nie dotknął filiżanki. Pijąc, pomyślałam, że nic dziwnego, bo gdyby nie rum, kawa smakowałaby jak budyń z proszku. Dopiero gdy już wychodziłam, odwrócił się w moją stronę i z wzrokiem wciąż utkwionym gdzieś w ścianie stwierdził:

– Ja bym ich szukał gdzie indziej.

Jego słowa rozbrzmiewały mi w głowie przez całą drogę do domu.

* * *

– Myślisz, że Nao pozwoli mi pomierzyć swoją łódkę? – spytałam Ulaniego, gdy po niedzielnym obiedzie siedzieliśmy w ogrodzie matki, a dzieci, z buziami lepkiemi od pandanu, uganiały się za piłką w cieniu drzew.

Tym razem przyniósł ukulele. Powiedział, że kiedyś spróbował go nie wziąć, a wtedy matka kazała mu po nie wracać aż do domu i wszyscy czekali z obiadem. Teraz brzdękniętą ręką o struny i zabrzmiało to jak dźwięk pękającej szklanki.

– To znaczy nie?

– Wolne żarty. Przecież wie, czym się zajmujesz.

– Szukaniem ludzi.

– Mhm. Dobrze wiesz, po co mu ta łódź i dlaczego nie pływa na czymś bezpieczniejszym. Nao łowi na rafach na północy – jak myślisz, dlaczego zawsze przywozi ryby i matka nie może się go nachwalić? On nie chce, żeby policja potrafiła go znaleźć.

– Na takich łodziach pływa wiele osób.

– To poproś kogoś z jego kolegów, może któryś się zgodzi. – Wzruszył ramionami i zaczął wygrywać pierwsze taktę popularnej melodii. – Tylko nie zapomnij dodać, że płacisz w dolarach.

Poczułam się głupio, że w ogóle o tym nie pomyślałam. Na studiach musiałam sobie dorabiać, ale przez te kilka lat dolary stały się dla mnie po prostu zwykłymi pieniędzmi i już zapomniałam, ile tutaj można za nie kupić.

* * *

– Mój brat to dupek.

Na obrazie z kamery ciemne oczy Anny-Lilou wyglądały na jeszcze większe i teraz spojrzały na mnie pytająco.

– Myślałam, że się lubicie.

– Nie ten brat.

– A czym cię tak wkurzył?

Tym, co poprzednio – ale tym razem ze względu na obecność matki ubrał to w ładniejsze słowa.

– Uważa, że wyjeżdżając na stypendium, zmarnowałam pieniądze. Wszyscy się spodziewali, że wyjadę, wrócę z kimś do domu i urodzę zdrowe dzieci.

– Przestań. – Machnęła ręką. W słuchawkach mi zaszumiało, kiedy uderzyła w coś obok głośnika. – Nasza praca pomoże

ratować ludziom życie. To najlepszy zwrot z inwestycji, jakiego mogą oczekiwać.

Nadal nie rozumiała. U nas zobowiązania wobec rodziny wciąż uważano za życiowy priorytet, bycie dumnym z własnych osiągnięć uchodziło za coś podejrzanego. Nawet mój brat, który crowdfundował swoje płyty na międzynarodowych platformach, nie uniknął wymówek matki, póki nie postarał się o syna.

Jaszczurka czaiła się gdzieś na dole siatki okiennej, najedzona i ocieślała. Ja tymczasem znowu czułam głód i narastającą ciekawość.

– A jak już przy inwestycjach jesteśmy: czy w naszym projekcie są jeszcze jakieś rezerwy? Potrzebuję tak ze sto dolarów.

– Na co?

– Zapłacę jakiemuś rybakowi, żeby pokazał mi swój sprzęt.

– Ty hultajko! – Anna-Lilou parsknęła w mikrofon. – Tak to się teraz nazywa?

* * *

Po trzech tygodniach dałam się namówić znajomym ze szkoły na spotkanie przy drinkach i kawie.

Klimat naszych wysp był zbyt surowy i kawa, czyli pieprz metystynowy, nie była rośliną rodzimą dla tego obszaru – ale gdy już tu dotarła, ludzie po prostu oszaleli na jej punkcie i bary serwujące ten napój wyrosły jak grzyby po deszczu. Nie było żadnych wymyślnych ceremonii wiązanych z jego piciem, nie wymagano, żeby koniecznie serwowała go niezamężna dziewczyna niespokrewniona z żadnym z gości ani nic takiego, nie zabraniano też spożywania kobietom (choć moja matka nie ufała tej używce i nie lubiła nawet przechodzić w pobliżu kawa barów). Ale, podobnie jak w Vanuatu, często podawano ją w łupinie kokosa, bo wszyscy się zgadzali, że to ładnie wygląda.

Przy stoliku zgadałam się z Matang, koleżanką, za którą siedziałam w ławce, gdy byłyśmy w szkole, i czasem tak długo wpatrywałam się w jej szyję i pulchne ramiona, że nie słyszałam pytania nauczyciela. Matang była dobra z historii, ale przeciętna ze wszystkiego innego i nie myślała nawet o studiowaniu na miejscowym uniwersytecie. Wyszła za mąż zaraz po szkole i teraz razem z mężem prowadzili pensjonat za miastem. Od razu zaczęła snuć opowieści o przejściach, jakie miała z turystami, w tym jakimś palantem, który w recenzji na TripAdvisorze nazwał ich backpackerskim hostelem z hotelowymi cenami. Od czasu do czasu

przerywała, żeby zwilżyć gardło albo przesunąć językiem po wargach, pewnie żeby pozbyć się charakterystycznego mrowienia.

– Musisz wpaść do nas na weekend – powtórzyła kilka razy, ściskając mnie za rękę. – Mamy piękny widok na zatokę i łóżka z moskitierą.

– Piękny widok na łóżka?

– Najlepszy.

Przez całe studia nie miałam okazji wypić kawy i teraz poczułam, jak się odprężam, a mięśnie się rozluźniają. Wszystko wokół nas przycichło, jakby stopniowo zwiężał się tunel, którym napływały do mnie bodźce; rozmowa płynęła łagodnym, beztróskim strumieniem. Może zadziałał napój, a może sprawiła to rozmowa z dawno niewidzianą koleżanką, która ani razu nie spytała, czy sobie kogoś znalazłam.

Co miałam do stracenia? Skorzystałam z propozycji.

Najbliższe trzy dni spędziłam nad północną zatoką, na tarasie hotelu Lagoon Breeze, pracując czasem do późnej nocy. Ktoś, kto w recenzji nazwał go „hostelem”, nie wiedział, o czym mówi, albo był przyzwyczajony do innych standardów. Właściciele mieli kilka generatorów i cały dach pokryty panelami słonecznymi, więc mogłam tu nie tylko ładować sprzęt do woli – moglibyśmy urządzić dyskotekę, którą byłoby widać nawet z Północnej Tarawy. Spytałam Matang, czy zna kogoś, kto łowił w wa’a – natychmiast znalazła mi jakiegoś kuzyna, który za sto dolarów zamiast wypływać w morze, z chęcią spędził dzień na plaży, pokazując mi wszystkie tajniki swojej łodzi: pozwalał jej płynąć z prądem, a czasem nawet wywracał do góry dnem. Po południu siadałam z laptopem na tarasie, by przepisać notatki na czysto, a potem wysłać je do Anny-Lilou i Jana Geerta, żeby zaktualizowali bazę Tawhakięgo.

Któregoś wieczora Matang zażartowała, że wyglądam jak zachodnia turystka pisząca relację z podróży swojego życia. Żachnęłam się, a ona ze śmiechem zmierzwiła mi włosy i zawołała syna, żeby wspiał się na palmę i zerwał dla nas kokosa. W czasie tego pobytu wypiliśmy ich sporo, raczej unikając kawy i wina, bo wciąż nie mogłam się pozbyć mrowienia, które na widok Matang czułam w dole brzucha – zwłaszcza jeśli spożyłam wcześniej więcej jednego lub drugiego.

I miała rację z tą relacją. Tyle że moja nie pisała się słowami.

Ostatniego wieczoru wypłynęliśmy razem łódką na zatokę – nie było to wa’a jej kuzyna, tylko zwykła łódź wiosłowa. Skierowałyśmy się najpierw w głąb zatoki, a potem w stronę lasu

namorzynowego, podążając za zachodzącym księżycem jak fala pływowa. Chciałam pomóc, ale Matang upierała się traktować mnie jak gościa, aż w końcu odłożyła wiosła i położyła się na dnie, opierając bosc stopy o ławeczkę. Coś nie dawało mi spokoju i przez chwilę wpatrywałam się w ciemne sylwetki drzew, zanim położyłam się w łodzi równoległe do niej jak druga połowa karty do gry.

– Czy ten las nie rósł jakoś dalej?

– Tak, dlatego chciałam ci go pokazać. W nocy tego dobrze nie widać, ale drzewa z przodu są całkiem suche, ludzie ścinają je na opał. Za dużo słonej wody. Mówią, że jeśli poziom morza dalej będzie się podnosił tak szybko, ten las może całkiem obumrzeć. Po drugiej strony wyspy osadza się piach i robi się solnisko. Może kiedyś da się tam budować, ale las może tego nie przetrwać. Chciałam, żebyś go jeszcze zobaczyła.

Sięgnęła po kokosa, którego przywieźliśmy ze sobą, obrała go ze skorupy i przebiła nożem, ale zrobiła za mały otwór i przy pierwszym łyku miałyśmy kłopot, żeby się zassać. Morze było spokojne, ledwie czułyśmy kołysanie, więc leżałyśmy tak, czasem dzieląc się kokosem, ale głównie spoglądając w niebo.

– Gdybym tak teraz zgubiła wiosła – spytała niespodziewanie Matang – gdybyśmy dryfowały bez celu, ten twój robot umiałby nas znaleźć?

– Tak. Taka łódka to jedna z pierwszych rzeczy, które pomierzyłam.

– Va'a jest trudniejsze?

– To przez ten boczny pływak – wyjaśniłam. – Asymetryczny kształt zmienia przepływ, chociaż nie tak bardzo, jak myślałam.

– A co jest najtrudniejsze do znalezienia?

– Ludzie – odparłam bez wahania. – Jeśli unoszą się o własnych siłach. Kiedyś uważano, że wtedy po prostu dryfują z prądem, ale to nieprawda. To nowość, że jesteśmy w stanie ich w ogóle znaleźć: kiedyś, jak wypadłaś za burtę, to ginęłaś na zawsze.

Leżałyśmy zwrócone w przeciwnych kierunkach, czubkami głów dotykałyśmy swoich ramion, a ja bardzo wyraźnie czułam jej włosy na szyi.

Na pożegnanie oboje z mężem zrobili mi kawę w specjalnie urządzonym pawilonie, w którym parzyli ją dla gości. Potem on podwiózł mnie pikapem do miasta, a ja podziękowałam mu, bardzo starając się nie patrzeć w jego stronę. Cieszyłam się, że nie muszę wracać na rowerze, bo z jednej strony po kawie

zmysły miałam wyczulone, a z drugiej nie do końca ufałam swoim reakcjom na pokrytej kałużami drodze, po której motocykliści pruli czasem z zawrotną prędkością i do tego bez świateł. Było po północy, kiedy wysadził mnie przed domem, i zdążyłam ledwie wtoczyć rower do szopy, gdy moja matka wpadła tam za mną, z twarzą białą jak błoto w kałużach. Nao od wczoraj nie wrócił do domu, wołała, wpijając palce w policzki. Nie dawał znaku życia, a specjalnie dla niego upiekła tuńczyka.

* * *

Policja z początku nie chciała nawet wszczynać poszukiwań. Rybak nie wraca przez dwa dni i to ma być powód do paniki? Chwilę trwało, zanim ich przekonałam, bo jednak ufałam swojej matce, a Nao miał różne wady, ale naprawdę poważnie traktował to, co jej obiecywał. Podobno zjawiała się też jakaś dziewczyna, która twierdziła, że miał się z nią spotkać, ale nie dotrzymał słowa, więc przyszła zobaczyć, czy przypadkiem nie ma go w domu.

Kaitasi Betero, oficer dyżurna, czekała nad mapami, aż podam pozycję początkową. Klęłam na siebie w duchu, że wkopałam się tą wzmianką o „właściwym miejscu”, ale w sumie od początku takie były założenia programu, moje otwarcie prezentacji tylko to podkreśliło.

Poza tym zwlekałam wcale nie dlatego, że nie umiałam określić tego miejsca. „Nao łowi na rafach na północy”, powiedział Ulani. Wiedziałaam, gdzie jest rezerwat, wszyscy wiedzieliśmy, jako dzieci pływaliśmy tam z ojcem. Wiedziała to też pewnie policjantka, czekała tylko, aż pokażę palcem.

Podniosłam rękę, aż zawisła nad mapą. Wiedziałaam, że Nao mi tego nie wybaczy.

– Prawdopodobnie był gdzieś tutaj. – Zakreśliłam krąg palcem i patrzyłam, jak zwążają jej się oczy.

– Jest pani pewna?

Oczywiście. Skoro żyła na tej wyspie, to na pewno miała w rodzinie kogoś, kto łowił, a jeśli łowił, to nie ma siły, czasem musiał robić to tam, gdzie nie było wolno. Może nawet знаła kogoś, kto łowił w wa'a.

– Tak. Brat zabrał mnie tam ostatnio... obejrzeć wschód słońca. Policjantka zmierzyła mnie ciężkim spojrzeniem.

– Czy pani sprzęt potrafi znaleźć taki obiekt? To mała łódka.

Robię to pierwszy raz? Nie wiem? Chcę się dowiedzieć? Tyle odpowiedzi i ani jednej dobrej.

- Wierzę, że tak
- W takim razie zgłaszam. Wysłałyśmy jednostkę.

* * *

Stałam na pokładzie, obserwując lot Tawhakiiego.

Podążał kursem wyznaczonym przez nasz program ratowniczy, metodycznie sprawdzając kolejne sektory o najwyższym poziomie prawdopodobieństwa. Jeśli obserwowało się go z daleka, jego tor lotu zdawał się nie mieć żadnego sensu: z początku dron leciał prosto przed siebie, a potem nagle zaczynał zygzakować jak pijany. Właśnie dlatego od pierwszych testów chciałam nazwać jego program nawigacyjny „Tui”, na cześć ptaków miodojadów, które w dzieciństwie widywałam w zarosniętych zatokach. Ptaki żywiły się nektarem kwiatów lnu, który czasem fermentował od upału, i później poruszały się chaotycznym, nieskoordynowanym lotem, jakby były pod wpływem. Nazwa wydawała mi się trafna i dowcipna, ale Anna-Lilou i Jan Geert w ogóle nie wiedzieli, o co chodzi. Kiedy im wyjaśniłam, Anna-Lilou stwierdziła, że to mało czytelne i jeśli chcę, możemy nazwać nasz program Delfin Tui, ale nie chciałam, bo to by było tak, jakby nazwać go Delfin Papuga.

W ciągu ostatnich dwóch dni nie było żadnych gwałtownych zmian pogody. Wiedziałam to nawet bez sprawdzania danych ze stacji, wczoraj przecież wiosłowałyśmy z Matang po zatoce. Problemem mogło być albo uszkodzenie kadłuba, albo silnika. Mój brat pewnie dryfował teraz gdzieś pomiędzy podwodnymi skałami, czekając, aż ktoś go zauważy.

Odkąd dowiedziałam się o jego zaginięciu, minęły dwa dni, podróż z domu do bazy w La Vato zajęła mi kolejne pięć godzin, i to tylko dlatego, że sama znalazłam sobie transport. Od razu po rozmowie z matką zadzwoniłam do Tahei Tonga, ale akurat nie było go na miejscu, a policja próbowała mnie zbywać. Bez dostępu do słodkiej wody człowiek ma do dyspozycji najwyżej trzy dni, zanim stanie się niezdolny do zadbania o własne życie. Mój brat był doświadczonym rybakiem, zawsze zabierał plastikowy kanister – ale nie wiedziałam, czy nadal jest w swojej łodzi, czy unosi się w wodzie koło przebitego kadłuba, z którego wysypał się cały sprzęt. Na pewno nie mógł nazbierać deszczówki, bo nie padało.

Szybko przestałam widzieć Tawhakiiego i mogłam śledzić go już tylko na mapie. Myślałam o poprzedniej nocy, którą spędziłyśmy z Matang na dnie łódki. Czy dla mojego brata wyglądała

podobnie? Czy w ogóle się nie kładł, bo bał się zasnąć i przegapić przepływający statek? Czy w ogóle miał jeszcze łódkę?

Nigdy w życiu niczego tak nie pragnęłam, jak go teraz odnaleźć.

Gdyby się nie odnalazł, to oznaczałoby, że Mały Tawhaki zawiódł. Nie wiem, czy Tahei Tong pozwoliłby mi na kolejne demonstracje, a nawet jeśli, to dla mnie byłoby już bez znaczenia. Anna-Lilou mogłaby nadal powtarzać, że jestem dobrym zwrotem z inwestycji, ale gdybym nie odnalazła własnego brata, pewnie Ulani przestałby mnie bronić. Nie wiedziałam co prawda, jak zareagują on i matka, jeśli znajdę Nao tylko po to, żeby stanął przed sądem za łowienie w rezerwacie. Skończyłaby się jego słynna „dobra ręka”, skończyłyby się świeże ryby. Nie wiedziałam nawet, czy ma papiery w porządku, bo przecież nie spytałam.

Zamrugałam szybko i mapa rozplynęła mi się przed oczami. Stół nawigacyjny stał się rozmazaną plamą, a potem w powietrzu zadrżały pomarańczowe linie i dopiero po chwili zrozumiałam, że punkt na ekranie rozbłysnął ostrzegawczo. Tawhaki nadał pozycję.

Minęło półtorej godziny, zanim zobaczyliśmy coś na horyzoncie. Va'a kołysało się lekko, a dron krążył nad nim w powietrzu. Pomyślałam o muchach krążących nad zwłokami i padlinożercach czekających na śmierć ofiary, ale Tawhaki przez cały czas transmitował obraz i mimo słabej jakości mogłabym przysiąc, że mój brat żyje.

Prawdopodobnie silnik zawiódł, a potem łódź musiała się wywrócić przy próbach naprawy; Nao zdołał ją postawić w pojeździe – imponujący wyczyn, ale od razu zauważyłam, że na pokładzie brakuje sprzętu. Na wpół siedział, na wpół leżał na dnie, wsparty plecami o burtę, jakby wciąż próbował wypatrywać statków. Był odwodniony, ale nie na tyle, by nie spróbować zejść z pokładu o własnych siłach. Nie odezwał się do ratowników, jednak zaraz po wejściu do pontonu chwycił ręką pływak, dając do zrozumienia, że nigdzie nie ruszy się bez swojej łódki.

Przyglądałam się akcji schowana z tyłu, za plecami załogi – Nao był w kiepskim stanie i nie chciałam go niepotrzebnie stresować. Ale musiał dostrzec Tawhakię już wcześniej i teraz sam poszukał mnie wzrokiem. Na mój widok zdołał unieść głowę i wyprostował się w ramionach ratowników. Mimo zmęczenia oczy mu błysnęły.

– Nie powinnaś – wychrypiał i aż się cofnęłam, widząc tę nagromadzoną złość. W gardle miał sucho i słowa wychodziły z niego jak podrapane.

Dowódca uciszył go natychmiast.

Wcisnęłam w panelu komendę powrotu i Tawhaki, dotąd unoszący się nad powierzchnią wody, posłusznie wrócił mi do ręki na podstawiony stelaż, chociaż morze było tak spokojne, że pewnie mogłabym nim wylądować na pokładzie. Ratownicy sprowadzili już Nao pod pokład, żeby mógł go obejrzeć lekarz, ale wciąż czułam na sobie jego oskarżycielski wzrok.

Ktoś z załogi przekazywał meldunek do bazy. Musiał usłyszeć coś niespodziewanego, bo zmarszczył brwi i poprosił o powtórzenie.

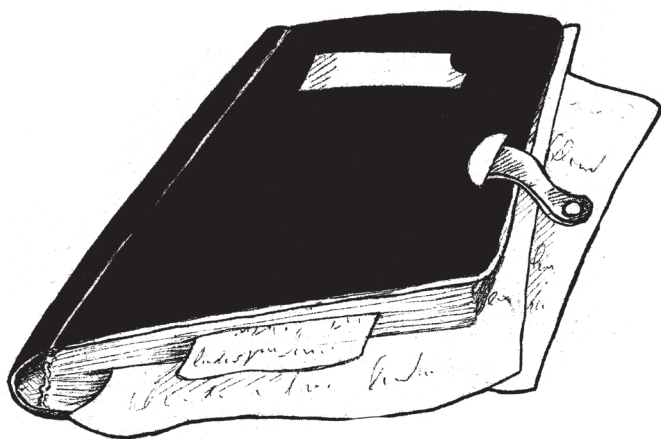
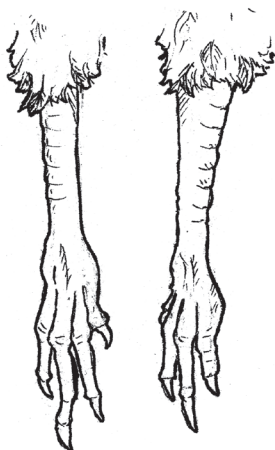
Zbliżył się do mnie i uniósł radio, przykładając mi je do ucha.

– Słyszałem – oznajmił szef policji poprzez trzask i szum, bo byliśmy już na granicy zasięgu. – Dobra robota.

Świat znów zadrżał i zatańczył. Tong naprawdę wierzył w to, co mówił – a ja jakoś nie mogłam.

Krystyna Chodorowska – autorka, programistka, mistrzyni danych i mistrzyni gry. Tłumaczyła utwory Chiny Miéville'a, Rogera Zelazny'ego, Nancy Kress, Grega Egana, Pat Cadi-gan i Neila Willamsona. Autorka powieści i opowiadań, głównie z nurtu fantastyki bliskiego zasięgu i climatepunk. Nominowana do Nagrody im. Janusza A. Zajdla (w tym za powieść „Triskel: Gwardia”) i Nagrody im. Macieja Parowskiego. W ramach podziękowań za pomoc zabita przez Petera Wattsa w powieści „Echopraksja”. Jej opowiadanie „Kłamstwa i prognoza pogody” weszło w skład antologii europejskiej SF wydanej przez „Future Fiction”. Należy do Śląskiego Klubu Fantastyki i grupy pisarek fantastycznych Harda Horda.

Marta Ryczko
O KOBIECIE OD KURCZAKÓW



*Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma Rzym się nazywa...*
Adam Mickiewicz, „Pani Twardowska”

przegrywać – nagrywać coś na nowy nośnik z nośnika
z zarejestrowanym wcześniej materiałem
Słownik języka polskiego

1. Duch, który przeczy

Razem ze Swietlaną oprawiały i porcjowały trzydzieści kurczaków w godzinę. Cztery minuty na jednego ptaka, czasem przez dziesięć, dwanaście godzin. Mimo rękawiczek i grubej odzieży palce cierpły od zimna, chłód docierał do kości. Nic się nie dało poradzić – temperatura w chłodniach musiała być odpowiednio niska, w przeciwnym razie mięso by się psuło. Marlena nienawidziła zimna. Nienawidziła białawego, szpitalnego światła wiszących pod sufitem jarzeniówek. Nienawidziła powtarzanych mechanicznie ruchów, które codziennie odbijały się bólem w jej niemłodych mięśniach i steranym kręgosłupie.

Nienawidziła też zapachu kurczaków. Szampony były bezradne wobec smrodu surowego mięsa, który wnikał we włosy mimo czepka. Dopiero farba w kolorze oberżyny maskowała go wonią amoniakowej chemii.

Ludzie dziwili się, dlaczego kobieta po studiach, wieloletnia nauczycielka języka polskiego, porzuciła posadę w szkole i zaczęła pracę w zakładach mięsnych. Marlena zbywała wścibskie pytania różnymi odpowiedziami. Chętnie narzekała na stan współczesnej oświaty, ale tylko czasem wspominała o konflikcie z młodym dyrektorem i o prostym fakcie, że przy kurczakach płacili lepiej.

* * *

- Marlena, zrób sobie przerwę.
- Jeszcze mam kwadrans do przerwy.
- Szef coś od ciebie chce.
- Mam iść do socjalnego?
- Do biura.

* * *

Nienawidziła chodzić do biur. Nie mogła znieść pracujących tam kobiet – siks w opiętych garsonkach, które nazywały ludzi

zatrudnionych na produkcji nierobami. Ich zblazowane oczy, spoglądające pogardliwie spod utuszowanych rzęs, przypominały jej ostatnie lata pracy w szkole. Niektóre dzieci w starszych klasach patrzyły tak samo. Jakby nauczyciel nie był człowiekiem, ale robakiem.

Z jakiegoś powodu gabinet szefa kojarzył się Marlenie z pokojem jej pierwszej pani dyrektor, chociaż w wystroju obu pomieszczeń nie było dużych podobieństw. Janusz Nowak, właściciel zakładów mięsnych, preferował ciężkie, tapicerowane skórą fotele, meble stylizowane na zabytkowe oraz sielskie widoczki w grubych złożonych ramach. Prawdopodobnie nie wiedział, kto napisał „Zbrodnię i karę”, ale i tak patrzył na Marlenę z wyższością, zupełnie jakby ignorancja okraszona pieniędzmi była powodem do dumy.

Jednak tego dnia Nowakowi brakowało zwykłego animuszu. Miał czerwoną twarz, spocone czoło i nieszczęśliwą minę człowieka, który wolałby znaleźć się gdzie indziej. Na widok wchodzącej pracownicy wstał z fotela.

– Pani Marlenko, już pani jest – powiedział słodko. – Na pewno dobrze zamknęła pani drzwi?

W głowie Marleny automatycznie zapaliła się ostrzegawcza lampka. Kobieta przeniosła spojrzenie na osobę siedzącą na drugim fotelu. Nieznajoma wyglądała na jej rówieśniczkę. Była tęga, ale niebrzydka, bardzo zadbana.

– Pani Marlenko, to Basia. Barbara Wiśniewska. Chodziliśmy razem do technikum. – Szef potarł spocone dłonie o uda. – Basia... pani Wiśniewska chciałaby z panią porozmawiać w cztery oczy i usłyszała, że akurat w moim zakładzie pani pracuje. A tak się składa, że jesteśmy starymi znajomymi, więc nie umiałem odmówić przysługi. To taka delikatna sprawa... Zresztą już sobie wszystko same wyjaśnicie. – Odetchnął, jakby wypowiedzenie ostatniego zdania przyniosło mu ulgę, i szybko wyszedł z pokoju.

Zostały same.

Chociaż Barbara Wiśniewska siedziała rozparta w fotelu, w jakiś przedziwny sposób zdawała się patrzeć na Marlenę z góry. Lustrowała spojrzeniem jej polarową bluzę z logo firmy, proste i tanie dzinsy, ulizane włosy w odcieniu bakłażana. I oczywiście blizny, ale do tego akurat Marlina była przyzwyczajona. Ślady po oparzeniach, pokrywające lewą stronę jej twarzy i szyi, budziły powszechne zainteresowanie. Nawet lepiej, że nieznajoma gapiała się otwarcie, a nie rzuciła ukradkowych, litościwych spojrzeń.

W końcu Wiśniewska założyła nogę na nogę.

– Pani jest matką Beaty – stwierdziła, nie zapytała.

– Jestem – powiedziała Marlena, walcząc z neodpartym wrażliwym, że cofnęła się w czasie o dziesięć lat, znowu jest na wywiadówce i za chwilę usłyszy coś nieprzyjemnego na temat swojego dziecka.

* * *

– Tak, sypiam z nim – przyznała Beata.

Żeby chociaż była zawstydzona albo zmieszana, ale nie, jej wielkie niebieskie oczy jak z plakatu filmowego patrzyły odważnie i wyzywająco. W Marlenie zawrzało.

– Nie spotykasz się, nie jesteś zakochana, tylko sypiasz z nim?!

– Tak, mam. Bogdan Wiśniewski jest moim sponsorem.

– Jak w ogóle śmiesz coś takiego powiedzieć?! Nie wstyd ci?! Przecież to stary chłop! Mógłby być twoim ojcem!

– Ale nie jest. – Znowu ten prowokacyjnie opanowany ton.

– Czyś ty oszalała?! Rozum ci odebrało?! Oni mają dzieci! Boga się nie boisz?! Wnuczka im się niedawno urodziła!

– To nie moja sprawa.

– Jak to nie twoja?! Przecież rozbijasz ich rodzinę!

– Mamo, rodzina Wiśniewskich to problem Wiśniewskich. Nie wnikać w to. Jeśli ta kobieta chce mieć do kogoś pretensje, niech ma je do męża albo do siebie, że nie umie go upilnować. Jeśli ktokolwiek zachował się nie w porządku, to właśnie ona. Co to w ogóle za pomysł, żeby nachodzić cię w pracy?

– Nie przyszło ci do tej pustej głowy, że to twoja wina?! Że przez ciebie musiałam świecić oczami przed Nowakiem?!

– Dlaczego moja? Dlaczego mam brać odpowiedzialność za zachowanie innych ludzi? Ja jestem wolna, nie zdradzam nikogo, nie robię awantur. Mam czyste sumienie.

– Czy ciebie diabeł opętał?! Po to cię wysłałam na studia, żebyś kurwiła się z jakimś chłopem?!

– Nie kurwię się, tylko...

– Jak to nie?! Przecież płaci ci za seks!

– Nie płaci mi pieniędzmi, raczej prezentami. – Beata uciekła wzrokiem, a na jej policzkach pojawił się cień rumieńca. – I obiecał mi kupić mieszkanie w Warszawie – dodała ciszej.

– Mieszkanie w Warszawie?! Po co ci mieszkanie w Warszawie?! Nie wiesz, ile lat ciułałam, żeby postawić ten dom?! Nie wiesz, że sobie żyły wypruwam, żebyś miała wszystko, co trzeba?!

Haruję jak wół, ręce do krwi zdzieram na pieprzonych kurczakach, a ty zamiast być mi wdzięczna do końca życia, puszczasz się jak ostatnia wywłoka!

Myślała, że jeśli będzie wulgarna, jeśli będzie krzyczeć wystarczająco głośno i ranić wystarczająco głęboko, w końcu przebije pancierz chłodnego cynizmu otaczający córkę i jakoś ją poruszy. Udało się, poniekąd. Beata skierowała na nią pełne wyrzutu oczy w kolorze letniego nieba.

– Och, mamó – powiedziała – właśnie o to w tym wszystkim chodzi: ty oczekujesz wdzięczności do końca życia, a Bogdan tylko żebyś zrobiła mu dobrze.

Marlena poczuła, jak jej własna ręka podskakuje, żeby uderzyć. Zahamowała jej ruch, odsunęła się od córki.

– Jak możesz tak mówić... – wychrypiała, już całkiem rozklejona. – Całe życie ci poświęciłam... gdyby nie ty... gdybym ciebie nie miała... wiesz, kim mogłabym być?

– Drugą Grocholą? – W głosie Beaty było więcej współczucia niż kpiny. – Och, daj spokój, mamó. Przecież obie wiemy, że wszystkie twoje teksty były do niczego.

Na wszelki wypadek Marlena odsunęła się jeszcze dalej, a po krótkim namyśle wyszła z pokoju.

W ciemnym salonie grał telewizor. Heniek pólleżał na kanapie z pilotem w ręku, jak zwykle otoczony zapachem samochodowego smaru oraz piwa. Odblaski światła z ekranu migały na jego zmęczonej twarzy. Za oknem w pomarańczowym świetle latarni ulicznej tańczyły grube płatki śniegu.

– Słyszałeś? – Marlena stanęła nad mężem. – Nasza córka ma sponsora.

Nie odpowiedział.

Komentator sportowy zapowiedział występ Kamila Stocha, szczupły skoczek w srebrnym kombinezonie zajął miejsce na belce startowej, poprawił gogle. Heniek obserwował jego ruchy ze skupieniem.

– Nic nie masz do powiedzenia?! – Marlena oparła pięści na biodrach. – Nic cię twoje dziecko nie interesuje?!

– Zazdrościsz jej – mruknął cicho i niechętnie.

– Co?!

– Zazdrościsz Beacie – powtórzył nieco wyraźniej, nie patrząc na żonę. – Bo ty nigdy nie byłaś ładna, nawet za młodu i bez blizn. Tobie nikt nie kupiłby drogiego mieszkania w mieście.

Przez chwilę miała wrażenie, że jej głowa zamieniła się w szklaną kulę ze sztucznym śniegiem, jedną z tych świątecznych dekoracji, którą ktoś właśnie mocno potrząsnął. Teraz grube, białe płatki jak szalone wirują w szklanej skorupie, tworzą zamęt, zaciemniają wszystko.

Co za groteska – pomyślała gorzko, przytrzymując się oparcia kanapy. – Naprawdę wszystko, co stworzyłam, jest do niczego. Całe moje życie jest do niczego. Jak zmarnowany tekst, kiepskie opowiadanie. Powinnam je zrehabilitować od nowa, ale nie wiem jak ani nie mam sił.

* * *

Po raz pierwszy od wielu lat śniła o nocy pożaru.

We śnie nie widziała ani Heli, ani chłopaków, ani swojej siostry. Była sama. Sama na polnej ścieżce. Gdy szła, długie źdźbła mokrych od rosy traw głąskały jej łydki opięte nylonowymi rajstopami. Dźwięki muzyki cichły z każdym krokiem oddalającym Marlenę od remizy.

Nad łąką aromat suszonego siana mieszał się już z gryzącym śwadem. Dym płynął nisko, białymi smugami podobnymi do mgły. Marlena pomyślała, że może ktoś, równie młody jak ona sama, rozpałił w świąteczną noc ognisko. A potem zauważyła lunę.

* * *

Jeszcze przez kilka sekund po przebudzeniu była młodą dziewczyną wracającą z zabawy odpustowej. Miała gładkie policzki i przyszłość pełną nieodkrytych możliwości.

Dopiero widok halogenów na podwieszanym suficie uświadomił jej, kim i gdzie naprawdę jest. Tak, to mój piękny dom, dom prawie jak z katalogu. Pracowałam na niego przez dwadzieścia pięć lat, ciułając grosz do grosza, i zamierzałam przekazać córce, ale ona nie chce z nami mieszkać. Gardzi wsią. Woli mieszkanie w Warszawie, za które zapłaci ciałem.

Pomyślała o kurczakach i poczuła, że nie ma sił wstać z łóżka. Wyobraziła sobie, że znowu zakłada polar i fartuch, upycha włosy pod czepkiem i podnosi nóż. Z jakiegoś powodu ta wizja wydawała się nie do zniesienia.

Nie idź do pracy – usłyszała.

To był wyraźny, męski głos w samym środku jej własnej głowy. Przeraziła się.

Usiadła szybko na łóżku i omiotła wzrokiem sypialnię.

Pusto. Odetchnęła.

Spuściła nogi z łóżka i odnalazła stopami leżące na podłodze pantofle. Zaczynała już wierzyć, że doznała krótkiego złudzenia i wszystko jest w porządku, gdy głos odezwał się znowu.

Nie idź do pracy. Zapomnij o kurczakach i zostań w domu.

– Kto tu jest?! Heniek, nie żartuj sobie!

Zapomnij o kurczakach, zostań w domu i pisz.

Na miękkich nogach, pełna najgorszych przeczuć, zeszła z łóżka i zaczęła chodzić po sypialni. W szafie pusto. Za kotarą też. Co to za absurd, na miłość boską? A może naprawdę zwariowałam?

Zatrzymała się, zrobiła kilka wdechów i wydechów. Na razie głos milczał. Próbowwała wyciszyć emocje, ale i tak ręce jej dygotały, gdy zawiązywała szlafrok. Do pracy miała dopiero na drugą zmianę. Spojrzała na zegarek. Była dziesiąta.

Roztrzęsiona zeszła na dół. W salonie zaskoczył ją widok Beaty, siedzącej z książką w fotelu.

– Co ty tu robisz? – zapytała, jednocześnie przeczesując pomieszczenie niespokojnym wzrokiem.

– Czytam? – Córka obserwowała ją podejrzliwie, oderwawszy wzrok od książki.

– Ale dlaczego jesteś w domu?

– Są ferie, mamo.

– Nie miałeś gdzieś jechać?

– Bogdan zabiera mnie na narty, ale dopiero jutro.

Jeszcze dwa dni temu Beata twierdziła, że planuje wyjazd z przyjaciółmi ze studiów. Marlena powstrzymała się przed uszczypliwym komentarzem, zajęta obserwacją salonu. Wszystko wyglądało normalnie. Czego zresztą oczekiwała? Nóg szepczącego włamywacza wystających spod kanapy?

– Wszystko w porządku, mamo?

– Martw się o siebie.

Ruszyła w stronę łazienki, ale po dwóch krokach zmieniła zdanie i przystanęła.

– Ktoś tu był? – zapytała przez ramię.

– Kto? – zdziwiła się Beata. – Tata?

– Nie. Ktoś inny. Obcy głos.

– Nie, mamo. Nikogo nie widziałam. – Dziewczyna odłożyła książkę i patrzyła z wyraźnym niepokojem. – A ktoś miał przyjść?

– Nikt. – Marlena nie zamierzała dać się rozmiękczyć słodko zatroskanemu spojrzeniu córki.

Weszła do łazienki, zablokowała drzwi i włączyła lampkę nad lustrem. Sztuczne światło załało jej twarz, uwypukliło głębokie załamania zmarszczek. Od kiedy było ich tak dużo? Oparła dłonie na brzegu umywalki i nachyliła się, przyglądając się sobie.

No dobrze – pomyślała – teraz sprawdźmy, czy zwariowałam.

Po chwili wahania maksymalnie odkręciła kran – jak bohaterka filmu szpiegowskiego, która chce zagłuszyć podsłuch. Wprawdzie nie obawiała się pluskwy, ale Beata mogła podejść do drzwi.

– No dalej – powiedziała zagłuszonym przez szum wody półgłosem, jednocześnie zbliżając twarz do własnego odbicia. – Powiedz coś. Wiem, że tam jesteś.

Czuła, jak bije jej serce. Jedno, drugie, dziesiąte uderzenie. Strach walczył z niedorzecznym pragnieniem, by głos odezwał się ponownie. Sama nie rozumiała, dlaczego chce go usłyszeć. Może chodziło o kontrast między tym, co mówił, a tym, co usłyszała wczorajszego wieczora („nigdy nie byłaś ładna”, „twoje teksty były do niczego”).

Patrząc w lustro, miała wrażenie, że widzi siebie na końcu długiej drogi. Szlak prowadził na manowce, a jej własna twarz – opuchlizna na powiekach, pajęczyny zmarszczek – sugerowała brak sił na powrót i szukanie nowej ścieżki.

Jeśli chcesz dojść dalej, zaufaj mi. Dam ci cud, którego pragniesz – obiecał Głos.

Zadzwoiła do pracy z wiadomością, że bierze urlop na żądanie.

– Pan Nowak nie będzie zadowolony. – Siksa z biura zacmokała w słuchawkę.

Marlena się rozłączyła. Na Nowaka też była wściekła.

Zdejmij z szafy pudło ze swoimi starymi tekstami.

Taboret zaskrzybiał ostrzegawczo pod jej ciężarem. Niepokojący dźwięk obudził w Marlenie myśl, że może jednak lepiej zapomniać o tajemniczych głosach i spokojnie doczekać emerytury, porcjując kurczaki. Ledwo zwalczyła pokusę ponownego telefonu do biura i odwołania urlopu.

Wspięła się na palce i zajrzała na szafę. Kurz pokrywał szczyt mebla niczym szara kołderka. Marlena omiotła wzrokiem rzadkie pajęczyny, rozpięte wokół kartonowego pudła. Czyżby podświadomie omijała to miejsce podczas cosobotniego rytualnego sprzątanania? Sięgnęła po karton, który okazał się o wiele lżejszy,

niż oczekiwała. Ostrożnie zeszła z taboretu, położyła pakunek na podłodze i przykucnęła obok. Odprowadziła wzrokiem spłoszonego pająka, po czym otworzyła pudło.

Nie było tego znowu tak wiele.

Podniosła leżący na wierzchu brulion z czasów PRL-u. Miękki, pachnący starością papier przywodził na myśl kruche motyle skrzydła. Ostrożnie przekartkowała pozostałe strony pokryte drobnym, odręcznym pismem. Pod koniec brudnopisu znalazła to, czego szukała: wypracowanie szkolne pod tytułem „Spotkanie Uli i Zenka po latach”, w którym opisała wymyślone losy bohaterów lektury „Ten obcy”. Jej pierwsze docenione opowiadanie, małe arcydzieło, które pan Kowalczyk kazał odczytać na głos przed całą klasą. Nadal czuła podniecenie na wspomnienie tamtej chwili.

Pod brulionem leżały maszynopisy z opowiadaniem, które wysyłała za młodu do różnych gazet – bezskutecznie, żadne nie zostało przyjęte – oraz nowsze zeszyty pełne notatek i wierszy. Ostatni tekst pochodził z dwa tysiące szóstego roku. Jak ten czas leci – pomyślała, wygrzebując z pudła gruby plik kartek A4 opatrzonych nagłówkiem „Pocałunek nieznanego”. To była jedyna powieść Marleny, napisana po sukcesie kinowym „Nigdy w życiu!”. Ach dlaczego, dlaczego, dlaczego żadne wydawnictwo nie przyjęło jej do druku? Nie była przecież wcale zła. Nie gorsza od innych.

Spal to wszystko – powiedział Głos.

Zniosła pudło do kotłowni.

Czuła się dziwnie, wkładając kartki między płomień, jakby wciskała palce w otwartą ranę albo rozdrapywała strupa. Kawałki jej duszy przelane na papier kurczyły się, zwijały, czerniały w ogniu. Słowa, które przechowywała przez lata, bezpowrotnie zniknęły.

– Mamo, nie wolno tak robić.

Spojrzała przez ramię i zobaczyła Beatę opartą o framugę drzwi.

– Nie powinno się palić takich rzeczy w piecu – powiedziała dziewczyna.

– Nie powinno się sypiać z żonatymi mężczyznami. – Ostatni zeszyt wpadł w płomień.

I już. Marlena zatrzasnęła drzwiczki pieca i zabezpieczyła zasuwkę. Córka obserwowała ją uważnie spod zmarszczonych, regularnych brwi.

– Pani Swietłana dzwoniła – powiedziała. – Na domowy, bo nie odbierasz komórki. Pytała, czemu nie będzie cię w pracy.

Teraz zacznij pisać – polecił Głos.

– Naprawdę dzisiaj nie idziesz? – drążyła Beata. – Czemu? Żle się czujesz? Bo chyba nie chodzi o Wiśniewską i Nowaka? Nie przejmuj się tym bucem.

– Zabierasz laptopa? – Marlena wyprostowała się, otrzepała dłonie.

– Co? – Dziewczyna zamrugała.

– Jedziesz w góry z Bogdanem, prawda? Będziesz brała swój mały komputer?

– Nie, chyba nie...

– W takim razie mogłabym go pożyczyć?

Oczy Beaty rozszerzyły się, twarz przybrała najpierw wyraz niemądrego zdziwienia, potem podejrzliwości.

– Tak, chyba tak... Ale po co?

– Chcę coś napisać.

– Przecież nie umiesz używać touchpada.

– Mam przecucie – Marlena spojrzała na puste pudło – że to nie będzie problem.

* * *

Natchnienie załało jej głowę promieniami złościstej euforii. Próbowowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła coś podobnego, i doszła do wniosku, że jeszcze nigdy. Wszystkie poprzednie pierwsze rzeczy rozczarowały ją – pierwszy kieliszek, pierwsza praca, pierwszy seks – ale z pierwszym natchnieniem było inaczej. Soczyste, właściwe zdania eksplodowały w umyśle niczym fajerwerki i gładko przechodziły przez palce. Dłonie same odnajdywały drogę na klawiaturze, jakby znały ją od stworzenia świata. Każde słowo było trafne, każdy akapit dobry. Marlena czuła się jak Bóg z Księgi Rodzaju.

* * *

– I co, ta twoja matka w ogóle nie zamierza już teraz gotować? Bo powiedziałem kilka słów za dużo?

Heniek specjalnie podnosił głos, jednak pochylona nad laptopem Marlena konsekwentnie nie zwracała na niego uwagi. Jej palce tańczyły po klawiaturze. W ich nieprzerwanie szybkich, zaciekłych ruchach było coś niepokojącego. Beata zmarszczyła brwi.

– Nie przejmuj się, tato – powiedziała półgłosem i pociągnęła za klamkę.

Jeszcze przez chwilę w kurczącej się przestrzeni między futryną a skrzydłem drzwi widziała twarz pracującej matki, dziwnie odmłodziłą, skupioną, nieczułą. Wygląda jak Królowa Śniegu na obrazku z książki, którą mi czytała w dzieciństwie – pomyślała i zaraz odgoniła nieprzyjemne skojarzenie.

– Nie przejmuj się, tato – powtórzyła o ton głośniejsze, zamknąwszy drzwi. – Ona robi to specjalnie, żebym się o nią martwiła i nigdzie nie pojechała. To zwykły szantaż emocjonalny. – Poprawiła na ramieniu szelkę sportowego plecaka. – Muszę iść, Bogdan czeka.

– Mogłabyś sobie dać spokój i siedzieć na dupie. Mnie też się to nie podoba.

– Wiem. Ale jestem dorosła – powiedziała z poważną miną na młodziutkiej twarzy. – Mam już dwadzieścia dwa lata.

* * *

Heniek nigdy nie był przystojny, nawet za młodu. Nie bez powodu w wojsku wołali na niego „Szczurza Twarz”. Warszawianki, które próbował zagadywać po kilku głębszych, gdy razem z kolegami szli na przepustkę, zwykle podśmiewały się z niego albo po prostu go ignorowały. Dlatego tak bardzo pasowali do siebie z Marleną. Chuderlawy wieśniak o szczurzej urodzie i tęga polonistka oszpecona poparzeniami.

Jednak kobieta, na którą w tej chwili patrzył, osrebrzona światłem monitora niczym magiczną poświatą, wcale nie przypominała banalnej, wygodnie dopasowanej żony, z którą spędził ostatnie dwadzieścia pięć lat. Pisała, gdy wychodził do pracy, i pisała, gdy z niej wracał. Przestała gotować, a być może także jeść, jednak wcale nie wyglądała na osłabioną. Jej oczy błyszczały, jakby rozświetlone wewnętrznym ogniem.

Beatka nie ma racji – pomyślał Heniek, przyglądając się żonie. – Tu nie chodzi o żadnego Bogdana. Stara po prostu zwariowała. Jak tak dalej pójdzie, wywalą ją z roboty. Może już wywalili.

* * *

Całe rozdziały i poszczególne akapity ułożyły się same, zajmując właściwe miejsca wzdłuż osi spójnej opowieści. Jak pachnące pąki na gałązce różanego krzewu, którym nikt nie musi tłumaczyć, gdzie dokładnie powinny rozkwitnąć. Stawiając ostatnią kropkę, Marlena czuła podniecenie i rozkosz. Miała ochotę przeczytać wszystko od początku, śmiać się i płakać wraz z bohaterami. Jakie to piękne. Jaka piękna opowieść.

Teraz wyślij tekst do wydawnictwa.

– Jakiego?

Wszystko jedno. Tę książkę przyjmie każdy.

Minął tydzień. Minął drugi tydzień. Głos milczał, nadzieja kurczyła się jak pokrywa śnieżna na Spitsbergenie.

Teraz, gdy powieść była gotowa, początkowa euforia ustąpiła miejsca gorzkiemu otrzeźwieniu. Marlena snuła się bezcelowo po domu, rozmyślając, co dalej. W przyływach paniki wertowała internetowe artykuły o kodeksie pracy. Jej palce utraciły niedawną sprawność i myliły litery, gdy mozolnie wystukiwała na klawiaturze: „zwolnienie dyscyplinarne”, „wsteczne L4”. Za późno, na wszystko za późno.

Co ja zrobiłam? – myślała, leżąc na łóżku z szeroko rozrzuconymi ramionami. – Może gdybym poszła do Nowaka i błagała...? Boże, nie. Nie przełknę tego. Niech już lepiej ten podwieszany sufit spadnie na mnie razem ze stropem.

Chociaż świdrowała powalę, jakby chciała przyciągnąć ją wzrokiem, ta nie drgnęła, za to w kieszeni džinsów Marleny zawibrował telefon.

Niebo było niewiarygodnie pogodne, a powietrze zdumiewająco czyste jak na tę porę roku. Gdzieś w tle śpiewały nawet ptaszki. Marlena słuchała ich głosów, idąc ku przystankowi pozbawionym chodnika poboczem. Miała wrażenie, że powtarzają dwa swiergotliwe słowa: „cud” i „zaliczka”.

Wkrótce nadjechał bus, który zabrał ją do miasta. Wsiadłszy na zajezdni, poprawiła na ramieniu pasek torby z podrabianej skóry i ruszyła w stronę pobliskiego dworca. Wytarte obcasy zastukały nerwowo na nierównym chodniku. Pociąg, którym zamierzała dotrzeć na spotkanie z wydawcą, miał przyjechać dopiero za pół godziny.

To nie jest sen. Ani nie żart – powtarzała w duchu, odtwarzając w myślach przebieg rozmowy z panią z wydawnictwa. Nieznajoma chyba z dziesięć razy zapytała, czy Marlena na pewno nigdy dotąd nie publikowała swoich tekstów i jak to możliwe przy takim talencie. Miała dojrzały głos, na pewno była dorosła, a żaden dorosły nie żartowałby z takich spraw.

– To nie jest żart – wymamrotała, przyspieszając kroku. – Ani nie sen.

Jeszcze raz poprawiła pasek torebki, który zsuwał się z ramienia, i nagle zauważyła starszego pana idącego z naprzeciwka.

Okolice małomiasteczkowego dworca nie były o tej porze zatłoczone, ale sylwetka niewysokiego mężczyzny w staromodnym płaszczu w jodełkę i czarnej wełnianej czapce w żaden sposób nie wyróżniała się na tle nielicznych przechodniów. Chociaż staruszek nie przyciągał uwagi, Marlena rozpoznała go natychmiast i stanęła jak wryta. Od razu poczuła nieprzyjemne napięcie mięśni i mrowienie na karku. Chłód zimowego dnia, z którego do tej pory nie zdawała sobie sprawy, zaczął gwałtownie wciskać się pod płaszcz i pełznąć po skórze.

Pan Kowalczyk również zauważył dawną uczennicę. Podeszedł, przystanął, uśmiechnął się dobrotliwie.

– Dzień dobry, Marlenko. Czy pozwolisz zająć sobie chwilkę?

Marlena struchlała ze strachu. Polonista wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętała go z dawnych lat. Spróbowała na szybko policzyć, ile czasu minęło od jego śmierci, ale nie była w stanie skupić się na rachunkach.

* * *

Siedziała napięta, ze sztywnymi plecami, łokciami blisko ciała i dłońmi nienaturalnie zaciśniętymi na blacie kawiarnianego stołka. Przed nią stygła herbata.

Po drugiej stronie stołu starszy pan pił białą, obficie słodzoną kawę. Marlena obserwowała, jak odrywał wargi od filiżanki i obliżywał je z białej pianki.

Pan Kowalczyk zawsze miał słabość do słodkości – pomyślała. – Ale to nie Kowalczyk. To nie jest nawet człowiek. To Głos.

Zdażyła już zauważyć, że nie był idealną kopią: od starego nauczyciela różnił się kolorem oczu, z których jedno było czarne, a drugie zielone. Marlena domyślała się, co to może znaczyć, była przecież nauczycielką języka polskiego.

– Jesteś bardzo milcząca, Marlenko. – Dubler Kowalczyka odstawił filiżankę na spodek.

Zadrżała na dźwięk jego uprzejmego głosu. Staruszek uśmiechnął się lekko.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha, kochana.

– Czego... czego ode mnie... czego pan chce?

– Chcę ci dać sposobność wyboru między dwoma scenariuszami. – Kowalczyk oparł łokcie na blacie, nachylił się do rozmówczyni. – W pierwszym z nich wracasz do domu. Wyjmujesz wydruk powieści, który masz w aktówce, wrzucasz go do pieca i zapominasz o wszystkim.

Marlena odruchowo zacisnęła dłoń na uchwycie torebki.

– A drugi... drugi scenariusz?

Kowalczyk uniośł kącik warg w kpiącym grymasie.

– W drugim scenariuszu wsiadasz do pociągu i jedziesz podpisać umowę z wydawcą. Potem dzieje się cud. Odnosisz sukces, o jakim nie marzyli dotąd nawet najlepsi polscy pisarze. Za cztery lata od teraz twoje książki są tłumaczone na dziesiątki języków, rozchodzą się w milionach egzemplarzy i zajmują najwyższe pozycje na listach światowych bestsellerów. Nie wierzysz? – Przechylił głowę. Jego źrenice błysnęły, lewa brew uniosła się wysoko nad czarnym okiem, podkreślając drobne asymetrie twarzy. – Powiedz sama, czy nie myślałaś o swoim życiu jak o zmarowanym opowiadaniu? Możesz mnie znać za redaktora, który pomoże ci poprawić źle rokujący tekst.

Czy to sen? – zastanowiła się.

Pomyślała o kurczakach, zimnie przesywającym palce, o niekochającym mężu i niewdzięcznej córce. Wyobraziła sobie, że znowu zanurza się w korowodzie pustych, bezsensownych dni. Zawsze wierzyła, że jest przeznaczona do większych rzeczy. Mogła w to wierzyć do samej śmierci i umrzeć z goryczą porażki. Miała wrażenie, że dostrzeża przepastną otchłań zamarnowanych szans, zamkniętą w czarnym oku Kowalczyka. Poczula dreszcz.

Niby-nauczyciel odchylił się na krześle. Zastukał palcami o blat stolika. Na ścianie za jego plecami tykał zegar w kształcie łba wielkiego czarnego kota.

Marlenie przyszło do głowy, że powinna zapytać, kim jest ten mężczyzna i czego oczekuje w zamian za swoją pomoc.

– Dlaczego akurat ja? – zapytała zamiast tego.

Kowalczyk przejechał wzrokiem po nierównościach blizn szpecących jej policzek i spływających po szyi do dekoltu.

* * *

Kawałek dalej Stary Gościniec wpadał w las, za którym znajdowała się kolejna miejscowość: Mordęga. Właśnie do Mordęgi wracali tamtego wieczora, ścigani muzyką z remizy w Wielźcu. Marlena nie potrafiła już rozpoznać słów piosenki, ale nadal wyraźnie

czuła wibracje dźwięku, rozchodzące się w wilgotnym powietrzu nad łąkami.

Gdzieś we wsi zaszczekał pies. Siedemnastolatka objęła się ramionami. Zimne od rosy źdźbła muskały jej łydki, a pantofle i pończochy miała już całkiem przemoczone.

Za plecami słyszała kroki przyjaciół oraz cmokania i chichoty – to pijany Boguś próbował objąć i pocałować Tamcię.

– Idziecie czy nie?! – Marlena przystanęła i fuknęła na siostrę. – Prędzej słońce wzejdzie, nim się dowleczymy do domu!

Tamcia zachichotała, w tej chwili wszystko brzmiało dla niej jak żart.

Zirytowana Marlena spojrzała na zamykających pochod Krystka i Helę – ci przynajmniej nie próbowali się obłapiać.

– Wszystkho w porządku, siosthra – zapewnił Boguś, kładąc spoconą łapę na jej ramieniu. – Idziemy? Idziemy!

Strąciła dłoń chłopaka i zwalczyła pokusę, by przywalić mu w twarz.

– Zobaczcie, jaka zrobiła się mgła. – Hela wskazała białe smugi osnuwające łąkę.

– To nie mgła. – Krystek, najtrzeźwiejszy z towarzystwa, zatrzymał się obok Marleny. – Nie czujecie dymu?

Dziewczyna wciągnęła powietrze w nozdrza. Faktycznie, gryzło nieprzyjemnym swądem spalenizny. Dlaczego poczuła to dopiero teraz? Czy alkohol działał na nią mocniej, niż sądziła? Gwałtownie obróciła głowę. Gwiazdy, widziane kątem oka, na ułamek sekundy rozciągnęły się w długie smugi światła.

– Tam. – Hela wycelowała palec w kępę drzew, nad którymi rozkwitała pomarańczowa luna. – Zobaczcie! Pali się!

– Tam jest jakiś dom? – zaniepokoiła się Tamcia.

– Sad i dom – przytaknęła Hela.

– Taka stara chałupa. – Krystek zmarszczył brwi. – Wójciki. Tak się nazywają ci, co ją kupili.

– Może to nie pożar? Może ktoś robi duże ognisko? – podsunęła Marlena z nadzieją, ale chłopak nie próbował się ludzić.

– Trzeba wezwać pomoc – zdecydował. – Pobiegnę do remizy.

– Ja s tobhą pójdę – czknął Boguś.

– Przecież strażacy spic! – pisnęła Tamcia.

– Wy, dziewczyny, zostańcie... – Krystek ścisnął ramię Heli. – Albo lepiej biegnijcie do tamtych zabudowań, pobudźcie kogo...

– Tam szczekały psy! – zapiszczała Tamcia na granicy płaczu.

– To zostańcie. Wrócę zaraz ze strażakami.

Odwrócił się i ruszył pędem.

– Zaczekhaj...! – Boguś chciał dogonić kolegę. Potknął się o koleinę i runął na twarz.

Tamcia krzyknęła, zaczęła podnosić chłopaka z ziemi. Razem upadli.

Marlena oderwała wzrok od dwóch szamoczących się kształtów. Ciepły powiew od sadu owionął jej twarz, zaszczytał w oczy, które natychmiast załzawiły.

Oprócz dymu wiatr przyniósł coś jeszcze: głos, właściwie płaczliwy wrzask.

– Dziecko. – Marlenę oblał lodowaty pot, a materiał sukienki nagle przywarł do ciała. – Tam jest dziecko. W pożarze. Ono krzyczy.

– Gdzie idziesz?! – Hela chwyciła jej rękę.

– Trzeba mu pomóc!

Hela mocno wpiła palce w ciało przyjaciółki. A potem je rozluźniła, pozwoliła Marlenie iść. Wyglądała na bladą, ale czy taka była? Na wszystkim kładły się mrok i blask, i bimber, pity na zabawie ze wspólnego kieliszka. Marlena nie potrafiła rozróżnić barw, jej osąd był zamglony.

Zaczęła biec przez mokrą, niewykoszoną trawę. Kręciło jej się trochę w głowie, otoczenie traciło pozory realności, jakby nagle wkraçała w krainę snu. Serce biło jak oszalałe, krew tętniła w żyłach.

Przecięła sad i zatrzymała się przed płotem otaczającym zarosnięty ogródek. Dalej stała drewniana chatka, pożerana przez ogień i żar.

Ale dziecko nadal krzyczało. Słyszała je.

Wypatrzyła w ogródku odrapaną żeliwną pompę abisynkę. Zdjęła marynarkę, ochlapała ją pospiesznie wodą i zarzuciła sobie na głowę. Potem wbiegła do płonącej chaty.

* * *

Podczas pierwszej wizyty rodziców w szpitalu, gdy jeszcze prawie wcale nie mogła się poruszać, bo wszystko piekło pod bandażami, ojciec, o którym zawsze myślała, że jest człowiekiem-kamieniem, usiadł na brzegu łóżka i ujął jej dłoń.

– Jestem z ciebie dumny, dziecko – powiedział, a potem się rozplakał.

Marlena obserwowała zmiany na jego twarzy. Nie mogła oderwać wzroku od trzęsących się żółtych wąsów, drżących warg i łez, tnących na przełaj korytarze zmarszczek. Nawet przez ból,

wiercący skorupę farmakologicznej ulgi, czuła wyraźnie radość i ciepło.

– Tak, jestem dumny – powtórzył ojciec, odwracając głowę i ocierając nadgarstkiem oczy, a ona zrozumiała, że czekała na te słowa od momentu, w którym przysłała na świat.

* * *

Jedynymi pielęgniarkami, które wcześniej spotykała, były strzykawki z wiejskiej przychodni, krzyczące na dzieci podczas pobierania krwi. Pracownicy szpitala uniwersyteckiego zachowywały się zupełnie inaczej: troszczyły się, uśmiechały, pytały o samopoczucie. Marlena podchodziła nieufnie do tych uprzejmości, wiedziała, że ojciec nic im nie dawał. Czuła niepokój, zwłaszcza kiedy siostry mówiły „Nie martw się złotko, wszystko będzie dobrze”.

– To dziecko, które uratowałam – pewnego dnia zdobyła się na odwagę i zagadnęła podczas zmiany opatrunku. – Czy ono też było w tym szpitalu?

Dłoń rozwijająca bandaż zastygła w pół ruchu, młoda pielęgniarka opuściła głowę. Marlena natychmiast wyczuła jej nie-naturalne napięcie i gorączkową myśl wróciła do nocy pożaru. Pamiętała ciężar bezwładnego ciała w swoich ramionach. I huk zarywającego się stropu.

– Tak mi przykro, złotko – powiedziała kobieta, podnosząc głowę. – Bardzo mi przykro – powtórzyła z zimną determinacją – ale to dziecko nie żyje. Wyniosłaś z pożaru trupka.

Marlena poczuła, jakby ktoś podciął jej nogi. Upadłaby, gdyby nie siedziała na łóżku. Zrozumiała już, co znaczyły te fałszywe uśmiechy i spojrzenia odwracane w ułamku sekundy.

Fantazjowała, że personel szpitala uważa ją za bohaterkę. W rzeczywistości pielęgniarki wiedziały, że pod zwojami bandaży i plackami palących blizn kryje się durna małolata, która po pijaku zrobiła głupstwo.

* * *

Nawet po trzydziestu ośmiu latach ślady po oparzeniach czasem piekły. Ciało było w tych miejscach inne, nie poruszało się normalnie mimo niezliczonych godzin rehabilitacji oraz obmytych łzami modlitw. Marlena nie potrafiłaby powiedzieć, ile razy szlochała w nocy, błagając Boga o litość i cud.

Tymczasem jej wołanie usłyszał ktoś inny.

Miała ochotę się roześmiać. Właściwie była tak rozbawiona, że łzy napłynęły jej do oczu. Co za farsa – pomyślała.

– Chyba nie większa niż spotkanie z Wiśniewską i późniejsza rozmowa z Beatą – zauważył Kowalczyk, bawiąc się filizanką.

– Nie, nie większa – przyznała, poważniejąc.

– Co teraz zrobisz? – zapytał. – Wrócisz do domu czy pójdziesz na pociąg?

Spojrzała na wielki zegar w kształcie czarnej kociej głowy.

– Już za późno – powiedziała smutno, nie widząc sensu w ukrywaniu żalu. – Pociąg odjechał przed chwilą. Przegapiłam go.

– Skąd. Pociąg, o którym mówisz, ma opóźnienie. Wjedzie na peron dokładnie za pięć minut, więc jeśli się naprawdę pospieszysz...

Zanim skończył mówić, Marlena chwyciła torebkę, zerwała się z miejsca i wybiegła z kawiarni.

2. Karczma „Rzym”

– Dzień dobry, kalendarze kominiarskie roznoszę.

Mężczyzna, którego Ewa zobaczyła po otwarciu drzwi, wyglądał bardziej na żuła niż na kominiarza. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, spróbował wepchnąć jej wydrukowaną byle jak kartkę z rozpiską miesięcy i zdjęciem jowialnego blondyna w czarnym galowym mundurze. Większość ludzi odruchowo otworzyłaby dłoni, ale Ewa zacisnęła pięść i cofnęła rękę.

– Nie mam pieniędzy.

– Starczy symbolicz... – Nim wybrzmiało całe zdanie, czerwona twarz mężczyzny zniknęła za zatraskiwanymi drzwiami.

Ewa przekreśliła zamek.

Przechodząc obok otwartych drzwi mniejszego pokoju, rzuciła okiem na dzieci stłoczone przed komputerem – trzy jasne główki, sześcioro szklitych, szeroko otwartych oczu. Gromadka uroczych szczeniaków w kolorowych kubraczkach wykrzykiwała z ekranu pełne entuzjazmu hasła. Po raz kolejny pieski „uratowały dzień”. Animacja była tak barwna i tętniąca życiem, że łatwiej było uwierzyć w nią niż w szarość ciasnego mieszkania, które od lat błagało o remont.

Ewa przymknęła drzwi do pokoju dzieci i przeszła do drugiego, większego pomieszczenia, które było zarazem salonem, małżeńską sypialnią, jadalnią oraz kuchnią.

Marek siedział na taborecie przy oknie. Patrzył w szybę, mechanicznie mieszając stojącą na parapecie herbatę. Stuk-stuk,

stuk-stuk, metalowa łyżeczka dźwięcznie uderzała o szkło. Ewa wiedziała, że za oknem nie ma niczego ciekawego – mąż po prostu gapił się w przestrzeń. Znowu źle dobrali mu leki – pomyślała. – Pieprzone konowały.

Marek zapadał sobie teraz w wygodne otępienie, cofał umysł do styku jawy i snu, gdzie nie docierały ani lęk, ani nadzieja, a już na pewno nie myśli o przedszkolance, która dzisiaj rano po raz kolejny jazgotała, że zakatarzonych dzieci nie można przyprowadzać i następnym razem nie przyjmie Paulinki. W takich momentach Ewa naprawdę nienawidziła męża. Nienawidziła go przez chwilę, a potem przelykała lzy i brała się w garść. W porządku, pójdziemy do lekarza jeszcze raz. Zmienimy leki. Będzie lepiej. Musi.

Dłoń poruszająca łyżeczką znieruchomiła. Mężczyzna odwrócił twarz ku żonie. Ewa spróbowała dostrzec w nim choćby cień charyzmatycznego marzyciela, którym był, gdy się poznali. Udało się, chociaż nie bez wysiłku. Marek wciąż był szczupły i nadal miał wyraziste kości policzkowe, tylko że teraz w połączeniu z suchą skórą i zapadniętymi policzkami nie wyglądało to już tak dobrze. Po staremu zaczesywał długie włosy w sposób, który upodabniał go do Legolasa ze Śródziemia. Ciekawe, czy w ogóle zauważył, że zrobiły się rzadkie i siwe?

Ewa westchnęła.

– Zjadłbyś coś?

Nie czekając na odpowiedź, która mogła nadejść albo i nie, przesła do aneksu kuchennego, po drodze podnosząc pilota z kanapy. Nacisnęła czerwony przycisk. Telewizorek stojący na szafce obok lodówki ożył.

Trwał właśnie wywiad ze sławną pisarką-celebrytką, Marleną Mazur. Kobieta, która debiutowała grubo po pięćdziesiątce, była obecnie jedną z najpoczytniejszych autorek na świecie, a w zeszłym tygodniu ekranizacja jej powieści została nominowana do Oscara. Ewa zerknęła na ekran, otwierając lodówkę. Nienawidziła pisarzy, zwłaszcza tych, którzy odnieśli sukces, ale tęga starsza pani w beżowej garsonce wzbudzała w niej sympatię, może przez bliźny po poparzeniach, tylko częściowo ukryte pod makijażem.

Któraś z dzieci musiało bawić się termostatem i papier od wędliny przymarzył do tylnej ściany lodówki. Ewa zaklęła i zaczęła go zdrapywać.

Jednocześnie słuchała Marleny Mazur, która motywująco opowiadała o tym, że nie należy nigdy rezygnować z marzeń bez względu na to, jak układa się życie. A moje marzenia?

– zastanowiła się Ewa. – Czy kiedyś jakieś miałam? Nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Czy zgodzi się pani przeczytać tu, w studiu, chociaż niewielką próbkę swojej prozy? – zagadnęła młoda prezenterka. – Wiadomo, że słowa w połączeniu z głosem autora brzmią wyjątkowo.

– Upředzono mnie, że zostanę o to poproszona, więc wybrałam jeden ze swoich ulubionych fragmentów.

– Więc ma pani ulubione fragmenty?

– Oczywiście. Kocham własne teksty i do każdego wracam z matczyną czułością, ale są frazy, które sprawiają mi wyjątkową przyjemność.

Część rozmiękłego papieru odkleiła się, ale reszta została na ścianie. Ewa pomyślała, że będzie musiała umyć lodówkę.

Marlena Mazur zaczęła czytać.

Już pierwsze zdanie uderzyło Ewę. Kobieta zamarła z rozszereżonymi żrenicami.

Po kilku sekundach zrobiła krok w tył, by z dystansu spojrzeć na uszmkowane usta gwiazdy, poruszające się na ekranie.

– Marek – powiedziała, próbując zapanować nad oszołomieniem. – Marek! – powtórzyła głośniej. – Czy ty to słyszysz?!

* * *

Oklaski publiczności objęły Marlenę niczym ciepłe ramiona. Kobieta uśmiechnęła się, ukłoniła i z motylim wdziękiem zeszała ze sceny. Jej miejsce zajęła konferansjerka, która zaprosiła zebranych do holu, gdzie literatka będzie podpisywać książki.

Kiedyś, po przeczytaniu poradnika o pozytywnym myśleniu, Marlena próbowała każdego ranka powtarzać przed lustrem: „Jestem kreatywna, jestem wyjątkowa, jestem kochana”. Teraz nie potrzebowała afirmacji. Wystarczyło, że usiadła przy stoliku, na tle stelaży z długimi plakatami swojej najnowszej powieści, i spojrzała w roziskrzone oczy młodej fanki, która zapiszczała:

– Czytałam wszystkie pani książki!

– Podobały ci się?

– O tak! Łapią za serce!

– Bardzo mnie to cieszy. – Marlena przyjęła podsuniętą książkę i przygotowała długopis. Jej ciepłemu uśmiechowi towarzyszył naturalny ruch zmarszczek wokół oczu i ust. – Dla kogo będzie dedykacja?

– Dla Beaty.

Kobieta spojrzała na niską i pulchną dziewczynę, która w najmniejszym stopniu nie przypominała jej własnej córki.

– Dla Beaty. – Uśmiechnęła się i zaczęła pisać.

Minęły dwa lata, odkąd podarowała córce upragniony warszawski apartament. Gdy po raz pierwszy stanęły na balkonie, z którego rozciągał się widok na pełną światel stolicę, Beata objęła ją i powiedziała: „Mamo, przepraszam, że w ciebie nie wierzyłam”.

Od tamtej pory Beatka zdążyła się znudzić wymarzonym mieszkaniem. Ostatnio coraz częściej narzekała na korki i napomykała o domu na wsi.

– Bo wiesz, mamo, to jednak zupełnie inaczej, jak dziecko ma przestrzeń, żeby się wybiegać – mówiła tym samym pozbawionym wątpliwości tonem, którym niedawno zachwalała zalety życia w mieście.

Niech będzie, wybuduję jej ten dom – myślała Marlena, podpisując kolejne książki i rozdając uśmiechy. – Jeśli zechce, kupię jej nawet zamek. Najważniejsze, żeby była szczęśliwa i ułożyła sobie życie z tym nowym facetem.

Nadal była pogrążona w rozczulających myślach o córce, gdy nagle zauważyła, że podsunęto jej do podpisania nie książkę, ale gruby plik zadrukowanych kartek.

„To nie moje” – miała ochotę powiedzieć, ale zauważyła, że tytuł się zgadzał. „Między ciałami bogów”. To była jej debiutancka powieść. Brakowało tylko nazwiska autora.

Podniosła pytająco wzrok i napotkała roziskrzone oczy krótko obciętej, zaniedbanej trzydziestolatki w szerokiej bluzie. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej ją spotkała.

– Wydrukowała sobie pani mój tekst? – zapytała, niepewna, jak się zachować.

– Nie. – Krótkowłosa podparła się pod boki. – To pani wydrukowała sobie mój.

Marlena zamrugła.

– Właściwie nie mój, tylko mojego męża – ciągnęła nieznamoma, coraz bardziej agresywnie. – Napisał go jeszcze na studiach. Proszę, to pierwsza wersja jego powieści! Niech ją pani porówna ze swoją książką! Wszystko się zgadza! W niektórych miejscach co do przecinka! Skąd ją wzięłaś?! Jak to zrobiłaś!?

Marlena odszukała wzrokiem ochroniarza, który natychmiast znalazł się przy stoliku.

– Proszę zrobić miejsce kolejnej osobie. – Ujął krzykaczkę za łokieć, a drugą ręką wskazał kierunek, w którym powinna się przesunąć.

Krótkowłosa strząsnęła jego dłoń.

– Nie odejdę! Ta baba to złodziejka! – wrzasnęła z całych sił, celując palcem w pierś Marleny. – To książka mojego męża! – Zamachała kartkami nad głową, obracając się do ludzi.

– Proszę o spokój – syknął ochroniarz.

– Napisał ją, ale nie opublikował przez załamanie nerwowe!

Mężczyzna zacisnął szczęki, chwycił awanturnicę i zdecydowanym szarpnięciem wyciągnął z kolejki.

Bezradna kobieta jeszcze raz zamachała kartkami i wypuściła je z wysoko uniesionej dłoni. Białe arkusze rozsypały się jak płatki nedorzecznie wielkiego śniegu. Jeden spadł na blat, wprost przed Marlenę.

Gdy uwaga zebranych skupiała się na wyprowadzanej kobiecie, pisarka zaczęła połykać wzrokiem kolejne linijki. Tak, to był jej tekst.

* * *

– Kobieta, która przyszła do mnie dzisiaj...

– Wiele kobiet przyszło dzisiaj, żeby się z tobą spotkać. Chciały posłuchać, co masz do powiedzenia, uścisnąć twoją dłoń...

– Wiesz, o którą chodzi – przerwała z irytacją.

Rozparty w fotelu Kowalczyk zakręcił szklanką ze szkocką i lodem, przejrzał się w grubym szkle. Doskonale pasował do wystroju loftowego apartamentu: ciemne drewno, surowy beton, diabeł w tweedowej marynarce.

Marlena leżała na kanapie z bosymi stopami ułożonymi na zrolowanym kocyku. Często spędzali wieczory w ten sposób: on w fotelu, ona na kanapie, jak freudowski terapeuta i pacjentka rozciągnięta na kozetce. Szkopuł w tym, że Kowalczyk nie potrzebował psychoanalizy, by wnikać w jej myśli.

– Zdenerwowałaś się tą wizytą? – zapytał.

– Ona... – Marlena przełknęła ślinę. – To była wariatka. Twierdziła, że ktoś inny napisał moje książki.

Kowalczyk pociągnął szkockiej. Marlena obróciła głowę w jego stronę.

– Ona bredziła, prawda? Nie mogła mieć racji.

– Jak myślisz – odstawił szklankę – skąd pochodzą te wszystkie błyskotliwe pomysły i poruszające historie, na których zarabiasz miliony? Ja ich przecież nie wymyślam. Powinnaś wiedzieć, że nie jestem zdolny do stworzenia czegokolwiek, znasz chrześcijańską mitologię.

Marlena rozchyliła wargi, szeroko otworzyła oczy i powoli usiadła.

– Nie patrz tak – powiedział.

– Ja... przecież to ja... Po prostu pomogłeś mi znaleźć natchnienie.

– Natchnienie? Twoje teksty mogły przypaść do gustu stetryczalemu belfrowi za komuny, ale na pewno nie porwałyby tłumów w dwudziestym pierwszym wieku. Zresztą zastanów się: ile czasu poświęciłaś na research do swoich powieści? Wiesz, że profesjonálni pisarze miesiącami zbierają materiały. Ty jesteś w stanie napisać powieść historyczną o, tak. – Pstryknął palcami. – Nigdy cię to nie zastanawiało?

Chwyciła szklanę, którą odstawił, i łąpczywie wychyliła resztę alkoholu. Poczowała szczypanie na języku, ciepło w przełyku, dokładnie jak tamtej nocy, gdy piła za remizą z Tamarą, Krystkiem, Bogusiem i Helą. A niedługo później usłyszała krzyk dziecka w płomieniach. Wspomnienia zalały ją falą gorąca. Zakrztusiła się, przycisnęła dłoń do ust.

– Spokojnie. – Kowalczyk przysiadł na brzegu kanapy i poklepał ją po łopatkach. Nie potrafiła powiedzieć, czy kpił, czy nie.

Dał jej chwilę, żeby ochłonęła, a potem zaczął tłumaczyć, cicho i spokojnie:

– Nazywamy to sztuką przegrywania. Dawniej mówiliśmy o przepisywaniu, ale świat poszedł do przodu, wszystko zostało skomputeryzowane, dlatego dostosowaliśmy terminologię do nowych realiów. W rzeczy samej, chodzi o przenoszenie danych z jednego nośnika na drugi. Możesz to sobie zwizualizować jako przegrywanie dyskietki... nie, wy już nie używacie dyskietek, pomyśl lepiej o kopiowaniu plików z dysku komputera na pendrive'a.

Marlena otarła łzawiące oczy, ale nie była w stanie podnieść głowy.

– To nie były twoje pomysły. – Kowalczyk nadal opierał dłoń na jej plecach. – Żaden z nich. Ale nie musisz się bać. Ani Ewa Szymańska, ani jej mąż Marek nie będą w stanie niczego udowodnić. Dobrze zatarłem ślady.

* * *

Strach chwycił za gardło. Przenikał kości nieuchwytnym zimnem.

Prawda była taka, że już wtedy, w kawiarni, Marlena wiedziała, że Kowalczyk nie jest filantropem, ale ani przez chwilę nie podejrzewała, że za jej sukces zapłacą obcy ludzie.

Na kolejnym spotkaniu autorskim, tym razem w dużej bibliotece, wypatrzyła w tłumie twarz krótkowłosej kobiety i nie była już w stanie dokończyć rozpoczętego zdania. Czuła, jakby coś

wysała powietrze z jej płuc. Ktoś podbiegł, ktoś zaczął ją cucić. Miała wrażenie, że ogląda otoczenie przez szybę rozpędzonego samochodu – wszystko się rozmywało, kolorowe plamy przechodziły w długie smugi barw, tylko twarz Ewy Szymańskiej pozostawała wyraźna na ich tle.

* * *

W następnym tygodniu zasłabnięciem Marleny żyły wszystkie media. Poważna prasa dzieliła zaniepokojenie stanem zdrowia ulubienicy Polaków, a kolorowe pisemka w plotkarskim tonie spekulowały o jej nieuleczalnej chorobie.

Jedno z czasopism zamieściło nawet zdjęcie, na którym była wynoszona z sali bibliotecznej. Marlena kazała swojemu asystentowi kupić egzemplarz tej gazety. Rozłożyła go na ławie i usiadła na kanapie w piżamie oraz szlafroku. Podwinęła nogi, objęła kolana rękoma i skulona patrzyła na zdjęcie. Nie miała siły się umyć. Włosy otaczały jej twarz pomiętą ciemnofioletową aureolą. Nie nałożyła codziennego makijażu, który zamaskowałby zmarszczki i przebarwienia, dobitne dowody bezlitosnego upływu czasu.

Tak – myślała z goryczą – bez złoczonej otoczki talentu jestem tylko starą, samotną kobietą.

Nieświadomie zaczęła obgryzać paznokcie.

Kowalczyk zapewniał, że nic złego się nie wydarzy, ale nie potrafiła mu uwierzyć. Straciła już radość pisania, nie mogła stracić całej reszty. Tamten człowiek był młodszy, miał żonę, ona nie miała nic.

Wcale nie starałam się mniej niż on – pomyślała. – Tylko przypadek sprawił, że jedno z nas przyszło na świat obdarzone talentem, a drugie nie.

– Bartek?! – zawołała, podjąwszy decyzję. – Bartek!

– Już niosę herbatę. – Młody asystent wszedł do salonu z parującym kubkiem w rękę.

– Chcę, żebyś kogoś dla mnie znalazł. Wynajmij detektywa, jeśli będzie trzeba.

* * *

Kazała Bartkowi zaparkować przy śmietniku na końcu parkingu. Było po siódmej rano.

Zima zaatakowała bez ostrzeżenia, jak przed czterema laty, gdy Marlena po raz pierwszy usłyszała Głos. Siedząc w wygaszonym

samochodzie, pisarka obserwowała, jak kolejni przechodnie wydeptują ścieżki na chodniku, którego nikt nie zdążył jeszcze odśnieżyć. Pojedyncze białe płatki tańczyły na tle brudnoszarej bryły odrapanego, nieocieplonego bloku.

Marlena jeszcze raz obróciła w palcach karteczkę z imionami i adresem. Ewa i Marek Szymański. Armii Krajowej 32/16.

Sama nie rozumiała, dlaczego chce poznać tych ludzi. Może gdyby okazało się, że mimo wszystko żyją długo i szczęśliwie, nie czułaby takich wyrzutów sumienia?

Wreszcie drzwi bloku otworzyły się. Z klatki wyszła Ewa.

Marlena wyprostowała się na fotelu pasażera i wyciągnęła szyję.

Szymańska nosiła zbyt cienką jak na tę pogodę kurtkę, za to jej ramiona, szyję i połowę twarzy zasłaniała kraciasta wełniana chusta. Kobieta jedną ręką przytulała niesione na biodrze dziecko, drugą przytrzymała drzwi, przez które maszerowała kolejna dwójka szkrabów. W kolorowych czapeczkach maluchy wglądały jak krasnoludki.

Ewa zamknęła drzwi i upuściła klucze. Pochyliła się i zaczęła grzebać w śniegu, nadal dźwigając dziecko. Nie miała rękawiczek.

Tymczasem starsze dzieciaki zdążyły się rozbiec. Kobieta krzykiem przywołała je do porządku, otrzepała znalezione klucze i wsunęła je do torebki. Gestem wskazała kierunek, w którym znajdował się przystanek tramwajowy.

– Wyglądają na szczęśliwych? – zapytała cicho Marlena.

– Przecież to jakaś patologia.

Spojrzała ostro. Bartek się zmieszał.

– No niech pani zobaczy ich ubrania. I torebka tej babki. Zaraz się rozleci.

– Od razu widać, że masz lepszy wzrok niż ja... – wymruczała, sięgając do własnej designerskiej torebki, w której właśnie poczuła wibracje telefonu.

– Co to za ludzie? – zapytał zaniepokojony.

– Zaczekaj.

„Były mąż” – obwieszczał napis na wyświetlaczu.

Marlena przesunęła palcem czerwoną słuchawkę, odrzucając połączenie. Od rozwodu minęły dwa lata. Nie rozumiała, dlaczego Heniek nadal próbował do niej dzwonić, jednak trochę jej to pochlebiało.

– O, Beatka też coś napisała.

Otworzyła wiadomość od córki. Beata przesłała zdjęcie.

„Zobacz, mamo, to USG 3D! Tak teraz wygląda nasz Kacperek!”

Rzeczywiście, na fotografii było widać wyraźny zarys malutkiej buzi. Marlena zdjęła jedną ze skórzanych rękawiczek i z odruchowym uśmiechem pochyliła się nad telefonem. „Nie miał być Kajtek albo Mikołaj?” – wystukała.

– Może już jedźmy? – podsunął Bartek. – Czy czekamy jeszcze, aż ten facet wyjdzie?

– Zaczekaj je...

Coś uderzyło w boczną szybę.

Marlena poderwała głowę i zobaczyła przez szkło rozwścieszoną twarz Ewy Szymańskiej.

– Szybko! – zawołała. – Zablokuj drzwi!

– Zablokowane – odparł Bartek w tym samym momencie, gdy Szymańska szarpnęła klamkę.

– Otwierajcie! – Wrzask dotarł do Marleny przytłumiony. – Poznaję panią! Wiem, że to pani! Niech pani wysiada! Wysiada!

Przez chwilę targała za klamkę, a gdy zrozumiała, że nie dostanie się do środka, zaczęła okładać samochód pięściami.

– Powiem wszystkim! Powiem wszystko! – Uderzenia dudniły o szybę i karoserię. – Wiem, że pani ma córkę!

– Co ona wyprawia?! – krzyknął Bartek. – Oszalała!

– Jedź! – Marlena klepnęła go w ramię.

– Rozwali szybę! – Przekreślił kluczyk.

– Jedź!

Auto ruszyło.

Marlena bała się, że Ewa skoczy pod koła, ale nie, na szczęście została z tyłu. Jeszcze przez chwilę widzieli sylwetki dzieci, trzymających się za rączki na chodniku. Potem rodzina Szymańskich zniknęła za załomem bloku.

Marlena wypuściła powietrze.

– Co to za wariatka?! – zapienił się Bartek.

– Jedź.

– Przecież tylko staliśmy na parkingu! Jaki ona ma problem?!

– Naraz zmienił wyraz twarzy. – Zaraz. To nie była ta babka od plagiatu?

– Jedź. Po prostu jedź.

Chłopak posłał Marlenie krótkie, ukradkowe spojrzenie, z którego wyczytała wszystko.

Podejrzewa, że mogłam to zrobić – zrozumiała. – A skoro osoba, która widziała mnie przy pracy, jest w stanie uwierzyć w plagiat, każdy inny też uwierzy.

Zalała ją fala gorąca.
Sąd uwierzy. Beata uwierzy.
Przycisnęła dłoń do czoła.
Nie. To nie może się tak skończyć.

* * *

Wiedziała już mniej więcej, o której Szymańska wychodzi do pracy, więc tym razem celowała tak, by zastać samego Marka.

Między odnalezieniem właściwego nazwiska na domofonie a naciśnięciem przycisku wsunęła jeszcze spoconą dłoń do torebki i odszukała dotykiem pękatą kopertę. Tak, taka kwota powinna załatwić sprawę.

Odetchnęła. Nacisnęła przycisk.

Cisza.

Pchnęła drzwi – ustąpiły. Najwyraźniej domofon był zepsuty.

Wspięła się na czwarte piętro i stanęła przed starymi, odrapanymi drzwiami mieszkania numer szesnaście, które harmonizowały ze starą, odrapaną klatką schodową. Zadzwoiła i dłuższą chwilę czekała na wytartej wycieracze. Przeszępowwała z nogi na nogę, błędząc wzrokiem po nieswieżym tynku.

Zawsze trochę gardziła mieszkańcami blokowisk. Dlaczego w ogóle ludzie żyją w takich miejscach? – zastanawiała się, pukając do drzwi, bo skoro domofon nie działał, dzwonek też mógł być zepsuty. – Oczywiście nie mają pieniędzy na nic lepszego – odpowiedziała sama sobie. – Są skazani na gnicie w śmierdzących, odrapanych klitkach. Czy naprawdę w takim miejscu mógł pojawić się geniusz? Człowiek, którego słowa działają jak igły akupunkturzysty i zawsze trafiają w sedno? Pokręciła głową z powątpiewaniem.

Jeszcze raz zapukała i tknięta nagłym impulsem, nacisnęła klamkę. W końcu Marek Szymański mógł jej nie słyszeć. Może spał do południa albo wylegiwał się przed telewizorem, jak większość meneli, których można spotkać na zapuszczonych osiedlach.

– Halo? – Ostrożnie przestąpiła próg. – Jest otwarte, więc wchodzić! – ostrzegła.

Czuła lekki strach, ale pocieszała się, że nawet jeśli gospodarz będzie dotknięty wtargnięciem, koperta z pieniędzmi łatwo go udobrucha. Przygotowała więcej, niż było trzeba, same grube nominały. Otarła spoconą dłoń o płaszcz.

Do przemierzenia przedpokoju wystarczyły jej dwa kroki. Przechodząc obok otwartych drzwi, zerknęła do małego pokoju:

stały w nim piętrowe łóżko, dziecięce łóżeczko i biurko, ściśnięte jedno przy drugim.

– Halo? Jest ktoś w domu? – Jeszcze jeden krok i znalazła się w większym pokoju połączonym z aneksem kuchennym.

Boże, co za burdel. Wszędzie wałały się zabawki, kredki, pomięte kartki z zeszytu oraz ubrania, a nad powszechnym bałaganem unosił się zapach nieumytych naczyń, których sterta zalegała w zlewie. Marlena nie potrzebowała więcej, żeby wyrobić sobie zdanie o mieszkających tu ludziach. Czowała się lepiej. Czowała się lepsza.

Chciała już zawrócić i po cichu wyjść z mieszkania – żałowała, że w ogóle tu przyszła – gdy nagle zauważyła na końcu dużego pokoju jeszcze jedno, wąskie i lekko uchylone drzwi.

Od razu coś w niej drgnęło.

– Panie Szymański?

Powoli, wbrew sobie, podeszła do drzwi.

Przejście prowadziło na zabudowany balkon, najwyraźniej wykorzystywany jako składzik. W słabym, brudnobrązowym świetle przechodzącym przez opuszczone rolety Marlena zobaczyła człowieka skulonego między odkurzaczem a składaną suszarką na pranie. Leżał na boku, na zasłanych pustymi kartkami płytkach, częściowo brudnych od krwi.

Marlena zrobiła krok w tył, przytrzymała się futryny.

Nie, nie mogę teraz panikować, nie mogę wymiotować, nie teraz.

Zmusiła się, by jeszcze raz spojrzeć na mężczyznę, który leżał nieruchomo, ale żył. Jeszcze żył. Krwawiąc z rozciętych nadgarstków, na przemian podnosił i opuszczał powieki jak człowiek, który właśnie się budzi albo zapada w sen.

Marlena wyszarpnęła telefon z torebki.

Jeden. Jeden. Dwa.

Gdy wystukiwała cyfry, przez jej głowę przetaczało się echo dźwięków sprzed ponad czterdziestu lat. Słyszała wyraźnie trzask płomieni i płacz uwięzionego w pułapce dziecka. Wiedziała, że to złudzenie, i nie zamierzała mu ulegać. Zbliżyła palec do ikonki zielonej słuchawki.

* * *

W początkach kariery czuła tremę w obliczu kamer, ale ta pierwsza, niewinna nieśmiałość dawno minęła. Właściwie wołała teraz oglądać się na nagraniach niż w lustrze. Jej twarz, w rzeczywistości

coraz starsza, na ekranie wciąż wyglądała promiennie i młodo, po części dzięki właściwemu oświetleniu, po części dzięki pracy makijażystów.

Dziennikarz, z którym nagrywała dzisiejszy wywiad, miał przyjemnie chropowaty głos i gęste, ciemne włosy. Pewnie kobieta od kurczaków zazdrościłaby mu młodości i filmowej urody, ale Marlena była już kimś innym. Uśmiechnęła się, wymieniła z mężczyzną kilka powitalnych uprzejmości i zaczęła odpowiadać na jego pytania.

– Nie ulega wątpliwości, że mimo późnego debiutu odniosła pani nieprawdopodobny sukces, i to zarówno artystyczny, jak i komercyjny, co rzadko się zdarza. Nie brakuje jednak głosów, że pani ostatnia powieść odbiega poziomem od swoich poprzedniczek. Jak pani myśli, z czego to wynika? Dlaczego krytycy nie przyjęli ciepło „Karczmy »Rzym«”? Czy ta surowa krytyka wiąże się z pewnym niezrozumieniem tekstu? Może z nadmiernym skupianiem się na warstwie dosłownej?

– Cóż – Marlena złożyła dłonie na podołku – krytycy mają swoje prawa. Czasem coś im przypadnie do gustu, czasem nie.

– Przypomnijmy widzom, że pani najnowsza książka opowiada o przeciętnej kobiecie, która pewnego dnia spotyka na swojej drodze diabła. Mefistofeles kusi bohaterkę obietnicą spełnienia pragnień, jednak wkrótce okazuje się, że jej osobiste szczęście wymaga poświęcenia szczęścia osób trzecich. – Dziennikarz spojrzął na Marlenę rzeczowo, bez emocji. To, o czym mówił, było tylko pracą, nie angażowało go osobiście. – W pani historii dobro wygrywa: bohaterka ratuje życie człowiekowi, który poznał jej mroczny sekret. Większość krytyków zarzuca temu rozwiązaniu pewien infantylizm.

– Czy pan – Marlena zmrużyła oczy jak kot leniwie przeciągając się na rozgrzanym parapecie – też postrzega mój tekst w ten sposób? Dla mnie samej „Karczma »Rzym«” jest przede wszystkim opowieścią o potrzebie bycia kochanym i docenionym. Te podstawowe pragnienia tkwią w każdym z nas. O tym chciałam napisać. Czy wyobraża pan sobie, co czuła środkowa z pięciu siostr, gdy wreszcie oddzieliła się od jednolitego tła, wyszła z szeregu niemal identycznych dziewczynek i stanęła przed klasą, czytając wypracowanie? Albo nastolatka, gotowa skoczyć w żywy ogień, by zasłużyć na uznanie wiecznie oziębłego ojca? – Odruchowo dotknęła czoła, w którym zapulsował nagły ból, ale kontynuowała nieco zachrypniętym głosem: – Krytycy narzekają, że bohaterka

„Karczny »Rzym«” uratowała człowieka, który stanowił dla niej zagrożenie, ale czy byliby bardziej zadowoleni, gdyby pozwoliła mu umrzeć? Czy czytelnicy chcieliby takiego zakończenia? Chyba tylko Kowalczyk... – Pochyliła się do przodu, przyciskając dłoń do czoła.

– Dobrze się pani czuje?!

– Tak. – Gestem powstrzymała rozmówcę, który zerwał się z miejsca. – To tylko migrena.

– Pani... oczy. – Dziennikarz znieruchomiał. – Czy wszystko z nimi w porządku?

– Tak.

– Nie bolą panią? Dopiero teraz zauważyłem, że jedno ma inny kolor.

– To heterochromia, choroba tęczówek. Przepraszam, ten ból głowy trochę mnie rozkojarzył i zupełnie zapomniałam, o czym chciałam mówić. – Uśmiechnęła się wymuszenie. – Skoro nagranie nie idzie na żywo, może zaczniemy od nowa?

* * *

Po zakończeniu wywiadu młoda dziewczyna w dżinsach i T-shircie odpięła mikrofon od klapy żakietu Marleny. Gwiazda zdjęła obcasy, roztarła obolałą piętę, a Daria, asystentka przyjęta po rezygnacji Bartka, natychmiast wsunęła na jej stopy wygodne sneakersy.

Pisarka kazała sobie podać torebkę i odszukała w kosmetyczce podróżne lusterko. Zbliżyła je do oka, odciągając powieki palcami.

Żaden z okulistów, których odwiedziła w ciągu ostatniego roku, nie wykrył wady wzroku ani choroby, a jednak różnica między tęczówkami stawała się coraz bardziej widoczna. Marlena nic nie mogła na to poradzić. Nie była nawet pewna, co znaczyła ta zmiana.

Mimowolnie wróciła myślą do chwili, gdy pierwszy raz zauważyła, że jedno z jej oczu ma inny kolor. I do tego, co stało się wcześniej tamtego dnia.

* * *

Jeden. Jeden. Dwa.

Pokonała panikę ściskającą gardło, wybrała numer alarmowy i zbliżyła palec do ikonki z zieloną słuchawką.

Nagle poczuła dotyk na ramieniu. Poderwała i obróciła głowę.

Obok stał Kowalczyk we wspaniałym czarnym garniturze, który kupiła mu, gdy po raz pierwszy znalazła się na szczycie rankingu najlepiej zarabiających polskich pisarzy.

– Co robisz? – zapytał.

– Muszę wezwać pomoc... – wybełkotała, nieskoordynowanym ruchem ręki wskazując Szymańskiego, który wykrwawiał się na balkonie. – Muszę... On nie może umrzeć, nie może...

– Dlaczego nie?

Spojrzała na Kowalczyka ze zdumieniem. Jak mógł o to pytać?

– Bo jest mi potrzebny! Bez niego nie będę mogła pisać!

Beata przestanie mnie szanować – dodała w myślach. – Heniek nie zapłaci już w słuchawkę, jak bardzo żałuje, że mnie stracił. Skończą się autografy, wywiady, nagrody i spotkania z zagranicznymi fanami. Wrócę do tego, co było. Do kurczaków.

– Zaczekaj – powiedział Kowalczyk. – Za kogo właściwie mnie masz? Jestem mistrzem w swojej sztuce i nigdy nie partaczę pracy. – Pochylił się, by zajrzeć jej w oczy. – Nie wyjmowałem z głowy tego człowieka pojedynczych zdań ani pomysłów – mówił spokojnie, wyraźnie artykułując słowa. – Od razu ogołociłem go z całego potencjału, jaki posiadał. Historie, które napisał, oraz te, które mógłby napisać, gdyby nie został spenetrowany, są już w tobie i zostaną na zawsze. Jeśli Szymański zginie, zniknie najważniejszy świadek tej kradzieży, ale jego zasób kreatywności będzie wyłącznie twój. Zastanów się. Oprócz żony nikt nie czytał tekstów Szymańskiego. Nie istnieją dowody, że napisał je wcześniej niż ty. Nie mówiłaś Bartkowi, dokąd idziesz. Nikt nie widział cię przed blokiem.

Marlena pobladła. Jeszcze raz popatrzyła na skulonego mężczyznę, który wyglądał jak zaszytyletowany Marat na obrazie Davida.

Po chwili wahania opuściła rękę z telefonem. Powoli odsunęła się od drzwi.

Marta Ryczko – urodziła się w 1989 roku. Skończyła psychologię stosowaną i studium pedagogiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Obecnie poświęca się wychowaniu trójki dzieci. Od 2019 roku należy do Śląskiego Klubu Fantastyki.

Michał Niedźwiedzki
SPOWIEDŹ KAPITANA NEUMANNA



Kapitan Baltasar Neumann żałował, że nie pozwolono mu się wykapać, ostrzyc i przebrać. Czuł lęk przed śmiercią, ale skoro już miała go dzisiaj dopaść, wolałby wyjść jej na spotkanie, wyglądając godnie. Tymczasem jego dawniej ciemnozłote, ufryzowane włosy urosły tak, że opadały na twarz, zlepione w strąki barwy butwiejącego drewna. Zarost pod nieco zbyt spiczastym nosem oraz na kwadratowym podbródku rozrósł się, gęsty i poskręcany. Koszulę z angielskiego batystu pokryły liczne warstwy brudu oraz potu, podobnie jak niegdyś muskularne, a obecnie stale tracące sprężystość ciało. Wszystkie te zmiany zaszły stopniowo i powoli, tak jak powoli mijał każdy ze stu ośmiu dni więzienia.

Baltasar aż sam dziwił się, jak bardzo nie przypomina siebie z czasów wolności. Musiał jednak przyznać, że ostatnie dni wprost obfitowały w zdarzenia, co stanowiło pewną ulgę dla niszczonego nudą umysłu. Przede wszystkim zmieniono kapitanowi miejsce niedoli, wpraw z wilgotnej celi zamku w Pucku na ciasną klitkę elbląskiej Baszty Złodziejskiej, rankiem zaś na magazyn w miejskiej stoczni, Łasztowni. Neumann siedział więc teraz na złożonej płachcie żaglowej, oparty o beczkę, wdychał woń rozgrzanej czerwcowym słońcem smoły i kłął w myślach. Mimo że sceneria ta przypominała mu ładownie statków, na pokładzie których spędził większość życia, to nieludzka duchota pomieszczenia w porównaniu z chłodem lochu stanowiła zmianę zdecydowanie *in minus*.

– Wody! – krzyknął, uderzając skutymi kajdanami dłońmi w cebrzyk, od dłuższego czasu pusty.

– Nie było rozkazu dać wam więcej – ozwał się zza drzwi pacholek miejski, a potem dodał, wywołując rechot drugiego strażnika: – Poza tym dość chyba spędziliście czasu pośród wody, kapitanie Świętokradco?

Pośród waszych matek w zamtuzie też, pomyślał Neumann. Nie rzekł tego jednak głośno. Nadal bolała go stopa, w którą

po ostatnim hardym komentarzu strażnik wbił okuty koniec drzewca halabardy, a Baltasarowi zdecydowanie zależało na tym, by dzisiaj być w formie.

Zamknął więc oczy, stwierdziwszy, iż drzemka pozwoli łatwiej znieść gorąc i pragnienie. Wtedy usłyszał przybliżający się stukot czyichś kroków. Przybysz wdał się w cichą rozmowę ze strażnikami, po czym szczęknął zamek. Do wnętrza wdarła się smuga światła. Kapitan, mrużąc oczy, dostrzegł w progu wysokiego, szczupłego mężczyznę, który zdjął miękki kapelusz i nieco skłonił siwą głowę. Odziany był w czarne pludry oraz kaftan, od którego odcinała się biała koronkowa kryza. Twarz ponad nią przedstawiała rysy tak pospolite, iż Baltasarowi zdało się, że spotkał mężczyznę już tysiąc razy, a zarazem nie trafili na siebie nigdy. Jedynie intensywnie błękitne oczy przełamywały to wrażenie.

– Witajcie w moich skromnych progach. Przepraszam, że nie zaoferuję niczego do picia. – Kapitan uśmiechnął się i wskazał wiadro, na którego suchym dnie leżał czerpak. – Odjąłbym sobie od ust, ale nie mam czego.

Siwy mężczyzna odwrócił się i zakomenderował pachołkom:

– Przynieście kapitanowi wody. I zdejmijcie mu kajdany.

– Ależ kajdany? Ten hultaj jest niebezpieczny! Jeżeli...

– Złego diabli nie biorą – uciał przybysz.

Następnie otworzył szklone gomółkami okno przy drzwiach i usiadł na drewnianej skrzyni, skąd patrzył w milczeniu, jak strażnik nadchodzi z kolejnym cebrem wody, a następnie rozkuwa więźnia i opuszcza magazyn.

– Jak was zwą, wielobny? – spytał Neumann napiwszy się, po czym jął rozmasowywać nadgarstki.

– Tord Eriksen. – Wypowiadając to, mężczyzna przeciągnął charakterystycznie samogłoski, mimo że wcześniej mówił po niemiecku bez akcentu.

– Duńczyk? Czy ktoś ze mnie zakpił, wysyłając do mnie akurat was?

– Trudno mówić o narodowości takich jak ja – padła okraszona uśmiechem odpowiedź.

Baltasar uniósł głowę. Zastanawiał się, czy kapłan uniknął tak jedynie przyznania niewygodnego faktu, czy też odpowiedź była przejawem jego głębokiego uduchowienia, każącego wierzyć, iż słudzy Boga zaiste poddani są jedynie Królowi Niebieskiemu. Jednak w gruncie rzeczy faktycznie nie miało już znaczenia, czy

przybysz pochodził z Prus, Danii czy nawet Kataju. Gdy spytano kapitana o jego ostatnie życzenie, nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu poprosił o spotkanie z dwiema osobami. Prośbę spełniono i wczorajszego dnia widział się z żoną, której wydał parę poleceń, co zrobić z ukrytą resztką majątku, by zapewnić jako taką przyszłość sobie oraz synom. Potem odprawił ją szybko, mimo że lgnęła do niego, płacząc ciągle, i na kolanach błagała, by pobyl z nią jeszcze bodaj pacierz. Nie chciał jednak, by zapamiętała go okazującego słabość.

Drugą osobą, o spotkanie z którą kapitan poprosił, był pastor.

– Prawdę rzekłszy, wielebny, zdumiałem sam siebie, prosząc o spotkanie z duchownym tego dnia. W zasadzie bardziej w moim stylu byłoby chyba zażądać paru chwil z ładacznicą.

– A czy to taka wielka różnica?

Baltasar zaśmiał się. Przeszło mu przez myśl, że polubiłby pastora i szkoda, że spotkali się dopiero teraz. Eriksen, spoważniawszy jednak szybko, utkwiał w Neumannie świdrujące wejrzenie jasnych oczu.

– Mówiąc serio, niezbyt wam się dziwię. Wszelako zastanawiam się, czego dokładnie ode mnie oczekujecie, kapitanie. Spowiedzi?

– Chyba... Będziemy się modlić, mam klęknąć? Wybaczcie, nie zachodziłem ostatnio zbyt często do zboru... Zaś nawet gdy to czynił, nie zdarzyło mi się prosić o spowiedź uszną.

– Nie jestem miłośnikiem ceremoniałów. Myślę, że wystarczy zwyczajna rozmowa.

– Mam wyznać po kolei wszystkie grzechy, jakie pamiętam?

– Nie, mości kapitanie. Tych pomniejszych jest pewnie sporo, nieszczęśliwie zaprzatają wam głowę, a ja, swego rodzaju znawca grzechów, większość przeczuwam. – Pastor znów się uśmiechnął.

– Skupcie się, proszę, na tych... ciekawszych. Tych, których prawdziwie żałujecie.

Kapitan pokiwał wolno głową. Taki układ mu pasował. Duchowny na szczęście nie okazał się fanatykiem.

– Od czego mam zacząć? – spytał Baltasar raczej sam siebie, wstając z żągla i rozglądając się za skrzynią, na której mógłby usiąść.

– Najlepiej od początku, kapitanie. Czy pamiętacie, cóż sprawiło, żeście się tutaj znaleźli?

* * *

Baltasar pamiętał dobrze. Każde słowo, jakie padło tamtego dnia pod krzyżowym sklepieniem sali puckiego zamku, wwiercило mu się w umysł niczym natrętny skorupiak w kadłub okrętu.

– Kapitan Neumann dopuścił się swojego niecnego postępcu w chwili, gdy położenie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i Miłościwego Pana jest szczególnie delikatne. A cóż nim kierowało? Chciwość! Zasluguje więc na śmierć! – grzmiał zażywny jegomość w czarnym kaftanie, uderzając raz po raz pięścią w stół, aż dzwoniła srebrna zastawa.

Siedzący po drugiej stronie blatu na samotnym krześle pośrodku sali Baltasar wlepił spojrzenie w kajdany, które miał wówczas na sobie pierwszy raz. Nie uczynił tego jednak ze strachu bądź wstydu. Brało go obrzydzenie, kiedy słyszał, jak opasły patrycjusz Valentin Überfeldt, przedstawiciel Gdańska w monarszej Komisji Morskiej, używał takich wyrażen jak „Najjaśniejsza Rzeczpospolita”, „chciwość” czy „Miłościwy Pan” w trzy lata po tym, jak jego towarzysze z Rady Miasta w obronie swoich kiesek wszczęli przeciwko jego królewskiej mości Zygmunтови Augustowi bunt.

– Prawda, że konsekwencje tego, co zaszło, są daleko idące. – Opat oliwski Geschkau siadł wygodniej na krześle, poprawiając przekrzywiony czarny szkaplerz na białym habicie. – Nie mamy jednak podstaw sądzić, mości panowie, iż kapitan zaiste nie padł ofiarą fortelu, przez co nie mógł przewidzieć rozmiaru tychże konsekwencji. Bez wątplenia postąpił niesłusznie i z premedytacją uchybił skarbowi królewskiemu. Należy go tedy przykładnie ukarać na majątku, konfiskatą, zaś za uchybienie majestatowi banicją.

– Wydaje mi się, że przez najprzewielebniejszego opata nadto przemawia miłosierdzie – pokręcił głową siedzący przy drugim krańcu stołu Swaroczyński, dworzanin królewski, błyszczący złoto wyszywany dubletem. – Nawet jeśli kapitan faktycznie nie przewidywał, co zaprawdę się wokół niego dzieje, to jako królewski dowódca przewidzieć miał obowiązek. Może więc nawet zawniósł nie przez *dolus*, a przez *neglegentię*. Wciąż jest jednak winny. Zdrady. A za zdradę karze się śmiercią.

– Ja przychyliam się do słów najprzewielebniejszego ojca Kaspara – rzekł zasiadający pośrodku kasztelan Jan Kostka, dla odmiany krótko; wsparł przy tym podgoloną głowę na palcach i spojrzał smutno na podsądnego.

Baltasar słuchał głosów z napięciem wywołującym mdłości, ale nie dziwiły go stanowiska poszczególnych członków królewskiej kolegalnej admiralicji. Überfeldt najchętniej ściałby go bodaj za niedotrzymanie piątkowego postu. Swarożyński mało znał się na sprawach morskich i dbał raczej o właściwe nagłośnienie odpowiednich aspektów bałtyckiej polityki króla, zatuszowanie zaś tych, które stawiały Jagiellona w złym świetle. Mając takie zadania jak on, kapitan sam wydałby na siebie wyrok śmierci. Opat Geschkau oraz kasztelan Kostka – jedyny zasiadający za stołem żołnierz – znali jednakże Baltasara od przeszło dekady. Dał im się znać jako skuteczny kaper i wierny sługa królewski, zwłaszcza w zatargach z władzami potężnego nadmotławskiego grodu. Neumann utkwiał więc wzrok w piątym członku zebranego składu komisji, kupcu rodem ze Szczecina i monarszym bankierze. Ów przysłuchiwał się wyrokowaniu o ludzkim życiu najwyżej jednym uchem. Kapitan przysiągłby, że Johanna Loitza pochłonęły myśli o odległych interesach i za zamglonym spojrzeniem rozum jego zamienił się w księgę rachunkową, gdzie między czarną a czerwoną stroną przesuwają się laszty zboża, sakiewki florenów tudzież pliki weksli.

– Mości Loitz? – chrząknął przewodniczący obradom komisji kasztelan. – Wasz głos będzie tutaj ważyc. Cóż rzekniecie?

– Ach, oczywiście. – Szczecinianin uśmiechnął się miękko sponad wysadzanego rubinami łańcucha. – Cóż, zaiste niełatwa to sprawa i jak to zwykle bywa, prawda oraz sprawiedliwość leżą pośrodku. Racją jest, że mości kapitan mógł sobie nie zdawać sprawy z konsekwencji swoich przewin. Racją jest także, że powinien był, a ich waga uzasadnia najdotkliwszą karę. Nie ma wątpliwości, iż majątek mości kapitana musi ulec sekwestracji. Natomiast co się tyczy dalszej kary, cóż, gdym w młodości odwiedzał francuskie porty Hawru i Caen...

Baltasar ukrył twarz w dłoniach. Nie potrafił znieść spokojnego tonu Loitza i jego okrągłych zdań. Mdłości nasiliły się.

– Natomiast co się tyczy dalszej kary, prosilibyśmy *ad rem*.
– Głos opata sugerował podobne odczucia. – Nie sposób stanąć z wyrokiem pośrodku między życiem a śmiercią.

Kupiec pokornie skłonił głowę w kierunku mnicha.

– Choć bez ochyby najprzewielebniejszy ojciec wyznaje się lepiej ode mnie na materii życia i śmierci, pozwolę sobie nie zgodzić się z tym stwierdzeniem.

* * *

Kapitan wstał ze służącej mu za siedzenie skrzyni, z której ulatniał się lekki miodowy zapach wosku. Gestem zaprosił Eriksena, by podeszli razem do okna.

Magazyn ustawiony był szczytem do terenu Łasztowni, stoczni cechu armatorów. Za nim majaczyła fosa, wał i ceglane mury, z których wyrastały baszty, w tym potężna wieńcząca Bramę Targową. Z prawej błyszczała migotliwymi refleksami rzeka Elbląg, a po obu jej brzegach jaśniały soczystym wciąż pomarańczem bastiony, wzniesione przed niespełna trzema laty. Zza linii miejskich fortyfikacji wychylały się dachówki domów Starego Miasta, nad którymi górowały kościoły – tuż za murem trójkątny szczyt świątyni Najświętszej Marii Panny, dalej strzelista wieża kościoła Świętego Mikołaja oraz niska Świętego Ducha, a także zieleniąca miedzią wieża ratusza. Wzrok obu mężczyzn skupił się jednak na samej stoczni. Plac przy brzegu rzeki w znakomitej części zajmowała specjalnie wzniesiona pochylnia, na której ustawiono rufą do wody kadłub potężnego okrętu.

Miał on ponad sto trzydzieści stóp długości, zaś piętrowe kasztele przewyższały mieszczkańskie kamienice. Już sam rozmiar jednostki był imponujący, choć wciąż brakowało jej masztów, uzbrojenia i większości zdobień. Nic w tym dziwnego. Galeon, wznoszony od zeszłej wiosny pod kierunkiem mistrzów z Wenecji, miał zostać pierwszą i flagową jednostką monarszej floty, pływającym pomnikiem potęgi świeżo zjednoczonego państwa. Wszyscy życzliwi Rzeczypospolitej wyglądali jego ukończenia, a sam Baltasar ile razy był w Elblągu – wybranym na miejsce budowy zamiast niepewnego Gdańska – przyglądał się konstrukcji. Ostatnim razem podziwiał montaż spizowego galionu przedstawiającego smoka, której to bestii imię miał otrzymać okręt. W najgorszych snach nie mógł wówczas podejrzewać, iż przyjdzie mu się z tym potworem zmierzyć.

Początkowo w dowodzenie miało odbyć się w Boże Ciało, ale ponieważ wewnątrz kadłuba nie zdążyło wyschnąć po próbie szczelności, wydarzenie przesunięto na kolejny dzień. Odpustowa atmosfera trwała jednak w najlepsze, bo osadzenie podobnego okrętu na wodzie było samo w sobie okazją do wielkiej fety. Stocznicom obiecano sowitą ucztę, zaś po przeciwległej w stosunku do magazynu stronie pochylni zbudowano przybraną w szkarłat i biel trybunę dla Komisji Morskiej, delegatów izby poselskiej, senatu oraz rad miast pruskich, a także włoskich konstruktorów.

– Płozy, przymocowane do burt, zwą się saniami. – Neumann wskazał na podłużne, natłuszczone belki przymocowane do burt po bokach kadłuba, spoczywające na szynach, w jakie wyposażono pochylnię; płozy częściowo przysłonięte były pionowymi stemplami, którymi wsparto okręt na wysokości łączenia biało pomalowanej części podmorskiej z brązową dębiną części nawodnej. – Okręt stoi na nich, powstrzymywany przed ześlizgnięciem przez umieszczony na rufie pod stępką klin. Póki co od dziobu trzymają go też liny. Stemple oraz sznury zostaną jednak rychło usunięte, a ważący setki cetnarów kadłub oprze się jedynie na saniach natłuszczonych tranem kupionym od baskijskich wielorybników oraz na owym trójkątnym klocku drewna. Mnie zaś wręczony zostanie młot, którym będę musiał klin wybić. Jeśli zdołam potem umknąć do urządnego między szynami kanału, darowane zostanie mi życie. Jeśli nie, dostojni goście i elbląska gawiedź zobaczą, jak kil królewskiego galeonu zetrze mnie w miazgę. Taki oto sposób ordaliów przywiózł z Francji mości Loitz.

Eriksen przez chwilę poważnie lustrował przygotowany do wodowania okręt, po czym spytał:

– Sądzicie, że ta spowiedź zapewni wam łaskę na sądzie bożym? Boicie się śmierci? Potępienia?

– Nie chcę umierać – odpowiedział kapitan, gdyż słowa „boję się” nie chciały mu przejść przez gardło.

Odszedł od okna i siadł ciężko na skrzyni. Pragnął odbyć z pastorem szczerą rozmowę, lecz każde jej kolejne zdanie wzmagало napięcie, skręcające żołądek niczym konopne sznury w warsztacie powroźniczym.

– Jeśli już jednak stoję przed obliczem śmierci, cóż... – podjął po chwili. – Zdaje się, że wiele jest prawdy w powiedzeniu, że gdy trwoga, to do Boga.

– Macie rację. – Eriksen również usiadł. – To naturalne, że ludzie w kłopotach zwracają się do kogoś potężniejszego. Ten zaś często odpowiada, zapewniam was. Nie traćcie tedy nadziei, kapitanie, iż dziś nie koniec waszej drogi. Ale właśnie, co do niej... Oczywiście, że to wyrokowanie komisji ostatecznie doprowadziło was do obecnego położenia. Jednakże pytając o początek, miałem na myśli wcześniejsze wydarzenia. Proszę się zastanowić, gdzie zaczęła się ta historia grzechów, która dzisiaj znajdzie takie czy inne zakończenie. Pamiętacie jeszcze?

* * *

Tak, Neumann nie zapomniał i prapoczątku, gdy stał uczepony sztagu na dziobie pinki „Biene”, prującej granatowe wody Bałtyku gdzieś między Gotlandią i Ozylią. Spółka gdańskich armatorów oddała niewielki okręt z załogą kompletnych gołowasów pod komendę właśnie jemu – a sam był wówczas nieomal młodzieńcem, pochodzącym z pospólstwa – głównie dlatego, że król dopiero zaczął wystawiać listy kaperskie i niewielu jeszcze miało odwagę podjąć się tego przemysłu, to jest rabowania z monarszym namaszczeniem zmierzających do wrogich portów statków.

– Kapitanie! – Szyper, druga osoba na pokładzie, przekrzykiwał wraz z bosmanem szum fal. – Odstąpmy! Ścigamy Niderlandczyka już trzeci dzień, a wciąż jest szmat przed nami!

Mieli rację. Wiedzieli także, tak samo dobrze jak Baltasar, że zbliżają się do dróg żeglownych między zajętą właśnie przez Szwedów wyspą Dago oraz Rewlem i Sztokholmem, gdzie nie trudno napotkać nieprzyjaciela. Neumann czuł jednak, iż tak uparcie płynący z dalekiej Antwerpii prosto ku Finlandii galeon musi wieźć coś cennego. Przeczucie to zagłuszało ostrzeżenia podwładnych oraz świadomość, że dla jego dziesięćdziałowej, dwumasztowej pinki przerobionej ze statku handlowego jednostka wielkości niderlandzkiej może być niebezpieczna, nawet jeśli jest tylko frachtowcem. Bezwiednie ścisnął jednak zawieszony na szyi amulet. Czarny krzyż wykonany z drewna wydobytego ze statku spoczywającego na dnie Małego Morza miał chronić noszącego przed powtórzeniem losu pasażerów wraku.

– Nie! – warknął Baltasar, zorientowawszy się, co trzyma kurczowo w dłoni. – Dopadniemy ich, choćbyśmy mieli ten statek wyrwać diabłu z gardła!

Bez przerwy wpatrywał się oczami łzawiącymi od drobinek soli w majaczący w oddali trójmasztowiec. Nie wiedział, ile czasu tak minęło, nim zauważył, że galeon wyraźnie zwolnił. Wysłał bystrookiego chłopca okrętowego na grotreję, bowiem niosąca jedno piętro żagli pinka nie miała nawet bocianiego gniazda z prawdziwego zdarzenia.

– I co widać? – krzyknął do jungi, gdy ten stanął, uczepiwszy się masztu pod łopocącą szkarłatną banderą z białym orłem.

– Mości... Mości kapitanie, zdaje się, że stracili grotmarsell!

Neumann wyszczerzył się.

– Teraz mi nie uciekniecie, sukinsyny. Panie szyper, podwoić wachty przy żaglach i zwrot o trzy rumbury ku zachodowi, do wiatru!

Wkrótce zaśpiewał bosmański gwizdek. O pokład zadudniły bosc stopy marynarzy, którzy skoczyli zastępami do brasów oraz szotów. Sternik zgiął się mocniej za rumplem, żagle zmieniły ustawienie i pinka odbiła nieco w lewo.

Zaczęli nadganiać dzielące ich od galeonu mile. Po sześciu godzinach oddali pierwszy strzał z armat dziobowych. Kule wbiły gejzery wody za rufą Niderlandczyka, na której widać już było żółto-zielone zdobienia. Następny wystrzał trafił za burtę statku, kolejny – zmiotł reling tylnego kasztelu i wybił dziurę w oknie kapitańskiej kajuty.

– Gotować działa na sterburcie! – zakomenderował Baltasar, dobywając rapiera; kanonierzy oraz obwieszeni już bronią kaprowie z drużyn bojowych rzucili się do dział po prawej stronie okrętu. – Dwa rumbury na zachód! – Do pracy znów skoczyli marynarze odpowiedzialni za obsługę takielunku.

„Biene” odpadła nieco od wiatru. Ustawiła się burtą skośnie do galeonu, który również rozpoczął zwrot. Nim skrzyknęły podnoszone furty działowe pinki i wychynęły z nich czarne szyje dwóch trzyfuntowych falkonów oraz pary mniejszych falkonetów, również ambrazury Niderlandczyka otwarły się.

Działa obu jednostek zaczęły huczeć niemal jednocześnie.

Baltasar skulił się za fałszburtą. Jego nozdrza wypełnił kwaśny zapach prochu, zaś powietrze potępieńczy wizz wystrzelonych z „Biene” kul łańcuchowych. Zobaczył jeszcze, jak trzy z nich trafiają w takielunek galeonu, tnąc liny, łamiąc drzewce i szarpiąc żagle, a potem i na Polaków spadły kule. Niderlandczycy strzelali pełnymi pociskami, z których jeden tylko trafił powyżej nadburcia pinki. Przewrócił przy tym umocowane przy bakburcie działo, wzbijając chmurę latających dębowych drzazg. Ktoś krótko wrzasnął. Pozostałe trzy kule uderzyły w okręt tuż nad linią wodną. Szkielet pinki zadrżał boleśnie.

– Chcą nas zatopić! – krzyknął brodaty bosman, odrywając się od odtaczanego pospiesznie falkonu i biegnąc do kapitana. – Mają pięciofuntówki!

– Wiem! Dlatego właśnie roznieśliśmy im takielunek. Nie odpłyną wiele dalej, a przez to nie zdążą naładować. To przecie kupczyki! Panie szyper, zwrot! Poruczniku, nabijać kartaczami i gotować się do abordażu!

Neumann dojrzał przez sekundę cień zwątpienia na twarzy swojego zastępcy. Zaraz padły jednak stosowane komendy i pinka zwróciła się ku galeonowi, jakby – niczym owad, którego

imię nosiła – szykowała się do użądlenia. Jej dowódca z satysfakcją obserwował rosnące, przerażone oblicza Niderlandczyków. Uwijali się przy działach niczym w ukropie.

Nie zdążycie, powtarzał w myślach.

„Biene” jęła zrównywać się z większym okrętem burta, a kaprowie przygotowywać do rzutu zaopatrzone w kotwiczki liny. Artylerzyści podtoczyli działa, by gdy tylko pinka wzniesie się na grzbiecie fali, zamienić pokład wrogiego statku w pełne świszczących fragmentów ołowiu piekło.

Baltasarowi brakowało wtedy doświadczenia. Później nie popełniłby już tego błędu, ale wówczas słono się pomylił. Niderlandczycy zdążyli rozpocząć strzelanie znów chwilę po tym, jak wypaliły polskie działa.

Kłęby białego dymu przysłoniły widok. Jedynym, co doszło do zmysłów kapitana, była kakofonia grzmotu armat pomieszanego z trzaskiem drewna, krzykami bólu i palbą arkebuzów. Po którymś z kolei uderzeniu wyrzuconej z galeonu kuli poczuł, że traci równowagę. Uderzył brzuchem w nadburcie, przechylił się niebezpiecznie. Nim skoczył z wrzaskiem w tył, zdążył jeszcze zobaczyć, jak przez dziurę wybitą w burcie woda wlewa się do kadłuba pinki.

Skurwysyny jednak nas posłą na dno, przeraził się.

Galeon, choć znacznie większy, był jednak statkiem handlowym. Liczący każdy grosz armator kazał okrętowca na niego tylko tyle załogi, ile potrzebne było do obsługi żagli oraz paru dział.

Gdy dodatkowo przeredziły ją kartacze, Niderlandczycy nie mieli szans z masą wygłodniałych zysku korsarzy. Ci, przyciągnąwszy do siebie burty jednostek, niby szarańcza włali się na pokład frachtowca. Neumann ledwie raz skrzyżował żelazo z jednym z wrogich marynarzy, a ten już rzucił broń. Inni postąpili podobnie.

Obawa kapitana nie spełniła się więc, choć niewiele brakowało. Po krótkiej bitwie cieśla zameldował o pięciu stopach wody w ładowni; rozszczelnienie udało się jako tako opanować jedynie dzięki materiałom zdobytym na galeonie, a i tak nie mieliby szans dopłynąć do macierzystego Gdańska. Na szczęście w pobliżu czekał duński, a zatem sojuszniczy wówczas Arensburg na wyspie Ozylii. Gdy zacumowali w cieniu kanciastej sylwety biskupiego zamku, kapitan ucałował krzyżek z czarnej dębiny.

Wkrótce kaprowie zdołali przeprowadzić remont „Biene”, a także przeszukać dokładnie galeon. Wcześniejsze przeczucie

kapitana – to, które kazało gnać za uciekającą jednostką, nie bacząc na nic – sprawdziło się. Zdobyty statek wioził rzeźby, obrazy, złote naczynia i misternie przetykane kruszcem szaty liturgiczne do Katedry Świętego Henryka w Åbo.

* * *

– I tak zyskałem mój przydomek Świętokradcy.

– Sądzicie, że wasze późniejsze nieszczęście to kara za zagarnięcie dóbr wiezionych do szwedzkiej katedry?

Baltasar zaśmiał się gorzko.

– Być może. Byłaby to bardzo przewrotna i oddalona w czasie kara, ale czy nie tak właśnie działają aniołowie... czy może diabły? Wszelako wtedy jedynym, co czułem, były radość i duma, a opat Geschkau wieszował mi nawet, mówiąc, że odebrać heretykom przedmioty kultowe to zbożny uczynek. Świętokradca był zatem życzliwym przydomkiem, przynajmniej wśród kaprów. Jedynie gdańscy patrycjusze szeptali tak ze wzgardą za moimi plecami, ale nie mam wątpliwości, że to był tylko pretekst. Sami stokroć dokonywali gorszych rzeczy, natomiast trudno im było odpuścić mi inny grzech – żem urodziwszy się w czynszowej kamienicy Starego Miasta, zapragnął wstąpić w ich szeregi. Ale ich postawa sprawiała tylko, że tym bardziej starałem się dojść do takiego bogactwa i znaczenia, którego choćby najmocniej pragnęli, nie mogli zignorować.

Kapitan począł odginać kolejne palce z zaciśniętej pięści.

– Zgodnie z listem kaperskim najcięższe działło galeonu, największa kotwica z najlepszą liną oraz jedna dziesiąta zysku ze sprzedaży przyzu oraz jego ładunku trafiły do skarbcza królewskiego. Jedną setną rozdano ubogim. Z reszty połowę przekazano armatorom, a połowę załodze, z czego z kolei ćwierć przypadła mnie. Choć odsetek ten nie wydaje się duży, zdobyty wtedy łup był zaiste wyjątkowo obfity. Zysk zainwestowałem szczęśliwie. Gdym podliczył to równo po trzech latach, każdy zdobyty wówczas grosz przyniósł mi tuzin kolejnych. Zdołałem kupić kamienicę na Głównym Mieście, ufundować stypendium dla rzemieślniczej młodzieży, opłacić miejsce w ławach Kościoła Mariackiego blisko ołtarza, gdzie też z każdego przyzu składałem wota. Przyszedł czas na odpowiedni ożenek. Ferberowie, von Suchtenowie, Brandtowie, Zierenbergowie, Uphagenowie odmawiali, który akurat lepiej prządl, tym mniej uprzejmie. Ale stary Tiedemann, nie najpośledniejszy przecie armator, miał mniej uprzedzeń, za to moc

córek, a do każdej wielkie serce. Najmłodsza, Aloyse, obdarzyła mnie afektem. Zresztą także potem wielu pannom i mężatkom imponował postawny żeglarz, który majątnością mógł konkurować z kupcami, a w przeciwieństwie do nich niósł smak krwawej morskiej przygody. Doszło zatem do upragnionego zwieńczenia mojego awansu: małżeństwa z dziewczką z rajcowskiego rodu, całkiem zresztą niebrzydką. Jeszcze dziś pamiętam, jak nie umiałem się doczekać, aż wydobędę spod koronkowej sukni ślubnej jej sprężyste osiemnastoletnie krągłości... Uczciwszy uszu, wielebny.

Eriksen uśmiechnął się.

– Pomnijcie, że szczęśliwie nie jestem sługą rzymskiego błazna i nie obowiązuje mnie celibat. – Wystawił język w grymasie teatralnego obrzydzenia, czym wywołał również wesołość Neumanna. – Nie widzę tu zatem nadal zbyt wielu przewin, mości kapitanie.

– Cóż, to były właśnie podwaliny pod historię mojego grzechu, o którą prosiliście. Dalszy jej bieg jest taki, że żyłem rozdarty, nie wiedząc, co mi daje więcej radości: życie już nieomal patrycjusza, prowadzącego w kantorze liczne zyskowne interesy, czy też huk armat i szcęk żelaza podczas kaperskich rejsów. Choć Aloyse niezbyt to radowało, w głębi duszy początkowo skłaniałem się raczej ku temu drugiemu. Tymczasem złoty czas dla korsarzy Jego Królewskiej Mości kończył się. Moskale poczęli się lepiej pilnować, a król szwedzki coraz częściej wysyłał w krążownicze rejsy swoją marynarkę wojenną, z którą jednostki kaperskie nie miały szans. Ponadto będący naszą bazą Gdańsk, który z początku cieszył się ze srebra spływającego nad Motławę wraz z korsarzami, zgoła zmienił nastawienie, gdy z jednej strony jego żegluga zaczęła na dobre spotykać się ze skutkami nieprzyjacielskich reperkusji, z drugiej zaś rosnąca flota Miłościwego Pana przyczyniała się do wzmocnienia wpływów króla nad Bałtykiem. Co prawda przeniesiono ją do Pucka, ale konflikt nabrzmiewał. Oczywiście pogorszył on moje położenie i mimo korzystnego ożenku byłem nie tylko godnym pogardy parweniuszem, ale także budzącym podejrzliwość niemal wrogiem. Wpuszczono mnie, owszem, do Dworu Artusa, ale traktowano tak, żebym sam nie chciał przychodzić, na giełdzie dyktowano wyższe ceny... Postępki patrycjusza bolały i pewnie rzuciłbym mieszczańskim życiem w ką, gdyby nie stało się coś, przez co z większą radością jednak bym się ustatkował. Aloyse powiła mi bowiem dwóch synów, urocze cheruby Gabriela i Michaela. Zapragnąłem, by mieli spokojne,

dostatnie życie. By nie musieli nigdy, jak ich ojciec, jeść psującego się chleba, pić kwaśnego piwa i wstydzić się dziurawych butów, wchodząc w mury kupieckiego Głównego Miasta.

– To jest wasz grzech, kapitanie? Zazdrość? – spytał pastor.

– Ona sama w sobie? Nie wiem, nie sądzę. Słyszałem zresztą kaznodziejów, którzy prawili, że nie jest grzeszną zazdrością chęć dorównania innym, póki skłania ona do jeszcze bardziej wyężonych starań. Takie dogmaty radowały uszy patrycjatu, podobnie jak twierdzenia o tym, iż niechybnym znakiem miłości Boga tudzież pośmiertnego zbawienia są pełny trzos i powodzenie w interesach. Juści, pięknie brzmią takie słowa, gdy jedno i drugie dostaje się razem ze chrztem pod nazwiskiem Uphagena czy Schrödera! Wówczas, nawet gdy jesteś ostatnią miernotą, trudno roztrwonić odziedziczone dobra, bo zawsze wesprze cię brat lub wuj, kuzyn czy jakikolwiek inny patrycjusz, bo przecie wszyscyście chodzili do jednych szkół i od lat pili w Bractwie Świętego Jerzego. Cóż, wszelako dla tych, co własną przemyślnością doszli do fortuny, najwidoczniej Bóg nie jest równie łaskaw. Jak już mówiłem, przyzów było coraz mniej. Do tego w trakcie buntu gdańszczan zatopiono okręt kaperski, w którym miałem połowę udziałów. Bogaci armatorzy dla zmniejszenia ryzyka mieli raczej udziały w wysokości jednej ósmej czy szesnastej, ale cóż, ze mną już tak chętnie nie zawiązywano spółek... Choć komendant wiśloujskiej twierdzy, który wydał rozkaz ostrzelania korsarskiej eskadry, zawisł potem z królewskiego wyroku u wejścia do portu w Pucku, ja odszkodowania się nie doczekałem. Inny współposiadany przeze mnie okręt zajęli Duńczycy, kiedy odwróciły się sojusze i to oni z Moskwą wystąpili przeciw nam oraz Szwedom. Wraz z zaostrażającym się walkami cierpiał cały handel Królestwa, z nim zaś także moje spokojniejsze interesy. Musiałem wyprzedzić część majątku, a i tak...

* * *

– Jesteś w końcu! – krzyknęła od progu trupioblada Aloyse; okryta była jupką, pospiesznie zrzuconą na domową suknię.

– Co tu się dzieje? – Baltasar przesadził kilkoma susami przedproże swej kamienicy na ulicy Chlebnickiej i polecił żonie: – Wyjdź przed dom.

Otwarte mimo mrozu drzwi ukazywały reprezentacyjną sień. Pośrodku niej rósł stos mebli, a po schodach schodziło dwóch roślących mężczyzn w prostych kaftanach z niebarwionego sukna. Jeden niósł zegar, drugi komplet sreber stołowych. Przy

ustawionym pod oknem sekretarzyku Neumanna siedział chudy brodacz w czarnej kapocie. Na widok gospodarza oderwał się od skrobania po papierze gęsim piórem i uśmiechnął.

– Dzień dobry, mości kapitanie. Waszym wierzycielom obrzydło już bycie wodzonym za nos, więc przysłali nas. Wartość tego tutaj – wskazał kupę, do której dwóch byczków dołożyło niesione precjoza i stanęło przy nich, wbijając czujny wzrok w Neumanna – opisałem na, moment... z górą jedenaście dukatów. Czy wnosicie zastrzeżenia do takiej wyceny?

Kapitana załapała fala piekącej wściekłości – bynajmniej nie dlatego, że sprzęty z pewnością były warte co najmniej dwa razy więcej.

– Mówiłem, że do Świętego Walentego wszystko spłacę! Przedstawiałem dokumenty!

– Cóż, termin jest termin, mości...

Baltasar wystrzelił w kierunku pisarza jak dzika bestia, za kopotę wyrwał go zza sekretarzyka i cisnął ku drzwiom. Brodacz zahaczył stopą o próg, upadł z krzykiem i sturlał się ze schodów przedproża. Na ten widok dwóch mężczyzn przybyłych jako eskorta skoczyło w stronę Baltasara.

Świsnął dobywany rapier.

– Wynocha z mojego domu, kurwie syny! – Kapitan wycelował w nich sztych. – Raus, w tej chwili!

Popatrzeni po sobie, po czym unieśli ręce i wycofali się na zewnątrz, gdzie brodaty pisarz gramolił się z zaśnieżonego bruku.

– Jeszcze tu wrócimy! – krzyknął, gdy jeden z jego towarzyszy pomógł mu wstać. – Ze strażą miejską i urzędnikami sądowymi! Zedrżemy z ciebie pludry, jeśli będzie trzeba, Neumann!!!

Jednak Baltasar nie usłyszał tych krzyków. Odwrócił się bowiem od drzwi, usłyszawszy zduszone łkanie za plecami. Spojrzał w górę schodów i serce mu zamarło. Na najwyższym widocznym stopniu siedzieli skuleni Gabriel oraz Michael. Ich załzawione oczy wpatrywały się w ojca z mieszaniną bezbrzeżnego przerażenia i smutku.

* * *

– Żałujecie tegoż grzechu, kapitanie? Powiedziałbym, że wasz napad gniewu był raczej usprawiedliwiony.

– Nie, wielebny. – Neumann pokręcił głową, tym razem ponuro. – Gdybym mógł, wszystkich trzech bym wówczas przebił

rapierem. Naprawdę pewne było, że uiszczyłbym wierzytelności już wkrótce, po dacie wykupu papierów dłużnych. Nie spóźniałem się zresztą z płatnościami szczególnie długo. Zwyczajnemu gdańskiemu kupcowi czy armatorowi nikt by o to nie robił kłopotu. Ale że to byłem ja, urządzono przedstawienie, które miało mnie upokorzyć.

– Tak właśnie sądziłem – przyznał Eriksen.

– Jednak faktem było, że moje długi rosły, dochody zaś topniały. Poprzysiągłem sobie wówczas, patrząc na przerażone twarzyczki moich synów, że zadbam o to, by już nigdy czegoś podobnego nie widzieli.

Baltasar przerwał na chwilę. Zaczęły odzywać się dzwony kolejnych świątyń, a na placu za oknem rozbrzmiewał gwar rozmów stoczniowców. Nadeszło południe. Nie zostało już wiele czasu.

– Wszystko, co później przedsięwziąłem, miało na celu dotrzymanie owej przysięgi. Tymczasem przez moją pychę, głupotę oraz słabość nie tylko niczemu nie zapobiegłem, ale i doprowadziłem do stokroć gorszych konsekwencji. Oto, czego prawdziwie żałuję, wielebny. – Kapitan spojrział poważnie w oczy pastora. – Tego, że zawiodłem moje dzieci.

* * *

Związek Hanzeatycki od dawna nie próbował egzekwować ustanowionego przez siebie zakazu żeglugi przed dwudziestym drugim dniem lutego. Niemniej ze względu na surową i zmienną pogodę na dłuższe rejsy w tym okresie decydowali się tylko żeglarze mający dobry powód. Dla konwoju trzech statków z pomorskiego Kołobrzegu była nim szansa na dowiezenie ładunku soli do Danii, handlu z którą zabronił pod naciskiem Zygmunta Augusta suweren miasta, biskup kamiński i książę szczeciński Jan Fryderyk. Dla polskich kaprów – rozkaz króla, aby zakazu handlu pilnować. W ten sposób na widok bander z białym orłem trzy kołobrzeskie pinki pospiesznie zawróciły z kursu na Ystad, aby schronić się w ostatniej chwili w macierzystym porcie. Widząc to, dowodzący eskadrą korsarzy Neumann zakotwiczył na redzie u ujścia Parsęty, oddał ostrzegawcze strzały i czekał.

Wkrótce zjawiała się łódź z przedstawicielem magistratu, który podjął się pośredniczenia w rokowaniach, a w jego ramach zaprosił emisariuszy kaprów do karczmy na nabrzeżu. Baltasar stał więc teraz na dziobie batu sunącego w górę Parsęty. Na jej brzegach leżały jeszcze plamy śniegu, odcinające się od cichego,

mrocznego lasu oraz buroźółtych łąk. Kapitanowi przeszło przez głowę, że o tej porze zarówno ląd, jak morze wyglądają równie pusto i ponuro.

Z rozmyślań tych wyrwał go dobiegający zza pleców głos Richtera, młodego przyjaciela, który od dwóch lat pełnił obowiązki szypra:

– Pono kołobrzeskie cechy uzyskały ostatnio od ratusza przywilej, zabraniający osiedlać się w murach miasta rzemieślnikom z Wielkopolski i Prus Królewskich. Zdaje się, że skoro nie chcieli Polaków po dobroci od lądu, tedy dostaną ich gwałtem od wody! – Słowa zastępcy Baltasara wywołały śmiech kilkunastu obecnych na pokładzie szalupy korsarzy.

Kapitan powiódł wzrokiem po położonym za lewą burtą łodzi i przybliżającym się z każdym chlupnięciem wiosła mieście – wieżach fary, górujących nad domami, ceglanych murach z okrągłymi basztami, umocnionym moście łączącym gród z Wyspą Młyńską i drugim brzegiem rzeki. Może i Kołobrzeg nie wyglądał na gotujący się do walki, lecz na murach stały działa. Przy nabrzeżu cumowało kilkanaście jednostek, wśród których wyróżniały się znane już kaprom pinki mające wieźć sól do Danii, a także galeon o niskich nadbudówkach. Neumann nie podzielał optymizmu załogi. Pomijając nawet kwestię fortyfikacji miejskich, dłuższa blokada portu była ryzykowna. Choć rok wcześniej podpisano w Szczecinie pokój, mający zakończyć kilkunastoletnie zmagania Rzeczpospolitej, Szwecji, Hanzy, Moskwy i Duńczyków, w praktyce nie satysfakcjonował on nikogo, a zwłaszcza tych ostatnich. Ich okręty nadal krążyły po morzu. Omijały przy tym Szwedów, bojąc się odwetu armady Jana Wazy. Zygmunta August takowej jednak nie posiadał. Duńczycy polowali zatem na polskie jednostki, a kaprów wieszali jako piratów na murach zamku Helsingør strzegącego Sundu, by ciała widział każdy wpływający na Bałtyk żeglarz. Posunęli się nawet do napaści na Puck. Nie tylko szkodziło to handlowi królestwa, ale przede wszystkim było diabło upokarzające, stąd też wszyscy tak wyczekiwali wodowania „Smoka” oraz kolejnych jednostek. Póki co jednak Baltasar musiał liczyć się z możliwością klęski w starciu z wrogimi korsarzami oraz z właściwie pewną zagładą w przypadku napotkania regularnej floty. Dlatego też przyjął propozycję rokowań ze sporą nadzieją.

– Powitać mości kapitana! – Poznany już emisariusz miasta uchylił kapelusza z białym piórem, gdy Polacy dobili do mola, a następnie poprowadził ich do karczmy u stóp murów miejskich.

Wewnątrz przebywało kilku uzbrojonych marynarzy i paru pachółków miejskich, ale wszyscy zachowywali się spokojnie. Lekką niepewność Neumann poczuł jednak, gdy po wstępnych kurtuazjach emisariusz wskazał mu drzwi alkierza, gdzie kapitan miał sam jeden rozmówić się z ludźmi z kołobrzeskiego cechu armatorów – Domu Żeglarza. Po chwili wahania Baltasar uspokoił skinieniem głowy kaprów i pchnął drzwi do narożnego pomieszczenia, gdzie za stołem siedziało trzech poważnych, dostatnio odzianych mieszczan.

– Jaka jest oferta, mości panowie? – spytał, siadając.

Armatorzy spojrzeli po sobie. Po chwili przemówił siedzący na środku starszy mężczyzna o gęstych siwych lokach.

– Sądzimy, że wasza blokada nie jest zbyt przemyślana, kapitanie. My możemy siedzieć w porcie bardzo długo. Wy u ujścia – aż natkniecie się na Duńczyków. A ich bazy w Skanii i na Zelandii nie są odległe.

Fakt ów był tak oczywisty, iż Neumann, przygotowany na ten argument, nie mrugnął nawet, tylko rzekł zimno:

– Święta prawda. Tyle tylko, że nie muszę wcale czekać. Darłowo zapewne coś mówi wielmożnym panom?

Trzy lata wcześniej w podobnej sytuacji polscy kaprowie wpłynęli do leżącego o dwanaście mil dalej na wschód, również pomorskiego portu, ostrzelali miasto z zamkiem, splądrowali przystań i wprowadzili szmuglerskie jednostki. Pamiętali o tym dobrze korsarze eskadry Neumanna, w rozmowach których słowo „Darłowo” pojawiała się ciągle, odkąd tylko stanęli u ujścia Parsęty. Pamiętali też najwyraźniej armatorzy, bowiem znów wymienili spojrzenia.

– Juści. – Tym razem głos zabrał siedzący po prawej szczupły mieszczanin. – Znana jest nam ta historia...

– A historia lubi się powtarzać – wtrącił Baltasar sentencjonalnie.

– ...lecz czasy się zmieniają! – równie sentencjonalnie dokończył armator. – Rzecz jasna, książę wtedy nic nie zrobił, bo obawiał się króla polskiego, który naonczas sprzymierzony z Danią, wygrywał wojnę. Tymczasem Duńczycy zmienili stronę i mimo że wojna się skończyła, zrobili wam w Pucku to, co wy niegdyś w Darłowie. Myślicie, kapitanie, że w takim układzie książę znów nijak nie zareaguje na wkroczenie w jego włości? Że po czymś takim w ogóle utrzyma zakaz handlu z Danią, którego, jak widać, i tak nie egzekwuje? Chcecie wejść do kronik jako główny bohater, nazwijmy to, incydentu kołobrzeskiego?

– Nie dbam o politykę. Podobnie jak panowie, jestem człowiekiem interesu. Jedyna różnica polega na tym, że wy bogaciecie się, gdy statek dopłynie do portu przeznaczenia, ja zaś, gdy tam nie trafi. Tego będę się trzymał.

– Cóż, przekonamy się – uśmiechnął się kędzierzawy, lecz w grymasie tym nie było krzty wesołości.

Neumann poczuł się nagle przytłoczony całą sytuacją. Jeśli mieszczenie postanowiliby się bronić, kaprów czekała regularna bitwa, której wyniku nie mogli być pewni. Ponadto armator miał rację. Po raz kolejny kapitan poczuł żal do królestwa, któremu służył. Prawda, przysięgał Zygmuntowi Augustowi, i to dzięki listowi kaperskiemu doszedł do znaczenia oraz fortuny, ale nie był przecież posłem, jurystą ani nawet oficerem monarszego wojska. Tylko z krótkowzroczności Sejmu, który skąpił pieniędzy na budowę okrętów, wynikało to, że na barki *de facto* morskich rabusiów spychano zadania regularnej floty, w tym podejmowanie takich decyzji jak ta, przed którą stał Neumann. Mieszczańska część jego natury bała się konsekwencji ataku, a więc prawdopodobnej dyplomatycznej katastrofy. Część korsarska liczyła jednak wartość potencjalnych przyzów, wyładowanych ciasno beczkami z kołobrzeskim białym złotem. Gdyby zdołał je wziąć, kłopoty finansowe, mające teraz dla kapitana oblicza płaczących synów, odeszłyby w zapomnienie. Jednak w całej sytuacji była jeszcze jedna szansa na zdobycie konwoju, która stanowiła również jeden z ostatnich argumentów kapitana w prowadzonym targu.

– Przyjmijmy jednak, że odstąpię od portu, a gdy moje żagle znikną za horyzontem, wypłyniecie z solą. Skoro znam wasz port docelowy, cóż mnie powstrzyma przed zapolowaniem na konwój niby na tłustego jelenia?

– Cóż, oczywiście nie możemy tego wykluczyć. Musicie jednak nas znaleźć, a potem dognać, omijając przy tym Duńczyków.

– Spróbuję szczęścia, a wy najwidoczniej zdajecie sobie z tego sprawę. Po co więc te targi? Szkoda mojego czasu. – Baltasar wstał i skierował się do wyjścia.

Zmieszani armatorzy zamilkli. Kiedy pierwszy otworzył usta, by coś rzec, stojący już przy drzwiach kapitan odwrócił się.

– Jeszcze jedno, mości panowie. W sumie może jednak dobrze, że siedzimy tu i sobie gawędzimy. Zdradzę wam bowiem tajemnicę operacyjną polskiej floty. Na zachód od mojej eskadry krąży zespół pod komendą sławnego kapitana Figenaua. – Na dźwięk tego nazwiska przez twarze mieszczań przeszło drgnienie.

– Jeśli nawet nie odplnę i nie dopadnę was ja, najpewniej zrobi to on i nie chciałbym być wtedy w waszej skórce. Zaś jeśli poczekam tu na niego, cóż, porwanie waszych statków z nabrzeża będzie dla nas jak dziecięca zabawa. A kapitan Figenau to człowiek wielce rozrywkowy.

Patrzyli na niego przez chwilę wszyscy trzej, starając się zapewne przejrzeć, czy blefuje. W przeciągu wielu lat wojny zdążyli jednak poznać strategię puckich kaprów i wiedzieli, że to, co mówił Neumann, jest prawdopodobne.

– Zostawcie nas na chwilę samych, kapitanie.

Baltasar wyszedł, śmiejąc się w duchu. Po pięciu minutach, podczas których zdążył wychylić podany przez szynkarza rozedrganymi dłońmi kubek okowity, drzwi alkierza uchyliły się i jeden z mieszczan zaprosił kapitana do środka.

– By uczynić znak dobrej woli ze strony konfratrów Domu Żeglarza i całego miasta, zdecydowaliśmy, iż dwie pinki z konwoju soli do Ystad zostaną rozładowane, a towar sprzedany na nowo kupcom z innych krajów. Będziecie mogli zostać przy wyładunku. Natomiast fracht trzeciego statku znalazł już kupca dzięki naszym partnerom z Bremy, których galeon cumuje przy nabrzeżu. Będzie on mógł więc razem z pinką bezzwłocznie, nie niepokojony opuścić Kołobrzeg i wrócić do macierzystego portu.

Neumann uniósł brwi.

– Żartujecie sobie ze mnie, panowie? Brema jest za cieśninami. W rzeczywistości będziecie mogli przybić do pierwszego duńskiego portu po drodze! Poza tym galeonu nie złapałem na kursie do Ystad, ale skąd mam wiedzieć, czy jak go teraz spokojnie wypuszczę, również nie popłynie do nieprzyjaciela mojego króla?

– Macie nasze słowo. – Milczący dotąd, łysiejący blondyn położył dłoń na piersi; nim kapitan zdążył parsknąć śmiechem, dłoń powędrowała pod stół i wróciła na blat obciążona mieszkciem. – W razie gdyby jednak to było niedostateczne zabezpieczenie, poniesione przez was ryzyko postanowiliśmy wynagrodzić.

Ręka powędrowała pod stół jeszcze siedmiokrotnie.

– Tysiąc talarów – głos zabrał najstarszy. – Połowa płatna teraz w srebrze, połowa do odebrania za skryptem dłużnym w banku Loitzów.

* * *

– Rozwiązanie zaproponowane przez armatorów zdawało się salomonowe. Mogłem wykazać potem w Pucku, że chronilem

interes króla przed kontrabandą, a nie ponosiłem ryzyka czekanania u ujścia Parsęty i miałem szansę zdobyć jeszcze jakiś przyz przed powrotem. Co się zaś tyczy tej sumy... Wszystkie moje długi, także niewymagalne, wynosiły mniej więcej tysiąc złotych polskich, a więc w przeliczeniu jakieś osiemset *reichstalarów*. – Baltasar zorientował się, że brzmi, jakby usprawiedliwiał się przed Eriksenem, ale postanowił ciągnąć dalej. – Myślałem zatem, by potraktować tę łapówkę jako okup, wytargować więcej i podzielić się z innymi kapitanami eskadry cudzień załogami. Jednakże gdyby kaprowie zwiedzieli się, ile mieszczanie proponują, pewnie by ich to jeszcze rozochociło, jeśli chodzi o wartość konwoju z solą. Od początku pchali mnie do ataku. Z ich punktu widzenia cała sytuacja była przede wszystkim okazją do powetowania niedawnych klęsk naszej floty. Lecz to na mnie, nie na nich, spadałaby odpowiedzialność za rozkaz napaści. Zresztą w ogóle z czasem zauważyłem, że coraz trudniej przychodzi mi szafowanie krwią młodych chłopaków, jakich głównie miałem na pokładzie. Śmierć wielu byłaby tutaj zresztą jedynym pewnym następstwem ataku. Pozostałych kompletnie nie można było przewidzieć.

– To prawda. Z pewnością zatem nie przez samo przyjęcie tych pieniądze znaleźliście się, mości kapitanie, w obecnym położeniu.

– Właśnie... Sądziłem wtedy, że przystając na propozycję armatorów, podejmuję najlepszą decyzję dla wszystkich. Owszem, robię coś poza wiedzą towarzyszy i z pewnością łamię obowiązujące mnie prawo oraz rozkazy królewskiej komisji... Ale wciąż wybieram mniejsze zło.

– Co więc było potem?

– Och, bezpośrednio potem oczywiście wypiliśmy na przybicie interesu i z karczmą wyszedłem we wcale niezłym nastroju. Pinka oraz galeon wypłynęły jeszcze tego samego popołudnia. Ich miejsce przy kei zajęły nasze okręty. Nadzorowałem oczywiście wyładunek soli z pozostałych dwóch statków spłoszonego konwoju, a później postanowiłem odwiedzić dom uciech. Poszedłem z szyprem Richterem, którego musiałem namawiać dłuższą chwilę. Biedak bardzo wziął do siebie świeżą rolę męża, lecz ja zawsze czułem się źle, samotnie chodząc po zamtuzach. Rano, gdy tylko wyszliśmy z ujścia Parsęty, po zachodniej stronie horyzontu zamajaczył zespół okrętów. Z początku wystraszyłem się, jednak na czerwonych banderach nie niosły one białych krzyży, lecz orły. To była eskadra kapitana Figenaua. Z jego galeonu

„Löwe” opuszczono szalupę, a jej wioślarze wezwali kapitanów wszystkich okrętów do kajuty Figenaua. Wieść, którą przynieśli...

Kapitan przerwał i westchnął głęboko. Kontynuował dopiero po dłuższej chwili grobowym głosem.

– Teraz wiem, że zaślepiła mnie chciwość. Uspiała ona obawy, które winna wzbudzić wysokość łapówki, i nie pozwoliła dostrzec niczego podejrzanego w pospiesznie wyremontowanym galeonie czy widocznych przy masztach pustych miejscach po kołkownicach, przeniesionych na burty, ażeby okręt wyglądał na statek handlowy. Przede wszystkim jednak znów zgrzeszyłem pychą, stawiając się ponad prawem i rozkazami. Zdrada to zawsze zdrada. Byłem głupi, sądząc, że wyda dobre owoce. Żałuję więc, że zdradziłem oraz zawiodłem Jego Królewską Mość, któremu zawdzięczałem wszystko.

* * *

Pinka Neumanna „Sankt Heinrich”, nazwana tak na cześć katedry, do której nigdy nie trafiły liturgiczne złota, w odróżnieniu od łupinki „Biene” miała szesnaście dział, trzy maszty, kasztel przedni oraz tylny, a w tym drugim prawdziwą kapitańską kajutę. Dominował w niej przyśrubowany do pokładu stół, za którym prócz Baltasara zasiedli Richter, jednooki porucznik Lange dowodzący zastępami bojowymi i bosman Groddeck, najstarszy członek załogi okrętu. Patrząc na ich twarze, Neumann nie miał wątpliwości, że rozumieją już, co zaszło i dlaczego ich wezwał, choć sam wciąż nie potrafił w to wszystko uwierzyć.

– Panowie... Co pocniemy? – spytał po prostu. – Przede wszystkim, gdybym tylko wiedział...

– Gdyby człowiek wiedział, że zleci z rei, to by został na deku – wzruszył ponuro ramionami Groddeck.

– Prawda. Cóż możemy począć? Musicie, kapitanie, powiedzieć wszystko Figenauowi i obaczmy, co ów rzeknie. Zapewne ruszymy dobrać się do rzyci skurwysynom. Jeszcze nie jest za późno! – Porucznik uderzył dłonią w stół, aż podskoczyła półgodzinna klepsydra.

Baltasar mimowolnie wyobraził sobie, jak staje przed czarnobrodym Figenauem, nieoficjalnym wiceadmirałem kaperskiej floty, i odpowiada mu na pytanie, które zadał też wysłany na szalupie marynarz. Tak, kapitanie, widziałem okręt Kerstena-Rodego – najprzebieglejszego i najzuchwalszego duńskiego korsarza, za głowę którego Komisja Morska wyznaczyła specjalną nagrodę.

Melduję, że napotkałem ów galeon, który, jak się okazało, został odłączony przez sztorm od duńskiego zespołu, a później trafił na eskadrę mości kapitana i zdołał jej w nocy umknąć. Owszem, wiem, gdzie jednostka ta się schroniła, a ponadto przeszła remont, zaś gdy na redzie stanęli inni Polacy, także prace mające upodobnić ją do statku handlowego. Jest mi to wszystko wiadome, ponieważ ja dowodziłem tymi Polakami, potem zaś przepuściłem przekłętą Duńczyka, nieomal życząc mu stopy wody pod kilem.

Cóż, Langemu łatwo było mówić, bo nie on podjął decyzję i nie on musiał za nią odpowiadać. A także – Neumann czuł to dobrze, choć niechętnie przyznawał ów fakt przed sobą – nie jego sumienie obciążało osiem sakiewek, schowanych w kufrze w kącie kajuty.

– Zgadzam się z porucznikiem. – Ciszę przerwał po chwili namysłu Richter. – Tak czy owak, Baltasarze, musisz wyjawić, co zaszło. Nawet jeśli marynarze naszego zespołu jeszcze tego nie pojęli, rychło połączą fakty. Nie my pierwsi daliśmy się wyprowadzić w pole... I ciągle jeszcze mamy czas, aby błąd naprawić.

Kapitan spojrział poważnie w oczy szypra, najbardziej zasępio-nego z całej trójki. Nie zostało w nich nic z niedawnej buńczuczności. Czyżby młodzieniec coś podejrzewał? Jak by jednak nie było, Richter miał rację. Dotąd Neumann próbował się oszukiwać, że może udawać głupca, ale patrząc trzeźwo na sytuację, przyzna-wał: taki wariant nie wchodził w grę.

– Macie rację, panowie – westchnął. – Lubo... To mój błąd. Nielekkko mi z tym, że przeze mnie narazicie życie, wy i wasze załogi. Bosman Grodeck znów wzruszył ramionami.

– Albo to pierwszozna dla kapra, że nim zabrzmi następny klang, może leżeć zaszyty w płótno?

Pozostali dwaj mężczyźni pokiwali głowami i Neumann przy-sięgłby, że jego podwładni rzeczywiście tak myślą. Nie zrobiło mu się jednak ani trochę lżej.

* * *

Na zewnątrz było coraz głośniejsze. Zastukały miarowo kroki oddziału straży, który na szczełknięcie kaprała rozsypał się w tyralierę usta-wioną tak, by oddzielić rosnący tłum mieszczan od doku. Na trybunie widać było pierwszych widzów, a stoczniovcy uwijali się wokół ustawionego na saniach kadłuba. Oglądający to Eriksen odwrócił się od okna magazynu i wrócił do siedzącego na skrzyni Neumanna.

– Nie macie wiele czasu, kapitanie. Co było później?

– Nim dopłynąłem do „Löwe”, zdążyłem już tyle razy powtórzyć sobie, iż jeśli dopadniemy Kerstena-Rodego, moja przewina pójdzie w zapomnienie, a o łapówce nikt się nie dowie, iż stanąłem przed Figenauem całkiem pewny siebie. Gdy mu wyjaśniłem, co zaszło, kapitan wytrzeszczył szeroko oczy i wpatrywał się we mnie chwilę. Widać było, iż ogarnęła go wściekłość, ale po krótkim namyśle stwierdził chyba, że czas na połajanki przyjdzie później, jeżeli Duńczycy umkną. Zapytał więc jeno krótko, gdzie mogli popłynąć. Biorąc pod uwagę odległości i kierunek wiatru, Ystad zdawało się najrozsądniejsze. Padła więc komenda, by obrać kurs nord.

* * *

Wyglądało na to, iż Neumannowi dopisze szczęście. O świcie następnego dnia dojrzeli białą plamę żagli na tle ciemnego pasa brzegów Bornholmu, a do południa było pewne, że to znajomy galeon o niskich nadbudówkach, teraz idący już pod prawdziwą, a nie bremeńską banderą. Wyspę przed pięćdziesięciu laty za niespłacone długi przejęła od Danii Lubeka. Hanzeatyczne miasto od zawarcia pokoju w Szczecinie pilnowało neutralności wobec bałtyckich królestw, w związku z czym uciekającemu Kerstenowi-Rodemu nie pozostawało nic innego, jak płynąć dalej do Ystad. Mimo pomyślnego wiatru jego okręt przemieszczał się dość wolno, najwidoczniej w Kołobrzegu nie udało się całkowicie naprawić takielunku. Jasne było, że prędzej czy później wpadnie w ręce Polakowi. Ich spokoju nie zmąciło tedy pojawienie się na horyzoncie żagli czterech trójmasztowców, nad którymi dało się wkrótce ujrzeć duńskie bandery. Na widok niespodziewanej odsieczy ze ściganego galeonu do morza poleciały beczki, skrzynie, a w końcu i parę dział. Wywołało to wesołość na pokładzie „Sankt Heinricha”, bo krok ten zdawał się jedynie wyrazem desperacji. Nawet bowiem najmłodszy chłopak okrętowy musiał widzieć, iż choćby nieprzyjaciele dla zmniejszenia obciążania poczęli sami skakać za burty, i tak zostaną dopadnięci na długo przed tym, nim eskadra z zachodu zagrozi Polakom.

Potem jednak duńscy marynarze skoczyli do lin, okręt zaczął ostrzyć do wiatru i Neumann zrozumiał co się dzieje.

– Kurwa, to niemożliwe! – Stojący na rufówce kapitan walnął pięścią w reling.

Kersten-Rode, nie bacząc na politykę oraz mielizny, postanowił wykonać zwrot przez sztag, odbić na wschód i niemal na pełnych

żaglach wpłynąć do naturalnej zatoczki, wokół której rozsiadły się niskie domki miasta Rønne. Jeśli korsarzowi udałoby się, nie osiadłszy na żadnej łasze, dokonać tej sztuki, oczywiście miałby nieliczne problemy z gospodarzami portu. Wiedział jednak, że Polacy nie rozpoczną dłuższej blokady w obawie przed nadciągającymi okrętami, prawdopodobnie regularnej królewskiej floty.

Nie zdąży, pomyślał Baltasar i ścisnął swój stary czarny krzyżyk.

Zrazu zdało się, że amulet, który tyle razy zapewniał uśmiech Fortuny, łaskę Boga czy też przychylność demonów, zadziałał ponownie: galeon znalazł się w zasięgu polskich dział pościgowych. Kule z idącego na czele polskiej eskadry „Löwe” trafiły w burty na rufie, a pociski z flankujących go „Sankt Heinricha” i „Sterna” rozerwały fałszyburty śródookręcia oraz strzaskały rejkę bezanu, trójkątnego żagla na ostatnim maszcie.

Duński okręt wykonał jednak zwrot sprawnie niczym rumak dosiadany przez wytrawnego kawalkatora. Z każdą minutą zbliżał się do falochronów portu. Na brzegu było już widać Bornholmczyków, którzy wylegli zobaczyć nadciągającą do miasta awanturę.

– Ładować szybciej, psie syny! – dobiegł z forkszatelu krzyk porucznika Langego.

Zagrzmiały kolejne dwie salwy armat dziobowych. One również nie zdołały jednak poczynić zniszczeń, które mogłyby zatrzymać jednostkę Kerstena-Rodego. Woda dokoła kadłubów polskich okrętów poczęła za to niebezpiecznie błyszczeć jasnymi plamami.

Nagle z prawej huknął wystrzał sygnałowego falkonetu. Galeon Figenaua, a za nim reszta polskich okrętów, począł odpadać od wiatru, przygotowując się do zawrócenia.

– Nie! – wrzasnął Neumann.

Wbił palce w reling i szarpnął się wściekle, nie wiedząc, co zrobić. Kiedy jednak minęło kilka uderzeń serca, dudniącego z podniecenia niczym dzwon okrętowy, kapitan miał już plan. Manewrowanie na redzie całą eskadrą było bardzo niebezpieczne. Jednakże ta już zawracała.

Skoro galeonowi Kerstena-Rodego się udało, to dlaczego nie miało wyjść pływającej zanurzonej pince Neumanna?

– Panie Richter, panie Grodeck, odpadamy! Panie Lange, gotować działa na sterburcie!

Podwładni wysłali mu w pierwszej chwili zaniepokojone spojrzenia. Zaraz jednak jęli rozdzielać stosowne komendy. Po chwili zresztą Neumann, nie wytrzymałszy napięcia, sam wpadł

na śródokręcie. Z obnażonym rapierem objął dowodzenie tak zwrotem, jak i przygotowaniem kanonierów. Gdy zaledwie kilkadziesiąt kroków dzieliło duński galeon od wejścia do portu w Rønne, okręty ustawiły się do siebie burtami.

Neumann opuścił klingę.

Fale poniosły huk kolejnych wystrzałów, szkielet „Sankt Heinricha” rozwibrował się, a widok zniknął, przysłonięty gryzącą kotarą prochowego dymu. Po chwili jej biel rozbłysła czerwoną luną. Zawtórowała temu seria grzmotów.

Nim pochłonięty dziełem zatrzymania galeonu umysł Baltasara pojał, co zaszło, mięśnie same kazały mu rzucić się na pokład. W samą porę.

– Auuu! – Neumann padł na deski, łapiąc się za czoło.

Krew ciekąca spomiędzy palców zalała mu oczy. Musiał zostać trafiony dębową szczapą. Gdyby runął na dek sekundę później, trafiłaby go pewnie w szyję, pozbawiając żywota. Jego krzyk utonął pośród komend i następnych wystrzałów, dochodzących od strony okrętu Kerstena-Rodego. Dopiero gdy przebrzmiał ostatni, kapitan zdołał odzyskać orientację. Wbił rapier w pokład i dzwignął się.

Wiatr rozwiął jasne kłęby. Dało się ujrzyć zniszczenia, jakie Polacy uczynili duńskiemu galeonowi – zmieciony fokmarsel, zerwane bezanwenty, urwany zawias płetwy sterowej, podziurawione burty. Baltasar zapomniał o ranie. Gdyby tylko zdążyli załadować jeszcze raz...

– Panie Richter! – Neumann zawołał ze wzrokiem wlepionym we wrogą jednostkę.

Po jego słowach na deku pinki zrobiło się ciszej. Dopiero gdy zawołał znów, tłum kaprów wypełniający śródokręcie zasypane kawałkami drewna oraz strzędzami lin rozstał się nieco i Baltasar spostrzegł, dlaczego.

Na dziobie, gdzie chwilę temu stał młody szyper, ziała wyrwa po uderzeniu dwunastofuntowego pocisku. Pieniąca się u jej stóp woda miała rdzawy odcień.

* * *

– Dłuższą chwilę nie potrafiłem otrząsnąć się po tym widoku. Grodeck z Langem szybko wykorzystali to, dając rozkaz obrania kursu za odpływającym „Löwe” i resztą eskadry.

– Tak mocno wstrząsnęła wami śmierć szypra? Czujecie się za nią odpowiedzialni? Winni?

– Żałuję.... – Baltasar zawahał się na chwilę. – Żałuję przede wszystkim tego, wielebny, że znowuż zawiodłem. Tym razem ostatecznie, i to ludzi, którzy ufając mi, zmuszeni byli płynąć w ręce wroga tylko dlatego, że sam pierwiej wypuściłem go ze swoich. Mnie zaś nie tylko nie udało się naprawić wyrządzonego zła, ale w decydującej chwili dałem się po raz kolejny ponieść pysze, przez co trupy wielu z tych ludzi ogryzają teraz dorsze na bórnholmskim szelfie. Oczywiście, że Richtera żal mi najbardziej. Był moim dobrym druhem. Czekano na niego jeszcze całe życie na czele z młodą żoną, płaczącą pewnie nadal w Helu. Lecz zginęli i inni. A ja zawiodłem wszystkich.

Gorąc, wywołany żarem lejącym się ze słońca zawieszono go teraz wprost nad dachem magazynu, osiągnął apogeum. Neumann milczał, czując, jak krople potu spływają mu z czoła przez brudne skronie i policzki, by wsiąknąć w poskręcaną brodę.

– Duńczycy – rzekł w końcu – zacumowali na kotwicowisku Rønne i ani myśleli nas ścigać. Prędko za to chciał rozmówić się ze mną kapitan Figenau. W mojej kajucie znaleziono srebro oraz, co gorsza, skrypt dłużny wystawiony przez kołobrzeską gildię armatorów. Opowiedziałem więc wszystko szczerze, tak jak się przedstawiało, choć przynajmniej część ludzi wzięła to za bajkę, mającą umniejszyć rzekomo umyślną winę, z jaką przepuściłem Kerstena-Rodego. A o wyrokowaniu komisji już wielebny słyszał. Tak więc wygląda na to, że dotarliśmy do finału mojej opowieści.

Eriksen pokiwał wolno głową. Baltasarowi wydało się przez moment, iż na twarzy pastora zamajaczyła osobliwa mieszanka uczuć, której ludzka mimika nie jest w stanie jednocześnie odmalować. Jakby... Zdziwienia? Rozbawienia? Pragnienia dodania otuchy? Satysfakcji?

Kiedy jednak kapitan zamrugał, oblicze duchownego z powrotem wyrażało uprzejme skupienie.

– Co teraz? – spytał Neumann, by przerwać ciszę, która nagle zaczęła go niepokoić. – Uczynicie znak krzyża i mnie rozgrzeszycie? Pomodlimy się wspólnie?

– Jak już rzekłem, nie lubuję się w ceremoniałach. Wasze trzykrotne *confiteor* z pewnością zostało wysłuchane przez tego, kto miał je usłyszeć. Możecie iść spełnić swoją powinność ze spokojem. Na ile to możliwe, rzecz jasna. – Eriksen podszedł i położył mu rękę na ramieniu, co miało chyba służyć za amen.

Choć Baltasar niezbyt wiele wiedział o obrzędach religijnych, nie potrafił oprzeć się wrażeniu, iż jego spowiedź była zdecydowanie niezwykła. Być może zresztą dla grzesznika w tak niezwykłej sytuacji jak jego właściwe było odpowiednio ekstraordynaryjne rozgrzeszenie. Co zaś do swoich dalszych losów, powtarzał sobie w duchu, że z radością przyjmie koniec szarpiącego nerwy oczekiwania. Mimo to gdy drzwi magazynu otwały się, poderwał nerwowo głowę i ujrzawszy strażnika, miał ochotę uciec lub poprosić o jeszcze bodaj pacierz. Przemógł się jednak, wstał ciężko i opuszczając magazyn na drżących nogach, rzekł krótko Eriksenowi:

– Dziękuję.

Myślał, że nie doczeka się odpowiedzi. Ta padła jednak szeptem, gdy Neumann stanął już w progu budynku i osłepiło go palące słońce.

– To nie mnie dziękujcie, kapitanie.

* * *

Elbląska stocznia, Łasztownia, zdecydowanie nie została zbudowana z myślą o tego rodzaju widowiskach. Po prawej stronie pochylni, na której spoczywał kadłub „Smoka”, z trudem zdołano wcisnąć przybraną w atlas trybunę dla notabli. Zasiadali tam pełni statecznej powagi członkowie Komisji Morskiej z nadzorującym z jej ramienia budowę Janem Bąkowskim oraz dwoma włoskimi budowniczymi okrętu, bogato odziani szlacheccy delegaci Sejmu, kontrastujący ze skromniej ubranymi, choć równie majątynymi członkami władz Elbląga, a także innymi znacznie szerszymi mieszczanami. Towarzyszyły im małżonki tudzież dziatwa w różnym wieku. Pozostali chętni obejrzeć ordalia zajęli jednak miejsce za kordonem strażników i dziobem ustawionego tyłem do rzeki okrętu, więc nie mieli zbyt dobrego widoku na stojącego przy rufie Neumanna. Przez gwar, który czynili, co jakiś czas przebijał się czyjś ponagląjący okrzyk. Na lewo od pochylni wznosiły się zabudowania stoczniowe. Między nimi z kolei stali skutnicy, którzy zdjęli już przywiązane do kadłuba od przodu grube liny i usunęli wspierające burty stemple.

Baltasar nie patrzył jednak na to wszystko. Z początku rozejrzał się tylko za Eriksenem, ale nie znalazłszy go nigdzie, przyjął czym prędzej od jednego ze strażników wielki młot i stanął na pochylni między błyszczącymi od tłuszczu szynami. Czuł się śmiesznie mały i słaby u stóp rufy rozmiarów baszty miejskiej. Wienczył ją rzeźbiony reling, pod którym ziały pustką trzy piętra

okien pozbawionych jeszcze szyb. Niżej rozciągała się galeria w formie szerokiego balkonu, pod nią zaś pionowa belka, tylna stewa, do której miano później przymocować ster. Przechodziła ona niżej w poziomy kręgosłup okrętu – kil – przypominający ciągnącą się wzdłuż jego osi podłużną płetwę. Wąski i kanciąsty, wystawał znacznie poza zaokrąglony obrys zbiegających się z tyłu burt, przywodząc kapitanowi na myśl ostrze katowskiego miecza. Pod nim zaś ciemniało właściwe zadanie Baltasara.

Złożony z górnej i dolnej części klin wsunięto między kil a podłozę. Zwrócony był płaską, wysoką na trzy łokcie stroną ku Neumannowi, tak że ten widział zacios „na jaskółkę”, a z boku dwa wystające końce mniejszego klina. Ten zwano kluczem, gdyż przechodził przez wywiercony z boku większego otwór, spajając obie jego części. By wodowanie doszło do skutku, należało klucz usunąć, uderzając w węższy kraniec, a wtedy górną część większego klocka wypychał ześlizgujący się okręt. Zazwyczaj manewr ten przeprowadzano na odległość za pomocą wielokrążka, by nikt nie musiał stać na drodze dębowego monstrum sunącego ku swemu naturalnemu środowisku – czyli w miejscu, w którym stał kapitan.

Przełknął ślinę. Nie musiał patrzeć za siebie, by wiedzieć, jaka odległość dzieli go od płytkiego kanału, w którym miał się skryć. Trzy kroki. Potrzebował tylko wyprostować się po uderzeniu, odrzucić młot, zrobić dwa susy w tył, a przy trzecim paść na plecy. Nie wiedział, ile uderzeń serca na to potrzeba, ale czuł, że jeszcze niedawno podolałby. Teraz, po długich tygodniach zamknięcia w ciasnej celi o chlebie, wodzie i cienkiej jarzynowej polewce, brakowało mu pewności. Jej miejsce zajmował parzący trzewia, kurczący muskuły strach. Kapitan starał się go oszukać wpatrywaniem w klin.

Był tak skupiony, iż sygnał trębacza całkowicie go zaskoczył. Nim przebrzmiało spiżowe *canto*, od miejskich fortyfikacji i zabudowań stoczni odbił się krzyk tłumów.

„Już?” – Baltasar usłyszał z tyłu głowy bezsensowne pytanie. Przez moment miał ochotę usiąść na pochylni – niech strażnicy go zabiją, jeśli chcą, lecz on nie ruszy się o cal. Myśl ta utonęła jednak w dudnieniu, które jęło rozsadzać mu czaszkę. Chwycił młot oburącz i ruszył do przodu. By nie zemdleć, począł liczyć uderzenia chcącego wyrwać się spod koszuli serca.

Pierwsze rąbnięcie – wszedł w pas cienia pod galerią rufową.

Drugie rąbnięcie – podrzucił młot na prawy bark.

Trzecie rąbnięcie – obuch opadł, zakreślając w powietrzu szeroki łuk.

Czwarte rąbnięcie – powietrze zawibrowało od drewnianego ryku „Smoka”.

Piąte rąbnięcie – Baltasar puścił młot, wyprostował się, skoczył pierwszy krok w tył.

Szóste rąbnięcie – dał drugiego susa w tył, zamknął oczy, widząc pędzącą biało-brunatną ścianę, i odbił się od podłoża, by runąć na plecy do kanału.

Siódme rąbnięcie złało się z innym hukiem. Po nim wszystko zgasło.

* * *

Forpocztą powracającej świadomości okazał się zapach smoły. Baltasar pomyślał niezbyt trzeźwo, że albo wciąż leży na pochylni, albo znajduje się w piekle. Pierwszej możliwości przeczyła panująca wkoło cisza. Drugą zdawało się potwierdzać cierpienie – potworny ból głowy, jednocześnie rozsadzający czaszkę od wewnątrz i piekący rozciętą skórą.

– Posadzić go i ocucić – ozwał się z ciemności twardy głos.

Ręce dwóch mężczyzn poderwały Baltasara za ramiona i umieściły na jakiejś skrzyni, opartego o ścianę. Następnie chluśnięto mu w twarz wodą. Zakaszłał, otrząsnął się jak pies i spróbował odgarnąć mokre włosy ręką. Gdy zorientował się, że podniósł obie, spętane w nadgarstkach, rozwarł szeroko oczy. Chwilę trwało, nim widok nabrał ostrości.

Zdecydowanie nie trafił do piekła. Siedział wewnątrz kolejnego portowego składu, dużo mniejszego od tego, w którym czekał na ordalia. Musiało minąć od nich trochę czasu, bowiem ustąpił koszmarny gorąc. Wolną od skrzyń i beczek przestrzeń pomieszczenia niemal w całości wypełniało trzech mężczyzn. Dwóch miało na sobie szare marynarskie ciuchy. Co do trzeciego kapitan powtórnie tego dnia miał wrażenie, że kojarzy skądś napotkaną twarz, tym razem dzięki charakterystycznym dziobom na policzkach odzianego w czarny mieszczkański kaftan mężczyzny.

– Nie pamiętacie mnie, kapitanie? – Dziobaty uniósł brwi. – Z pewnością znacie się dobrze z moim mocodawcą.

– Ach tak... – zachrypiał Baltasar – pracujesz dla Überfeldta... Czego chce mości komisarz, skoro przeżyłem sąd boży, na który mnie wysłał?

– Cóż, rewizji wyroku owego sądu.

– Co?! – Neumann podskoczył na skrzyni, od czego głowa eksplodowała bólem; dwóch marynarzy zbliżyło się do niego. – Tak

orzeka komisja! Jeśli przeżyję wodowanie, ma mi być darowana wolność!

– I tak też się stało, jakżeby inaczej. Lecz komisja wydała wyrok w tym kształcie przez sentyment, jaki do waszej osoby, kapitanie, mieli kasztelan Kostka i opat Geschkau. Rzecz w tym jednak, że moi Überfeldt zawsze żywił do was zgoła inne uczucia. Zwłaszcza odkąd dowiedział się, że próbowaliście uwieść jego siostrę.

Baltasar zaniemówił. Już niemal zapomniał o Lottcie Behme *de domo* Überfeldt, poznanej podczas któregoś z rautów na puc-kim zamku. To prawda, że flirtowali jakiś czas, lecz do niczego nie doszło. Nie był już nawet pewien dlaczego. Być może ona zerwała kontakt, choć zdawało mu się raczej, że to on ocenił zbyt wysoko ryzyko romansu lub też zbyt nisko urodę kościstej brunetki. Sporo miłości z kupieckimi żonami, siostrami i córkami, będących świetnym lekarstwem na złość, jaką wywoływała u Neumanna pogarda patrycjuszki, rozkwitło dużo bujniej.

– Nie... – Kapitan pokręcił głową, a na jego usta wypełził paskudny uśmiech. – Nie zrobicie tego. Kasztelan i opat stoją na czele komisji. To oni są ludźmi króla. Twój chlebobawca zaś ledwie gdańskim kupczykiem!

Teraz uśmiechnął się dziobaty.

– A bliżej stąd do Gdańska czy na Wawel? Zresztą szlachetny pan Swaroczyński również nie potrafi wybaczyć wam hańby, jaką okryliście Miłościwego Pana. Nie miał zatem nic przeciwko planowi moi Überfeldta. Cóż więc zrobią Geschkau i Kostka? Zwłaszcza że popełnicie, kapitanie, samobójstwo, które nikogo nie zadziwi. W końcu wielu znamienitych mężów rzuciłoby się do rzeki, straciwszy cały majątek, będąc do tego przytłoczonych brzemieniem zdrady.

– Skurwysyny! – Z każdym zdaniem rozmowy Neumanna ogarniało coraz bardziej poczucie, że padł ofiarą okrutnego żartu. – Mogliście mnie tedy po prostu powiesić na bukszprycie!!!

– Pewnie z kim innym tak by się stało, ale w waszym przypadku sprawa zrobiła się cokolwiek polityczna. Takie zaś rzadko są proste.

Kapitan postanowił nie ułatwiać swoim wrogom owej sprawy jeszcze bardziej.

Skoczył ku stojącemu bliżej marynarzowi i wyrznął go spętanymi rękami w krocze. Mężczyzna zawył i zgiął się wpół, a kapitan

przerzucił ramiona ponad jego głową, starając się wyrwać zza pasa przeciwnika szeroki nóż.

Nie zdążył – marynarz szarpnął się w tył i obaj padli na ziemię.

Neumann zdołał wszakże zacisnąć łączący mu nadgarstki powróż na szyi żeglarza. Wtedy skoczył do nich drugi marynarz. Kapitan dostał cios w twarz. Pociemniało mu w oczach, ale zdążył trafić stopą kolejnego adwersarza. Rozległ się krzyk. Niestety, pierwszy żeglarz, wykorzystawszy oszołomienie Baltasara, wyrwał się i przygwoździł go do podłogi.

– Ty... psi.... synu... – stęknął Neumann, próbując go z siebie zrzucić, ale zaraz otrzymał następny cios pięścią.

– Nie tłuczcie, głupcy! To ma wyglądać na samobójstwo! Uduście go pętami. Upozorujemy, że się obwiesił – dobiegło z tyłu.

Przygnietli go teraz obaj, złapali po jednej ręce i przycisnęli mu je do szyi tak, że to teraz jego dławił konopny sznur. Zacharczał, załomotał nogami o ziemię. Pojął jednak, że już nic nie robi. Desperacja dodała mu szybkości przy niespodziewanym ataku, lecz wszystko, co dzisiaj zaszło, nie dało się pominąć w walce. Siły opuszczały go bardzo szybko. Po chwili duszenia – razem ze świadomością.

Gdy pomieszczenie przeszły świdrujący okrzyk, Baltasar ledwie zdołał usłyszeć:

– Odstąpcie, bo zaraz zawiśnięcie wy!

Słowa padły tak niespodziewanie, że marynarze podskoczyli machinalnie i puścili dłonie kapitana.

– Ktoś ty? – syknął z irytacją wysłannik Überfeldta.

Uwolniony od dławienia Neumann rozkaszał się konwulsyjnie. Dopiero gdy udało mu się zaczerpnąć większy haust powietrza, dał radę także unieść głowę i zobaczyć swego wybawcę.

W progu magazynu stał nie kto inny, jak pastor Eriksen we własnej ciemnej i strzelistej niby masztowny świerk osobie. W wyciągniętej ręce trzymał dokument z czerwoną woskową pieczęcią.

– Oto rozkazy burgrabiego oraz kasztelana Kostki, zgodnie z którymi kapitanowi Neumannowi nie może spaść włos z głowy. Odstąpcie, powtarzam.

Twarz dziobatego wykrzywiło zdumienie. Patrzył jak zaklęty na przybysza, a potem chwilę w dokument.

– Swarożyński musiał się wygadać... – szepnął, po czym już głośniej rzucił marynarzom: – Wychodzimy!

Trójka mężczyzn pospiesznie opuściła skład, a Eriksen podszedł do Baltasara, przeciął więzy i pomógł mu wstać. Nim

Neumann zdążył spytać duchownego, skąd się tu wziął oraz co właściwie przed momentem zaszło w magazynie, pastor wskazał skinieniem na wejście.

– Macie gości, kapitanie. Mości pani, prosimy!

– Co? Chryste... Aloyse?

Żona kapitana weszła do magazynu powoli, zamykając drzwi z niejakim przestraczem. Odziana była w prostą suknię bladobłękitnego koloru, a jej zmęczone, zmartwione oblicze miało zaskakująco podobny odcień. Opadała na nie niesforny od zawsze kosmyk, który odgarnęła, jakby mimo wszystko chciała odpowiednio wyglądać przed małżonkiem. Przez chwilę zbierała odwagę, by na niego spojrzeć, a gdy to zrobiła, jej oblicze ścisnął nadchodzący płacz i podbiegła do Baltasara. Padli sobie w ramiona, a potem woniejące słodkimi perfumami oraz kobiecym potem ciało zaczęło drżeć od szlochu.

– Już wszystko dobrze... Uspokój się, proszę. – Neumann gładził ją po włosach.

Trwało to moment, po czym nagle opanowała płacz i wyswobodziwszy się z objęć męża, niespodziewanie zwróciła się do Eriksena.

– Powiedzcie jeno... ile?

Na ustach pastora wykwitł szeroki uśmiech, który jednak objął tylko dolną część twarzy. Górna pozostała dziwnie zimna, na czele z oczami. Ich niebieskie spojrzenie przeszło najpierw Baltasara, a potem Aloyse.

– Kapitan sam wam powie, mości pani.

Neumanna przeszył nagle dreszcz. Coś było nie tak. Bardzo, pioruńsko wręcz nie tak.

– Ile czego, Aloyse? O czym wy mówicie?

– Widzisz, zawarłam z... panem Eriksenem pewną umowę...

– Panem, nie wielebnym? I jaką umowę? Nie został mi wyznaczony do spowiedzi przypadkiem? Kim...

Wtem nadeszła znikąd myśl, która zmroziła umysł kapitana.

– O nie...

Cofnął się mimowolnie o krok i spojrzał z przestraczem na czarno odzianą postać. Wyraz jej oblicza zdawał się z całą mocą mówić „Owszem, tak właśnie”. Neumann połączył dotąd nic nieznaczące fakty oraz wrażenia i jasne niczym eksplodująca prochnia stało się, kim jest Tord Eriksen.

Już samo nazwisko było kpina, której Baltasar nie zdołał przeżyć, a przecież żeglując tyle lat, słyszał, kogo duńscy marynarze

przezywali pospolitymi imionami Tord czy *Gamle* – stary – Erik, by nie przywołać go prawdziwym mianem, podobnie jak Niemcy szeptali *Leibhaftiger* – Wcielony, Szwedzi – *hin håle*, Twardy, a Kaszubi i Polacy – Zły.

– Drodzy państwo. – Falszywy pastor, zdjawszy sukieny kapełusz, uklonił się nisko, po czym odwrócił się w stronę wyjścia. Gdy kapitan w panice przeniósł wzrok na żonę, byli już w magazynie tylko we dwoje, choć drzwi nie drgnęły ani o cal.

Neumann nie potrafił uwierzyć w to, co zobaczył. Zalały go przeżenie i rozpacz, wypłukując z ust pospieszne, bezładne zdania.

– Aloyse... Coś ty uczyniła? Dlaczego? Przecież nie skazano mnie na śmierć... mogłem wyjść cało z tej próby, wyszedłem!

Kobieta gorączkowo pokręciła głową, a jej oczy znów się zaszklily.

– Nie wiadomo, czy miałbyś w ogóle z czego wychodzić... Ale to teraz nieważne, Baltasarze...

Mimo prób zachowania trzeźwości umysłu kapitan poczuł, że jego myśli rozpryskują się na wszystkie strony niczym siekańce z wybuchającego kartacza. Opanował je z najwyższym trudem, czepiając się jednej.

– Tak, nieważne. Ale umowa... Jaka jest treść umowy?

– Ja... – Wlepiła spojrzenie w podłogę, na którą po sekundzie zaczęły kapać łzy. – Nie chciałam, byś nas opuścił. Zabrali nam cię tak gwałtownie... To było straszne. Dom pusty już nie na miesiąc, dwa, aż wrócisz z rejsu, lecz na zawsze. Bezsilność, gdy potem dom ten zabrali. Zastanawianie się, co odpowiedzieć Michaelowi i Gabrielowi, którzy wciąż pytali, co z tatą, choć przecież widziałam w ich oczach, że mimo wieku od początku wszystko rozumieli. Musiałam coś uczynić. A cóż mi pozostało? Oddałam jedyne, czego nadal miałam dużo...

Wybuchła płaczem. Chwycił ją i uściskał mocno.

– Czas... który mi jeszcze został – usłyszał stłumiony własnym ramieniem szept.

Zakręciło mu się w głowie.

– Boże, zmiłuj się... Aloyse, masz ledwie dwadzieścia siedem lat! Dlaczego... Dlaczego to zrobiłaś?! Błagam, powiedz, że to żart, że to szaleństwo, że sen! To wszystko nie może dziać się naprawdę!

– Bo cię kocham, Baltasarze. Kochałam zawsze, od pierwszej chwili, gdy zobaczyłam cię w porcie, wracającego z przemysem, triumfującego... Ale nie martw się. – Odsunęła się nagle i uśmiechnęła, co przy purpurowej, błyszczącej od łez twarzy

sprawiło obłąkańcze wrażenie. – Nie odejdę zaraz. Będę z wami jeszcze jakiś czas.

– Stańd to pytanie, ile? Ile czasu dał ci... on?

– Nie, on mi go tak po prostu nie dał. Jest na to zbyt przewrotny. Umowa była bardziej skomplikowana. To, ile czasu mi zostało, zależy od ciebie.

Słyszając te słowa, kapitan jęknął i zatoczył się niczym pod powiewem sztormowego wiatru, aż uderzył plecami o ścianę. Osunął się po niej ciężko na skrzynię, na której wcześniej posadzili go ludzie Überfeldta.

– A dokładniej – ciągnęła Aloyse – od tego, wobec kogo wyznałeś winę podczas waszej niby-spowiedzi. Zależnie od tego, ile to było osób, przede mną jeszcze rok, dwa, sześć lub tuzin.

– Chryste, co ty mówisz... Nie, to niemożliwe! Jak to, od tego, ile było osób? A jeżeli były ich setki?!

– Nie... Ustalił ze mną cztery przypadki, kiedy wyrządziłeś komuś prawdziwą krzywdę, zawiodłeś... Przysiągł, że jeśli będziesz za nie szczerze żałował, to z pewnością winę za nie wyznasz podczas łże-pokuty. A więc, Baltasarze... ile ich było?

Jej utkwiony w mężu, pełny oczekiwania wzrok dokończył mówiąc: „Oraz ile lat przede mną?”

Neumann ją wyliczać, również bezgłośnie, bo słowa uwięzły mu w gardle i tylko wargi ruszały się, składając w trzy słowa.

Dzieci.

Król.

Załoga.

A czwarte? Pozostałe sześć lat?

Aloyse wciąż była piękna, mimo łez, strachu i cierpienia. Neumann spojrzał na nią i pojął, że zawiodł znów.

Michał Niedźwiedzki – Ślązak, prawnik, a przede wszystkim miłośnik dawnych dziejów. Zawsze marzył o podróży w przeszłość. Smutny fakt, że to niemożliwe, rekompensuje sobie tworzeniem własnych małych historii z tą wielką w tle. Fantastykę lubi przede wszystkim za to, że potrafi doskonale rzucić światło na ludzkie dylematy.

Anna Askaldowicz
NIEPOJEDNANI



*Przed kilkoma stuleciami w Akamagaseki
mieszkał niewidomy o imieniu Hoichi,
sławny z biegłości w recytacji i grze na biwie...
(L. Hearn, „Kwaidan: Opowieści niesamowite”)*

Jego historia wydarzyła się tak dawno, że czasami sam wątpi w jej prawdziwość. Zwłaszcza teraz, kiedy ciało, obciążone starością ponad miarę, zaczyna przyginać go ku ziemi, w kierunku grobu. Tak, dziś łatwiej mu słuchać cykad w trawie niż własnych wspomnień z czasów, kiedy był lżejszy, wyższy. Nasłuchuje zatem, choć nie ma uszu, i powtarza sobie czasem – w bezsenne noce, bo noce starców są bezsenne – tamtą historię, którą kiedyś pamiętał, powtórzoną szeptem przez cykady.

Hoichi nie może sprawdzić, czy nie kłamia. Lata temu od jednego z pielgrzymów przybyłych, by słuchać jego śpiewu, otrzymał w darze ozdobny zwój, w którym – jak zapewniano – wiernie opisano jego własną przygodę. Podziękował uniznienie ofiarodawcy, którego twarzy nie widział. Czuł się jednak niezręcznie. Na co mu opowieść na papierze? Czy pielgrzym nie wiedział, że Hoichi nie może nawet spojrzeć na znaki? Czy jego historia nie zaczynała się od tego, że był niewidomym chłopcem, sierotą przygarniętym przez mnicha ze świątyni? Nazywała się Amidaji. Wciąż tu jest, wciąż stoi, wciąż go otacza. Zbudowano ją, żeby uczcić Buddę Amidę. I żeby ukoić duchy.

Starzec z trudem sięga do pamięci, która jest wysoko, bardzo wysoko, ale nie ma innego wyjścia – śpiew cykad trzeba przekładać na słowa. To takie niewygodne – wzdycha.

Heike Monogatari

Jednak nie miał racji, gdy psioczył w duchu na pielgrzymu. Jego osobista opowieść nie zaczęła się tak naprawdę od niewidomego chłopca przygarniętego przez opata Amidaji. Los Hoichiego mógłby potoczyć się na tysiąc innych sposobów, gdyby nie wplotła się weń opowieść o rodzie Heike – lub może raczej: gdyby on nie wplotł się w nią. Nie zdecydował o tym sam. Jako niewidomy dzieciak z bystrym słuchem miał w zasadzie jedyną możliwość

zdobycia zarobku na własne utrzymanie: nauczyć się gry na lutni *biwa* oraz kilku co bardziej popularnych eposów i wędrować po wsiach i miastach, by śpiewać sutry dla umocnienia ducha i porywające opowieści ku rozrywce.

Heike Monogatari, czyli prawdziwa historia o rodzie Heike, zwanym też Taira, i jego zmaganiach z rodem Minamoto w walce o władzę cesarską, zaliczała się do żelaznego repertuaru każdego szanującego się *biwa-hoshi*, wędrownego lutnisty. Dlatego i on poznał ją jako jedną z pierwszych i w krótkim czasie opanował do perfekcji. Czego w niej nie było! Dworskie intrygi, miłości, upadek wielmożnych. Tu, w Akagamaseki, jego rodzinnej prowincji, opowieść ta była szczególnie popularna – bo właśnie tutaj trzysta lat przed jego urodzeniem Minamoto ostatecznie rozgromili Heikech w bitwie na falach cieśniny Dan-no-ura, a bitwa na zawsze wpisała się w pieśń.

Dwa uderzenia plektronem o struny, a po nich cisza, tak to się gra. Gdy *biwa-hoshi* zaczyna śpiewać, jego głos przeciąga sylaby, zmienia się w modulowany lament. On płacze – a lutnia krzyczy, brzmi rytmicznym dźwiękiem wiosel uderzających o fale, brzęczy jak stal mieczy na płytkach zbroi, warczy jak ciężki wypuszczających strzały łuków i wreszcie pluszcze jak osuwające się w wodę ciała, strzępy historii dryfujące po wielkim morzu opowieści – pełnym trupów, różowym od krwi.

Zginęli żeglarze, wioslarze, zwykli żołnierze i wielcy panowie. Na widok kłęski babka młodego cesarza Antoku, Nii-no-Ama, nakazała wrzucić do morza święte insygnia cesarskie: Miecz-Trawosiecz, zwierciadło bogini Amaterasu i jej jadeitowe klejnoty. Lepiej jest, by znamiona prawdziwej władzy wpadły w głębinę niż w ręce uzurpatorów, rzekła. Małego cesarza nie wypadało jednak wrzucić w morze razem z nimi, jakby był przedmiotem, choćby i świętym. Dlatego zamknęła chłopca mocno w ramionach, by nie mógł splamić swojego honoru niegodną próbą ratowania życia, i zstąpiła do podwodnego królestwa. Za nią poszły damy dworu, obawiające się, że splamią honor swoich mężów, jeśli pozwolą się pojmać Minamotom. Podania mówiły, że te, które nie utonęły, z czcigodnych kobiet cesarskiego dworu stały się płatnymi kobietami rybaków z Akamagaseki, bo nie umiały inaczej zarobić na swój ryż.

A rybacy nie zaznali odtąd spokoju. W pogodne noce wspomiedzy fal powstawały *funayūrei*, morskie duchy, by ściągać w toń mieszkańców wybrzeża. Na plażach pleniły się wielkie kraby

noszące na grzbiecie wizerunek twarzy samuraja, po lasach zaś roilo się od zwodzających na manowce *oni-bi*, diabelskich ogników. Co więksi pesymiści zaczęli szeptać, że tylko patrzeć, kiedy doczekają się objawów gniewu *onryō*, mściwego ducha, który potrafi na całą prowincję zesłać powódź, trzęsienie ziemi lub pomór. Zarządzono zatem, by ułagodzić cesarza i jego dwór budową symbolicznego cmentarza i świątyni miłosiernego Buddy Amidy. Tak też się stało – i w Amidaji przez kolejne stulecia modlono się za Heikech, odprawiano nabożeństwa, składano ofiary. A nade wszystko śpiewano im sutry przy akompaniamencie lutni w nadziei, że taka kołysanka wreszcie ich uspi.

Uspiała – do czasu, gdy w Akamagaseki pojawił się niewidomy Hoichi, słynny z niezwykłej biegłości w grze na *biwie* oraz recytacji *Heike Monogatari*, i obudził zmarłych.

* * *

Ludzie mówią, że umiejętności Hoichiego były darem, którym bogowie postanowili wynagrodzić mu brak wzroku. Owszem, kiedyś nawet on sam w to wierzył. Dziś, w bezsenne noce, sam na sam z cykadami w świątynnym ogrodzie, coraz częściej przyłapuje się na myśli, że – choć zna wielu dobrych *biwa-hoshich* – gdyby nie nauczył się podstaw gry na lutni, jeszcze nim jego świat pogrążył się w ciemności, nigdy nie byłby aż taki dobry, jaki ponoć jest. Jednak już dawno pojął, że nie warto wchodzić w słowo podaniu. Ludziom potrzebne są opowieści.

A opowieść towarzyszy mu już tak długo, że potrafi wyrecytować ją z pamięci przy wtórze lutni, jakby dotyczyła kogo innego. Oczywiście nie zawsze tak było. Na początku, gdy zaczęła się splatać, był przecież ból, a mało co łączy żywego człowieka równie ściśle z legendą. Nie musi wspominać – tamte chwile są z nim cały czas, jak dźwięk oddechu: leżał na futonie i krzyczał, było mu zimno i gorąco, w ciele pełzały robaki. Myślał, że jest w piekle, że duchy zabrały go ze sobą. Majaczył, zapadał się w głębiny morza, a potem palił go żar sierpnia i ognisk *O-bon*, letniego święta umarłych.

* * *

To opowieść w sam raz na długie letnie wieczory, kiedy grono przyjaciół zbiera się przy czarkach w kręgu lampionów, by słuchać historii: najpierw tych zabawnych, a potem, im dalej w noc, coraz bardziej złowieszczych. W tle cichną odgłosy dnia

– pokrzykiwania przekupniów na ulicy, szcęk garnków w kuchni. Dzieci zzuwają klapki zori, moszczą się na futonach. Od lasu wiatr niesie szelest liści i krzyki nocnych ptaków. Tylko morze szumi jak zawsze. O takiej porze, zwłaszcza tutaj, tak blisko miejsca krwawej bitwy i strasznej śmierci – ci, którzy wciąż żyją, pragną poczuć własny strach.

Dlatego opowiadają sobie o młodym chłopcu, który przybył jako dziecko do świątyni Buddy Amidy, bez światła w oczach i grosza przy duszy, ale z lutnią starannie owiniętą w jedwab lepszy niż odzienie, które miał na grzbiecie. I już pierwszego wieczora oczarował swą grą opata świątyni, czcigodnego Shigeomiego, który bez chwili wahania udzielił lutniście dachu nad głową, wiktę i opierunku, a w zamian chciał tylko kilka razy w tygodniu posłuchać jego gry i śpiewu.

To nie miał być tylko śpiew, żżyma się Hoichi, kiedy nasłuchuje z werandy tej wersji swojej historii, przedstawianej pielgrzymom przez młodego mnicha, który przyszedł do Amidaji wiele, wiele lat po śmierci Shigeomiego. Prawda jest inna: gdy trzeba odprawić egzorcyzm, lutnista i mnich są jednym sercem, jedną duszą, gdyż razem śpiewają sutry, by odegnać zło. Shigeomi potrzebował dobrego śpiewaka, nie darmożjada, a niewidomy chłopak sprostał tej roli.

Aż pewnej letniej nocy, tuż przed *O-bon*, opat i jego uczniowie poszli modlić się nad umierającym. Hoichi, dręczony w upale bezsennością, ćwiczył w świątynnym ogrodzie grę na lutni, gdy usłyszał wołanie samuraja. Władczy głos nakazał lutniście pójść za sobą i śpiewać dla wielmoży, który popasał w okolicy. Poszedł więc; nikt nie sprzeciwia się rozkazowi człowieka z mieczem, a szczególnie ubogi i niewidomy lutnista. A przy tym – opowiedali – roił sobie zapewne wiele o sławie i nagrodzie, jaką być może otrzyma.

Poszedł, choć nie wiedział dokąd, i nie rozpoznał dworzyszczka, do którego trafił, ani jego szlachetnie urodzonych lokatorów. Tak łatwo oszukać ślepcę! Zwiedli go odgłosem kroków na wypolerowanych podłogach, szelestem jedwabiu ślizgającego się po *tatami*, iluzją syku płonących pochodni. Zażądali pieśni o zagładzie rodu Heike w słonych wodach Dan-no-ury, a on dał im ją i wycisnął z ich oczu słone łzy. Zapłacili mu w pochlebstwach (a może szczerych zachwytach?) i nakazali o wszystkim milczeć oraz przychodzić na kolejne występy. Dlatego, choć drugiej nocnej wyprawy nie udało mu się ukryć i opat zaczął ciągnąć go za język, zachował

jej sekret dla siebie. Jeśli wielmożny pan zabrania, to kim jest on, Hoichi, by nie słuchać?

Trzeci poranek przyniósł gorzkie otrzeźwienie: ślepy lutnista ocknął się mokry i zziębnięty we własnej sypialni. Do świątyni przywlekli go siłą słudzy opata, którzy przed obliczem Shigeo-miego zaklinali się na wszystkie świętości, że chłopaka znaleźli – po długich wędrówkach przez zalane deszczem miasto – na cmentarzu poległych na morzu, grającego i śpiewającego z pasją dla zgromadzenia błędnych ogników unoszących się nad grobami.

Shigeomi nie mógł z nim zostać. A może nie chciał – zastanawia się dzisiaj Hoichi – może uznał, że niesfornemu wychowankowi przyda się trochę strachu, ot, mała nauczka za wielkie sekrety? Poza tym znał niezawodny sposób odpędzenia duchów, które prześladowały lutnistę: wraz z młodszym mnichem pokryli całe ciało niewidomego znakami składającymi się na *Hannya-Shin-Kyo*, sutrę serca wielkiej mądrości. Hoichi nie potrafiłby jej odczytać, ale znał słowa, więc śpiewał z nimi, kiedy pędzelki wędrowały po jego ciele jak po zwoju papieru. *Hannya-Shin-Kyo* zadaje kłam istnieniu i duchów, i człowieka, gdyż wszystko jest pustką.

W pustce nie ma formy, wrażeń, myśli, woli i świadomości.

Nie ma oczu, uszu, nosa, języka, ciała, umysłu.

Nie ma kolorów, dźwięku, zapachu, smaku, dotyku, zjawisk.

Nie ma widzenia ani świadomości.

Nie ma złudzeń ani kresu złudzeń.

Nie ma starości i śmierci ani kresu starości i śmierci.

*Nie ma cierpienia, przyczyny cierpienia, kresu cierpienia
i drogi wyzwalającej z cierpienia.*

Do dziś szepcze ją wieczorami, gdy przesuwając palcami w palcach zia-
renka różańca. I rozważa, dlaczego zatopił się w niej tak głęboko
jak w morzu. Tak głęboko, że nie zauważył, że nie całe jego ciało
zostało wpisane w pustkę.

Koniec był łatwy do przewidzenia – tego wieczora posłany
po lutnistę duch samuraja nie zobaczył na werandzie świątynnej
człowieka, ale zaledwie parę unoszących się w powietrzu uszu.
I postanowił zabrać je ze sobą do małego cesarza, jego babki
i wszystkich upiórów, by pokazać im, że zrobił wszystko, by wypeł-
nić wydany mu rozkaz.

Teraz, kiedy ludzie opowiadają jego historię, mówią, że po tej nocy Hoichi stał się niezrównanym pieśniarzem – takim, jakiego nigdy jeszcze nie słyszano. On sam wspomina dotąd głównie własne przerażenie. Gdy ocknął się wreszcie z gorączki, spadł na niego zgiełk dźwięków ostrych i płaskich, kakofonia, w której nie umiał rozpoznać nic znajomego. Jego dotychczasowy świat składał się z zapachów, smaków, dotknięć: potrafił wyczuć letni zachód słońca w dusznym od kwiatów powietrzu, pochwalić świątynnego kucharza za niezwykle świeżą rybę czy wreszcie ułożyć bezbłędnie palce na krótkim gryfie *biwy*, a plektronem uderzyć w struny z właściwą siłą. Jednak nad wszystkim królował słuch.

Płaskie stąpania bosych stóp na trawie. Szum deszczu uderzającego o papierowe ściany, spływającego kroplami po liściach, bębniącego z furją o kamienne płyty, szemrzącego na żwirze. Śmiechy kobiet wracających z targu, turkot wózka pchanego ręką handlarza ryb. Krzyki ptaków o świcie, skrzeczenie małp, chichot lisa. Skrzypienie przesuwanych drzwi i desek podłogi. Uderzenia sandałów niosące się echem wśród ścian głównej kaplicy. Po krokach, oddechu, chrząknięciu był w stanie rozpoznać, kto nadchodzi, jak blisko jest – a nawet w jakim nastroju. I nie pozostało z tego nic! Znajome i bliskie ścieżki dźwięków, z których składał mapę swego świata, nagle rozbiegły się na wszystkie strony bez ładu, bez znaczenia.

Wygrałeś swoje życie, powiedział mu ktoś – zapewne Shigeomi – tamtego pełnego krwi i bólu poranka. Jednak gdy kilka dni później Hoichi wrócił wreszcie w pełni do świadomości, otoczony chmurą zapachów lekarstw i miękkością owijających mu głowę bandaży, wiedział już: w rękach zjawy zostały nie tylko jego uszy.

– Wygrałem życie, ale straciłem siebie – wymamrotał, wstrząsany dreszczem strachu, bo nie rozpoznał głosu, który wyszedł z jego ust.

Mimi-Nashi Hoichi

Czy człowiek bez uszu słyszy mniej, czy też bardziej prawdziwie? Jako starzec ma czas zabawiać się takimi rozważaniami. Kiedy był młody, nie było to takie łatwe. W pierwszych latach swojej bytności w Amidaji jego godziny były szczerlnie wypełnione, i to nie tylko grą na lutni. Codziennie dźwigał po omacku przez dziedziniec wiadra z wodą, szorował deski w świątyni lub grabił piasek w ogrodzie. I nigdy się nie migał. Mógł być przede wszystkim

biwa-hoshim, ale praca fizyczna przynosiła mu rodzaj przyjemności, jaką daje tylko perfekcyjne panowanie nad własnym okaleczonym ciałem.

Później, po spotkaniu z duchami, jego dni stały się nie mniej pracowite, choć w inny sposób: opowieść o lutniście zmarłych zaczęła zwabiać do Amidaji ciekawskich pielgrzymów, gotowych hojnie wynagrodzić nie tylko duchowne posługi mnichów, lecz także historię z dreszczykiem, zakończoną prezentacją jej głównego bohatera. *Mimi-Nashi Hoichi* – Hoichi Bez Uszu – stał się lokalną atrakcją, wokół której zaczęła rosnąć legenda, a z legendą rosły, podlewane hojnie datkami, ściany świątyni. Spokojna Amidaji zmieniła się w hałaśliwy plac budowy. A Hoichi tkwił w samym środku, oszołomiony i ogłuszony, próbujący odnaleźć swoje dawne ścieżki, dawne dźwięki w zmieniającym się gwarze rozmów, śpiewie sutr i ludzkim rozgardiaszu.

Kiedy był dzieckiem... Ale czy rzeczywiście był wtedy dzieckiem, nie młodzieńcem? – zadaje sobie pytanie, gdy wpatruje się niewidzącym spojrzeniem w przeszłość. Dość, że kiedy stracił wzrok, czyjaś cierpliwa dłoń i głos podjęły się nauczyć go świata na nowo, w nowym języku. Ktoś – może mistrz ze szkoły lutnistów, a może Shigeomi? – ujmował wówczas jego dłoń w swoje suche i pomarszczone palce i mówił: „Kogut”, a potem zanurzał ją w miękkiej i trochę śliskiej, drżącej kształt z piór, skóry, pulsującej krwi, odzywający się niespokojnym *kud-kud-kud-a!* Pamiętał dotknięcia liści i źdźbeł trawy, zanurzanie twarzy w pachnącą kulę peonii, sierść psa i ból ukąszenia pchły, szorstkie płótno i cenny jedwab. Potem przyszła kolej na paciorki różańca, kształty zwójów papieru, pałeczki kadzidła, chłód kamiennych posągów. Dziś potrafiłby bez namysłu powiedzieć, że *Kannon-sama* ma splecione nogi, uniesioną w błogosławieństwie dłoń, chustę na głowie i łagodny uśmiech na twarzy – ale nie umiał wyobrazić sobie tej twarzy nawet w niepewnych chwilach między nocą a dniem, kiedy śnił, że znów widzi.

Po utracie uszu musiał nauczyć się tego wszystkiego na nowo, znów połączyć nazwy i imiona z dźwiękami. Były wśród nich takie, których powtórne przyswojenie szło mu szybko, i wkrótce zapominał, jakie niuanse różniły gdakanie przestraszonej kury z czasów przed spotkaniem z upiorami od gdakania z czasów po tym spotkaniu. Wzdrygał się głównie na dźwięk ludzkich głosów: niby podobny, a jednak odmienny. Najbardziej przerażało go, gdy sam musiał odezwać się i przemówić. Na szczęście i ten strach

wreszcie się ulotnił – wedle słów starej maksymy, że do wszystkiego można przywyknąć. Jednak z muzyką sprawa miała się zgoła odmiennie.

* * *

W końcu przyszedł dzień, kiedy, zachęcony przez opata, Hoichi zdecydował się ponownie wziąć do ręki *biwę* i wydobyć z niej dźwięk. Brzmiał tak, że w pierwszym odruchu chciał odrzucić lutnię precz, pewien, że już nigdy nie będzie w stanie na niej zagrać. Jednak Shigeomi nie dawał za wygraną. *Talent to dar, który nie może zniknąć ot tak* – przekonywał. Hoichi przełknął cisnącą mu się na usta odpowiedź, że utrata obojga uszu może być jednak czymś więcej niż *ot tak*. Niektórych słów nie warto wypowiadać, czasami nawet – nie wolno. Dziś był sobie za to wdzięczny; zachował się jak trzeba. Shigeomi prawie zachorował ze zgrzyoty, że jego niedopatrzenie przyczyniło się do okaleczenia ulubieńca. Czy – nawet jeśli to on, Hoichi, najbardziej ucierpiał – wolno mu było powiększać brzemię starca? Codziennie zatem zasiadał na werandzie i starał się wywabić z zakamarków pamięci brzmienia, których tyle lat go uczono. Opat zachęcał, chwalił, czasem poprawiał, a Hoichi wierzył w swoje postępy. Dlaczego nie miałby wierzyć?

Pewnego dnia do świątyni przybyli wierni; słyszał ich zza ściany i przeżywał męczarnie, bo nie mógł nawet rozpoznać, ilu ich jest, kim są. Najgorsze miało jednak nastąpić na jego własne życzenie – zamiast odłożyć lutnię, postanowił zaszyć się z nią w ogrodzie na tyłach świątyni. Grał, a raczej walczył z nutami: tak trudno było dopasować dźwięki, które słyszał, do wspomnień o tym, jak powinny brzmieć. Przerwał mu głośny dziecięcy śmiech.

– To ty jesteś ten *biwa-hoshi* od duchów? – odezwał się tuż przy nim chłopczyk, może siedmioletni. Hoichi zamarł w bezruchu, jakby znów naszedł go w środku nocy niespokojny *yūrei*. Czuł na swoich palcach, zaciśniętych do bólu na krótkim, twarzym gryfie lutni, dotyk drobnych dziecięcych paluszków. – Zagraj dalej, proszę.

– Czemu? Podobało ci się? – spytał naiwnie.

– Taaak. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak śmiesznie grał. Zagraj jeszcze, Hoichi.

Uciekł wtedy w popłochu – potykając się i siniacząc – do swojej izby. Zrozumiał, że w głębi duszy trafnie przeczuwał, że Shigeomi nie mówi mu prawdy, a słudzy, zapewne przez szacunek,

trzymają język za zębami. Łudził się jednak, bo chciał się łudzić – a teraz usłyszał szczerą opinię: ba, najszczerszą, bo z ust niewiniątka. I znów poczuł się upokorzony, pokonany, okradziony przez duchy nie tylko z uszu, ale z samej esencji Hoichiego. Gdy ochłonął, pojął, że w tamtej chwili, niesiony na wzburzonej fali złych uczuć, pominął to, co najważniejsze: rozpoznał śmiech, śmiech dziecka, po raz pierwszy i nieomylnie.

I tej samej nocy usłyszał w ogrodzie głos wołający go po imieniu.

* * *

Godziny, dni, tygodnie. Na jego palcach, niewypuszczających z rąk gryfu lutni i plektronu, pojawiły się pęcherze. Im bardziej jednak ręce skarżyły się na takie traktowanie, tym mocniej Hoichi zaciął się w uporze, by nie dać im ani chwili wytchnienia. Jednak – dlaczego? Duchy nie odebrały mu pamięci; wciąż wiedział, jak dociskać struny, by otrzymać pożądany dźwięk, nie musiał się uczyć tego od nowa. A mimo to ćwiczył bez ustanku.

– Krzywdzisz swoje ciało – usłyszał zafrasowane westchnienie siadającego przy nim Shigeomiego. Wokół jesienny dzień powoli chylił się zachodowi, w przesyconym chłodem powietrzu snuł się zapach dymu. Od morza ciągnęło wilgocią, lecz w paleńsku na środku izby wciąż tlił się żar. *Tatami*, na których siedzieli obaj, były tak blisko, że Hoichi prawie czuł oddech opata. – Co ci to daje? Mówiłem, chłopcze...

– Nie mówiłeś prawdy, czcigodny! Mogę wygrywać wszystkie dźwięki, które znam, razem lub z osobna, a i tak nie będą brzmieć, jak powinny.

– Być może dla ciebie nie będą. – Wrażenie ruchu. Shigeomi zapewne chciał odruchowo poklepać go po ramieniu. – Jednak zrobiłeś postępy. Sam nie jesteś w stanie ich ocenić, więc kto ma to zrobić?

Hoichi przycisnął lutnię do piersi.

– Nie chcę być ślepym i głuchym! – wyrzucił wreszcie ze złością, zaskoczony piskliwym brzmieniem własnego krzyku. – Powodowany miłosierdziem Buddy Amidy, dałeś mi dom, czcigodny, a ja miałem poczucie, że ci się odwdzięczam. Że jestem potrzebny tobie, ludziom, dla których śpiewamy sutry, gościom świątyni, którzy przychodzili posłuchać opowieści o Heike, ba, że jestem potrzebny tym duchom, które przyszły po mnie w *O-bon*. A teraz? Teraz goście pokazują mi sobie palcami, jeszcze jeden szczegół opowieści, ciekawy, bo żywy. Kim jestem? Jeszcze człowiekiem?

- Wszyscy zadajemy sobie to samo pytanie, Hoichi, nie tylko ty.
- Wiem, czego uczy błogosławiony Budda...
- A jednak się boisz. I powiem ci, Hoichi, czego. – Strzeliły stawy, zaszeleścił jedwab szaty; powoli, ze starczym trudem, opat dzwignął się na nogi. – Boisz się, że kiedy nie będzie już potrzeby ćwiczyć nut, przyjdzie ci zacząć śpiewać. I dlatego dręczysz swe palce, by odwlec tę chwilę, kiedy będziesz musiał usłyszeć własny głos. Strach trzyma cię w uścisku mocniej niż dłoń ducha. Przemysł to w czasie medytacji. – Ostatnie zdanie zlało się w jedno ze zgrzytem odsuwanych drzwi. Jednak nim Shigeomi wyszedł, Hoichi zwrócił ku niemu ślepe oczy.
- Skoro mowa o duchach, mistrzu... Oni znów mnie wołają.

* * *

Zimowe miesiące nie przyniosły ukojenia. Choć Shigeomi i jego uczniowie wypisali ochronne znaki na ścianach sypialni, Hoichi wciąż słyszał zmarłych o zmierzchu, na granicy jawy i snu. I z każdą nocą było ich więcej. Początkowo towarzyszył mu tylko szorstki, wielkopański ton samuraja posłańca. Wkrótce jednak zaczął słyszeć także władczy głos szlachetnej ochmistrzyni dworu, a potem zaczęły dołączać inne: łagodne i przypochlebne damy, brutalni wojownicy, wzgardliwi wielmoże, wrzeszczący kapitanowie okrętów, wreszcie – upiorny głos dowódcy wojsk, Taira-no-Tomomoriego, szept Nii-no-Amy i, najgorszy bodaj, oddech dziecka, wyczekujące milczenie samego cesarza. Na jawie nie umiałyby ich uporządkować, ale we śnie znów słyszał wszystko tak, jak kiedy był jeszcze kompletny.

Pozostali mieszkańcy świątyni nie pozostali głusi – może nie na głos duchów, ale na pewno na wrywające ich ze snu wrzaski nawiedzanego lutnisty. Zaklęcia zawieszono na słupach werandy, dodano amulety u węzłowia i odprawiono modlitwy w towarzystwie innych *biwa-hoshich*, szeleszczących szatami, gdy ich głowy obracały się ukradkiem w kierunku kłęzącego za nimi bezu-chego chłopaka. W korytarzach i na dziedzińcu szeptano, że niepodobna, by po tylu egzorcyzmach wciąż nawiedzały go upiory. Może to złośliwe psoty lisów lub *tanuki*? Wszak te magiczne stworzenia lubią udawać tych, kim nie są, i straszyc nie gorzej niż prawdziwe *yūrei*. Może na Hoichiego uwzięły się diabły *oni* lub inne *yōkai* – skoro potrafią wywołać wrażenie stukotu sandałów na ścieżce, by podnieść nam włosy na karku o nocnej godzinie, czy nie mogą udawać głosu umarłych? Zresztą – jak brzmi ten głos...?

Tej zimy w miasteczku pojawiła się trupa wędrownych aktorów; nie najwyższej klasy, ale zdolnych, ocenił po występie Shigeomi. W wynajętym domu przy rynku odegrali cały cykl sztuk wedle reguł *nō*. Hoichi siłą rzeczy nie mógł przypatrywać się grze – obawiał się przy tym, że jego obecność może wzbudzić niepotrzebne zamieszanie – jednak poprosił jednego ze służących, by zabrał go na tyły sceny, bo chciał przynajmniej posłuchać. Śpiew aktorów przypominał mu o jego własnym śpiewie, choć różnił się od niego, brzmiał bardziej rytmicznie, nieomal jak zaklęcia. W pamięć zapadł mu moment pojawienia się demona czyhającego na nieostrożnych wędrowców w zimową noc: narastający, nerwowy rytm bębenków, przeszywający świergot fletu, pokrzykiwania i modulowany skowyt nocnych stworzeń, gwałtowne tupnięcia bosej stopy rozgniewanego *bakemono* – potwora. Rozum podpowiadał, że to tylko gra, jednak strach potrząsnął Hoichim, oblał potem w środku zimowego wieczora. Przez chwilę trwającą długo jak wieczność chłopak czuł się samotny, pozostawiony w swojej prywatnej ciemności bez przyjaznej duszy u boku, w lesie lub gdzieś na pustkowiu, gdzie wiatr szeleści listowiem i nie wiadomo, kto wyje, śmieje się, skrzeczy – lis czy duch. Ale gdy zasypiał tamtej nocy, Hoichi pojął ze zdziwieniem, że przecież podczas własnego spotkania z duchami nie czuł takiego lęku – ani razu. I powitał chór nawołujących go upiórów prawie z wdzięcznością.

* * *

Minęła zima z jej wilgotnym, morskim chłodem, nadeszły wiosenne ulewy i mgły wiszące o świcie wśród drzew wokół świątyni, a w sadzie zakwitły wiśnie. Hoichi chodził pomiędzy nimi i muskał chłodne kiście kwiatów, by nacieszyć się ich delikatnością i przemijającym pięknem. Czuł, jak koją ból jego zmęczonych palców. *Hanami* – czas podziwiania drzew wiśniowych w ich najpiękniejszym rozkwicie – trwało tego roku w Akagamaseki wyjątkowo długo, a on spędził je na postach, modlitwie i ćwiczeniach. Powtarzał cały ustęp *Heike Monogatari* poświęcony bitwie pod Dan-no-ura, a w myślach dośpiewywał swoje kwestie, skrupulatnie przeliczając uderzenia serca na uderzenia plektronu o jedwabne struny. Tak jak duchy przywoływały go co wieczór, tak on przywoływał z pamięci poemat – aż do dnia, gdy wydało mu się, że słyszy znów swój śpiew, chociaż nie poruszył nawet ustami.

Następnego ranka przyszedł do opata.

– Będę recytować i grać w rocznicę bitwy, aby uczcić zmarłych Heikech – powiedział, kiedy złożył już ceremonialny ukłon. Shigeomi nie wydawał się zaskoczony.

– Być może tego właśnie od ciebie oczekują – przyznał, a potem ujął lutnistę pod rękę i poprowadził do ogrodu. – Skoro nic innego nie potrafi ich ukoić, spróbujmy tego sposobu. Być może ukoi i ciebie.

Hoichi słyszał, że w głosie mnicha pobrzmiwała ulga. Widać było, że uporczywy żal wychowanka ciąży mu nie mniej niż samemu Hoichiemu. Każde przywiązanie serca do doczesnych wartości, które są przecież niczym więcej niż wiosenna mgła wobec nieskończoności łaski Buddy, obciąża ludzkie serce, przywiązuje je do świata i po śmierci ściąga duszę w dół, do piekieł, zamiast wieść do Czystej Krainy. Shigeomi bał się piekła dla Hoichiego – i dla siebie, zwłaszcza że nocne nawoływania, których wprawdzie nie słyszał nikt poza ślepym lutnistą, musiały skłaniać myśli dobrego opata ku temu, co czeka wszystkich, którzy nie podążają drogą Buddy Amidy. Dlatego też Hoichi nie powiedział mu nic więcej – nic o wyzwaniu, które pragnął rzucić duchom.

W dniu rocznicy bitwy pod Dan-no-ura zasiadł ze swoją lutnią nie w świątynnym ogrodzie, ale na dziedzińcu, naprzeciw steli z modlitwą za tych, którzy zginęli na morzu. Pod palcami stóp miał świeżo wygrabiony piasek; w uszach – lekki szum wiatru, zwiastujący przelotny deszcz. A także pojedyncze gwizdy nawołujących się w zaroślach ptaków, chrząknięcia i szepty służących, i ciche oddechy nieznanych mu ludzi. Shigeomi najwyraźniej sprosił na wielki powrót Hoichiego wielu gości, ale – niepewny reakcji niewidomego lutnisty – zakazał im się zdradzać ze swą obecnością. Hoichi uśmiechnął się w duchu. Nie podzielił się z opatem tym, jak wiele z utraconych umiejętności odzyskał, nie mógł więc mieć mu za złe tego zbożnego oszutwa. Zaczekał, aż przebrzmiały ostatnie słowa modlitw za zmarłych, które zanoszono w świątyni, i kroki idących w procesji orantów; *tuk-tuk* o kamienne schody, *szur-szur* na piasku dziedzińca, trzaskające stawy starców i szelest szat zasiadających mnichów.

Potem zaczął śpiewać. *Dwa uderzenia plektronem o struny, a po nich cisza, tak to się gra, jego głos przeciąga sylaby, zmienia się w modulowany lament, a lutnia brzmi rytmicznym dźwiękiem wiosel uderzających o fale, brzęczy jak stal mieczy zderzających się z płytkami zbroi, warczy jak cięciwy wypuszczających strzały łuków i wreszcie pluszcze jak osuwające się w wodę ciała...*

A gdy skończył, wsłuchał się w burzę braw, szlochów i westchnień. Cokolwiek straciłem, czcigodni zmarli – modlił się w ciemności własnych niewidomych oczu – cokolwiek mi zabraliście, teraz odzyskuję i nieważne, jak często jeszcze będziecie przychodzić, znów i wciąż będę *biwa-hoshim*, nawet bez uszu.

O-bon

Sierpniowy wieczór znów spędza na werandzie. Starość i lato nie są dla niego łaskawe. Teraz, kiedy siada lub podnosi się, by wolnym krokiem przejść do ogrodu lub swojej sypialni, słyszy te same dźwięki, po których kiedyś rozpoznawał Shigeomiego: strzelające przy każdym ruchu stawy, posapywanie człowieka zmęczonego upałem, szelest chusty, którą ociera czoło i kark.

Im bliżej wieczora, tym głośniejsze i bardziej natarczywe cykady. A ponad ich monotonnym jazgotem – skrzywienie żurawia u studni, kroki pielgrzymów, śpiew w świątyni... I wspomnienia. Hoichi stara się nie poruszać, pomijając delikatne muśnięcia palców na gryfie i korpusie lutni; stara się być jak najciszej, aby słyszeć świat z przeszłości.

Wkrótce O-bon. Mnisi i wierni będą modlić się za tych, którzy już odeszli, a jednak żyją w jego wspomnieniach: jako dźwięki, które zapamiętał i do których wraca. Czasem nawet – mniej lub bardziej udolnie – próbuje wpisać ich w muzykę. Eksperymentuje i nie zważa już na to, czy słuchacze reagują cichym śmiechem, czy pełnym szacunku aplauzem. Odkąd zaśpiewał dla duchów w pierwszej rocznicę nawiedzenia, po kraju, od najdalszych prowincji na północy i południu aż do serca cesarskiego Kioto, poszła wieść o niezwykłym *biwa-hoshim*, który nie tylko przeżył spotkanie z widmami Heike, ale i odzyskał od nich odebrany głos. Jeśli z początku ciekawscy przyjeżdżali zobaczyć jego okaleczone ciało i wysłuchać historii, to z roku na rok więcej było tych, którzy żądali, aby zaśpiewał i dla nich. Każdy chciał zrozumieć, co jest takiego w tym ślepym chłopcu – a potem młodzieńcu, mężczyźnie, dojrzałym człowieku – że pragnęli słuchać go zmarli.

I tak to szło, rok po roku, dekada po dekadzie. Nie musiał, jak wielu innych *biwa-hoshich*, wędrować po kraju, by zarobić na swoją miskę ryżu; to kraj wędrował do niego, by obsypywać go darami, a fama niezrównanego lutnisty z czasem tylko wzrastała. Niemal co dnia, o ile gardło pozwalało, Hoichi zasiadał przed wzniesionym naprędce wspaniałym cenotafem cesarza Antoku na świątynnym dziedzińcu – coraz piękniejszym, coraz

bardziej okazałym, coraz drobniejszym piaskiem wysypanym – z lutnią w ramionach. Nie migał się od swoich obowiązków, nie tylko wobec pielgrzymów. Przede wszystkim miał przecież końć żal umarłych.

* * *

Zabawne – z perspektywy tych wszystkich lat – że kiedy dawał swój porywający pierwszy występ po roku milczenia, żywił tak wielką pewnością, że upiory uznają swoją porażkę i odstąpią. Jak niezachwianie wierzył, że przezwyciężył ich moc: oto odzyskał utraczony głos, umiejętność melorecytacji, która porusza serca, i znów jest sobą, więc musi być wreszcie wolny. Zresztą kiedy następnego poranka Shigeomi ścisnął go drżącymi ramionami, gratulując i wypytując jednocześnie, jaki skutek przyniósł ten prywatny egzorcyzm, Hoichi odparł bez cienia fałszu w głosie, że owszem, znakomity.

Prawda była i jest odmienna. Nadal przychodzą do niego duchy, znacznie bardziej prawdziwe i namacalne niż wówczas, gdy samuraj posłaniec po raz pierwszy ujął jego naga, drżącą ze strachu dłoń w swoją stalową rękawicę. Tak, Hoichi wie, że rytuał *Hannya-Shin-Kyo* wciąż niczym pancierz chroni jego rzeczywiste ciało, więc *yūrei* nie mogą poprowadzić go do swej krainy. Mimo to nie opuszczają jego boku żadnej nocy. Tak jak dźwięki w akordzie – każdy inny, ale wszystkie splecione razem tworzą zupełnie inny ton – we śnie świat i zaświat łączą się w całość i nagle zamiast smaganego morskimi wiatrami cmentarza Amidaji Hoichi czuje pod stopami drewnianą podłogę, słomiane maty, jedwab poduszek. Zamiast spróchniałych kości – ciepło ludzkich palców. Nie wyrzekł się muzykowania, znów zaśpiewał dla zmarłych, czy powinien się zatem dziwić, że wciąż znają ścieżkę, którą można dojść do jego werandy?

Poza tym upiory przynoszą czasem dar: gdy przychodzą, ulega złudzeniu, że nie jest już niewidomy. Wraz z nimi wraca do światła i cienia, kolorów i kształtów, których – tak myśli, kiedy jest przytomny – powinien już nie pamiętać, bo utracił wzrok tak dawno temu. Widzi wówczas ich twarze: nie zawsze są żywe, czasem kościane; widzi też jedwabie mokre od krwi i sztywne od morskiej wody, podziurawione strzałami, które wciąż tkwią w szczelinach zbroi. Piękne włosy dam ozdobione muszlami, perłami, girlandami wodorostów. Kobiety, które uśmiechają się do niego wiecznym uśmiechem bez ust, bez warg. Ich kimona morski prąd

rozsuwa nieprzyzwoicie, piękne damy przeistaczają się w kurtyzany, które jednak nie budzą pożądania. W ażurowych klatkach ich żeber zdziwione ryby uderzają o pręty swego więzienia. Pod hełmami samurajów nie ma twarzy – kiedy patrzy im w oczy, widzi otwierające i zamykające szczypce wielkie kraby, *heike-gani*.

– Jakież artysta... – szepczą głosy umarłych. – Nigdzie w całym kraju nie ma drugiego takiego. Lutnista niezrównany!

– Moim życzeniem jest, byś dla mnie grał i śpiewał – mówi mały cesarz, chłopczyk lat nie więcej niż siedmiu, i obraca ku Hoichiemu głowę, choć Nii-no-Ama trzyma go w swoich objęciach mocno, tak mocno, że nie wiesz, czy są dwoje, czy jedno. – Żebyś opowiadał o moim cierpieniu przez sześć kolejnych nocy i przez wszystkie inne noce.

– Nie, o Mikado – odpowiada Hoichi; leży na swoim łóżku, palce trzyma na gryfie lutni, a duchy patrzą na niego z wysoka, pochylone nad nim jak ptaki czekające na jego śmierć. – To nie jest twoje życzenie, ponieważ nie jesteś prawdziwy. Mikado, nawet martwy, nie zwróciłby się osobiście do tak nikczemnego sługi.

Wtedy wiedzą, że ich przejrzał, więc zanoszą się wielkim lamentem i odchodzą. Jednak następnej – i następnej – i następnej nocy wracają.

Im starszy jest, tym bardziej stara się przywołać wspomnienia z dzieciństwa, z czasów, kiedy jeszcze widział. Widma w jego głowie są jednak o wiele bardziej zwodnicze niż zjawy Heike. Gdy pochyła się ku przeszłości, czuje niemal fizyczny ból, jakby sięgał w głąb studni: ramiona napinają się, żuraw skrzypi, zastałe mięśnie grzbietu palą. Hoichi wsłuchuje się z nadzieją w stukot wiadra obijającego się o ściany, prawie pewny, że już wkrótce zaspokoi pragnienie, ale w naczyniu pamięci pluska tylko odrobina wody życia. Siedzi wtedy długo w swojej prywatnej ciemności i potrząsa głową, zły. Wie, że gdy zobaczą go takim świeżo przyjęci służebni, będą otwarcie chichotać, bo myślą, że skoro nie ma uszu, to gorzej słyszy. Kiedyś tak było, powiedziałyby im, ale nie dziś, już od dawna nie dziś. Po co się jednak odsłaniać? Ileż by go wówczas ominęło.

Czasem jednak obrazy przychodzą same – zwłaszcza latem, gdy przypada święto zmarłych. Niczym duchy wracające z zaświatów przynoszą Hoichiemu z powrotem słońce, kolory lata, mgiełkę nad wodami zatoki Dan-no-ura, łagodne krzywizny dachu

dworzyszcza, wyrozumiały uśmiech kamiennego Buddy i słodki uśmiech kobiety. Księżyc nad bambusowym lasem, gwiazdy przemieszane ze świetlikami, połysk jedwabiu, blask poranka odbity w wypolerowanej stali. Dużą ćmę rozkładającą i składającą skrzydła na dziecięcym nadgarstku. Malowany wachlarz. Tancerkę w pięknej sali przed zgromadzeniem dostojnych gości. Twarz mężczyzny spokojną pod warstwą zastygłej krwi, zlepiającej powieki i włosy. To wspomnienia dziecka z rodziny wojownika. Czy są prawdziwe, jego własne, czy może przyniesione wraz z opowieściami pielgrzymów? Szepczących po kątach służebnych? Mnichów?

Hoichi wierzy im i nie wierzy zarazem, bo zaczęły wypływać na powierzchnię pamięci późno, gdy nie był już chłopcem, ale statecznym i znamienitym śpiewakiem. W dodatku nie potrafi nigdy przypomnieć sobie, co było pomiędzy – pomiędzy jedwabnym rękawem, ćmą, mieczem, krwią i obrazem damy klęczącej w ogrodzie i związującej sobie nogi sznurem, by gdy wbije sztylet wprost w serce, ciało nie straciło godności – a tym dniem, kiedy młody Hoichi, który już tylko słyszy, usiadł z *biwą* w świątyni. Odkąd zaczęły przychodzić, próbował pytać Shigeomego, ale bez skutku. Starzejący się opat uparcie ignorował przeszłość podopiecznego. Za każdym razem pytanie „Skąd wzięłem się tutaj, w Amidaji?” powodowało nagłą zmianę tematu, tak ostentacyjną, że wreszcie Hoichi przestał. A potem Shigeomi umarł spokojną śmiercią człowieka, który wieczorem udał się na ostatnią, wieczną medytację – i zabrał do Czystej Krainy przeszłość Hoichiego, mgnienie pomiędzy dzieciństwem a młodością, jego martwe oczy.

Od tamtej pory Hoichi widywał nocami nie tylko duchy, lecz także widmowy blask, jaśniejszy niż światło słońca, z jakiegoś powodu budzący strach. Zrywał się wówczas z futonu na własny krzyk. Najgłośniej jednak krzyknął, kiedy noc i pamięć przyniosły mu z zaświatów twarz Shigeomego, pełną determinacji i współczucia, a zaraz potem jaskrawy błysk rozgrzanego metalu, ból i ciemność.

* * *

Zabawne, że dopiero po śmierci opata Hoichi odkrył, że sam stoi na progu starości. Shigeomi odszedł z tego świata ścieżką oświeconego, porzuciwszy kruche ciało zgarbione pod ciężarem wieku.

Być może w owej chwili przeniósł brzemień lat na barki swego skrytego, zarozumiałego lutnisty? A może dopiero wówczas Hoichi poczuł się naprawdę osierocony – i nieodwołalnie dorosły?

Wiele się zresztą od tamtej pory zmieniło. Amidaji wokół niego nadal rosła wznwyż i wszierz. Odeszło wielu dawnych służących – także ci, którzy w deszczową noc przyprowadzili go z powrotem z cmentarza do świątyni – a na ich miejsce przybyli nowi. Powiększyła się liczba mnichów, pojawił się nowy opat. Tylko pozycja *biwa-hoshiego*, który przynosił wspólnocie sławę i pieniądze, wciąż pozostawała niezagrożona. Nawet jeśli z biegiem lat ciało coraz częściej odmawiało mu posłuszeństwa i musiał skracać, a nawet odwoływać występy, wciąż przybywali chętni, by go choćby zobaczyć. Czasem czekali na taką możliwość przez kilka dni – zatem nocowali w gospodzie, odwiedzali targi, łaźnię, jadłodajnię, burdel. Akagamaseki korzystało na Hoichim nie mniej niż świątynia.

On sam z biegiem lat nabrał szczególnego smaku do *Heike Monogatari* – i nie dlatego, że to o nią najczęściej prosili go słuchacze. Liczył na to, że być może dowie się z niej czegoś więcej o duchach z Dan-no-ura. Skoro ze śmiercią Shigeomiego stracił na zawsze szansę dowiedzenia się, czy dręczące go wspomnienia to jego początki – rozumował – być może przynajmniej uda mu się poznać przyczynę, dla której miał być już do końca Hoichim Bez Uszu. Jednak im bardziej zagłębiał się w opowieść, którą znał przecież jako *biwa-hoshi* od dzieciństwa, im więcej poznawał jej wersji i uzupełnień przynoszonych do Amidaji przez mieszkańców miasta lub też gości z odległych prowincji – tym większa rosła jego desperacja. Historia rodu Taira, zwanego w pieśni Heike, i jego zmagania z rodem Minamoto, który wreszcie zwyciężył i dał krajowi pierwszych shogunów, nie mówiła nic na temat szczególnego zamiłowania Heikech do lutnistów. Owszem, wspomniano w niej o zmarłych prześladowanych żywych, o morskich upiorach, o wizjach setek czaszek, jakie widywał w gorączce umierający ojciec rodu, Taira-no-Kyomori, ale poza wszystkim była to przecież opowieść o przemijaniu. Wszyscy skończymy tak samo – w wodzie, na polu bitwy lub pogrzebowym stosie, czy wielcy, czy mali.

Ot, jedna z wielu, bezsensowna i wyniszczająca kampania, pozbawiona znaczenia w perspektywie wieczności. Zupełnie jak wojna Ōnin, wielka zwada w łonie shogunskiego rodu Ashikaga, która prawie zniszczyła Kyoto, a zakończyła się, gdy Hoichi

był jeszcze dzieckiem, i nie przyniosła żadnego rozstrzygnięcia. W ciągu całego swego życia słyszał o niej znacznie mniej opowieści niż o sobie samym. Po latach coraz częściej przyłapywał się na myśli, że być może to właśnie wojna Ōnin odebrała mu rodzinę – ale, co z goryczą musiał przyznać, nie dała w zamian pocucia, że poniósł tę ofiarę dla starcia godnego pieśni lutnisty.

* * *

W dniu święta *O-bon* Hoichi budzi się niespokojny, że we śnie nie mógł sobie przypomnieć, co powiedziała mu upioryca, którą w czasie pierwszego spotkania z duchami wziął za ochmistrzynię dworu. Jednak na jawie wspomnienie z przeszłości jest wyraźne: zapytał ją – uniżenie pochylony ku ziemi, gdyż nie śmiał podnieść swej pospolitej, ślepej twarzy na szlachetnie urodzoną damę – którą z części *Heike Monogatari* czcigodni zgromadzeni chcieliby usłyszeć, gdyż recytacja całego poematu może zająć wiele nocy. *Recytuj wiersz o bitwie pod Dan-no-ura, gdyż w nim jest najwięcej żalości* – odrzekła kobieta. I ten fragment przez następne lata śpiewał najczęściej, tak często, że z biegiem czasu zaczął on w jego uszach brzmieć jak świergot ptaka – piękny, ale pozbawiony znaczenia.

Co było w nim tak szczególnego? Pytanie kołaczy się uparczywie pod czaszką, gdy Hoichi je skromne śniadanie, odmawia modlitwy, pali kadzidła na ołtarzyku dla nieznanych mu przodków. Po południu starzec siada na werandzie w pozie medytacyjnej, z lutnią leżącą u stóp, i zagłębia się w pieśni o bitwie pod Dan-no-ura. Jest tak skupiony, że ani nie słyszy dzwonów wzywających na świąteczne obchody, ani nie czuje delikatnego dotknięcia sługi, który chce mu przypomnieć, że zbliża się czas zapalania ognisk i tańców. Z Hoichim czy bez niego, dzień święty należy święcić – mnisi zostawiają go więc samego na długie godziny upalnego, dusznego dnia.

W pół śnie, pół gorącznie Hoichi odkrywa kolejne słowa, które tak często opuszczały jego usta – słyszy je wyraźnie, coraz wyraźniej – aż jego umysł zatrzymuje się na obietnicy czcigodnej babki cesarza Antoku, Nii-no-Amy. *Obiecała mu raj* – mamrocze wpatrzony w ciemność przed oczami – bo wierzyła w raj, tak jak wszyscy, którzy zebrali się na obleżonym cesarskim okręciu. Postanowili umrzeć, ufni, że spotka ich radość w Czystej Krajinie. Tymczasem czekała ich wieczność błąkających się po świecie żalonych, niepojednanych dusz, istniejących tylko jako głos

i dotyk, więc zdolnych zaczarować niewidomego z *biwą*, ale niepostrzegających oszukać ludzi, którzy mieli wszystkie zmysły na swoim miejscu. Czy możliwe, że w tym tkwiło sedno? Nie mógł ich zobaczyć, ale mógł do nich przemówić – a oni mogli mówić do niego, żyjącego w krainie absolutnego słuchu, który potrafił ich usłyszeć tak, jak żaden z żyjących.

* * *

Gdy budzi się z niespokojnej drzemki, w którą przeszła medytacja, ze zdziwieniem konstatuje: trwa noc *O-bon*, a on wciąż tkwi samotny, zapomniany i stary w świątynnym ogrodzie, do którego nigdy od sześćdziesięciu lat nie wychodził wieczorami sam. Wszyscy odeszli, zostawili go na pastwę upiorów, niczym Shigeomi, który zapomniał (lub postanowił zapomnieć?) wypisać sutrę pustki na jego uszach. Hoichi myśli, że powinien – a nawet musi – wstać i ruszyć na werandę, a potem zamknąć się w bezpiecznych czterech ścianach swojego pokoju. Zamiast tego wsłuchuje się w śpiew cykad. Myśli o tym, że zapewne wokół jest ciemno, i bawi się przez moment myślą, że może naprawdę nie jest już niewidomy, że to tylko noc kładzie palce na jego źrenicach. A gdyby miał dość sił, by unieść głowę i spojrzeć w górę – zobaczyłby, że niebo ma barwę granatu, rozjaśnione blaskiem księżyca i tysiący, tysiący gwiazd, które są jak lampiony w świątyni, tylko odległe i zimne.

Po co miałyby wracać, skoro może być sam na sam tylko ze sobą i wspominać tamten dzień, który odebrał mu uszy, ale przyniósł sławę? Zwłaszcza że z jakiegoś powodu, mimo stosownej pory, duchy nie przychodzą. A czeka na nie. Tym razem Hoichi jest gotów – jeżeli przyjdą, by poprowadzić go za rękę w nieznanne, nie będzie się wzbraniał, skoro los dał mu tutaj i teraz odpowiedź, za którą tak desperacko gonił przez prawie całe życie.

Oddziela wspomnienia przeszłości, wspomnienia wspomnień; odsłania je jak kolejne płatki lotosu, aż do serca, jak w medytacji, która prowadzi do serca Buddy Amidy, i wreszcie widzi wyraźnie samego siebie, utkanego z opowieści, w których nie ma już znaczenia, co jest prawdziwe, a co nie. Przestał być sobą tak dawno temu, ale wciąż jest Hoichim Bez Uszu, jako Hoichi Bez Uszu, chłopak-nikt przekształcony ręką ducha w legendę, przeżył siedemdziesiąt długich lat i dziś nie czuje już z tego powodu żalu, wstydu, urazy. Przyjdźcie do mnie – woła szeptem – upiory Heike, bym mógł pojednać się z wami na progu Czystej Krainy! I nagle

widzi w ciemności pod powiekami, w której zobaczyć można nawet to, co nigdy nie istniało: strach w oczach upiora, który wszedł do ogrodu i ujrzał w nim ludzkie uszy, choć nigdzie nie zobaczył człowieka. Tak, rozumie już, że on, Hoichi, bał się ducha, który mógł rozerwać go na sztuki jak papierowy lampion, a duch – samotna istota złożona zaledwie z głosu i wspomnień utkanych w Opowieść o Heike – bał się jego, Hoichiego, bo w świetle po drugiej stronie śmierci, do którego trafił, zawiedziony w nadziejach na Czystą Krainę, nie widziano dotąd nic podobnego, jak słuch bez ciała.

I w sercu medytacji niewidomy starzec czuje, jak przelewa się przez niego współczucie głębsze niż otchłanie w cieśninie Dan-no-ura, a duch, niepewnie i delikatnie, przekracza linię zakłęcia.

Amidaji

Po pogrzebie wiatr unosi drobne niby gwiazdki okruchy ziemskiej powłoki tego, który nazywał się kiedyś Hoichim Bez Uszu, ku morzu. Śmierć przyszła po niego niespodziewanie, w samym środku święta *O-Bon*, dlatego zapiecztowaniu urny towarzyszą tylko dwaj ludzie – nie licząc oczywiście grabarzy. W cmentarnym ogrodzie przy świątyni palą się lampiony; ćmy i inne nocne owady objągają się o ich papierowe ścianki, gdy dążą wytrwale ku światłu. Czasem słychać cichy syk, kiedy którejs się udaje.

– Nie usłyszę zatem Hoichiego – mówi z żalem pielgrzym, jeden z tych, którzy łączą przyjemne z pożytecznym: wędrują między sanktuariami, z którymi czas, los albo człowiek powiązał ciekawe historie. Mnich wzrusza ramionami.

– Jeśli szukaliście niezwyklej estetycznej uczty, to nie żałujcie – postarzał się, minęło wiele lat od czasu, kiedy było czego posłuchać. W innych prefekturach są *biwa-hoshi*...

Podróżnik kręci głową.

– Domyślam się, do czego zmierzacie, jednak biorąc pod uwagę to miejsce i jego historię... Cóż, był jedyny w swoim rodzaju.

Księżyc leniwie wznosi się ponad dachy świątyni Buddy Amidy. Na ustach mnicha błąka się uśmiech.

– Hoichi Bez Uszu, Hoichi naznaczony przez duchy... Wiecie, panie, co jest najdziwniejsze w tej historii? Otóż to, że nikt nie potrafi już dziś powiedzieć, czy jest prawdziwa.

– Jakże?

Mnich siada przy studni, gestem dłoni zaprasza mężczyznę, by zajął miejsce obok.

– Przyszedłem tu dopiero kilka lat temu i z początku czułem zaszczyt, że przyjdzie mi służyć w świątyni, która daje schronienie żywej legendzie. Tę historię powtarzali wszyscy: upiorny samuraj, błędne ognie na cmentarzu, sutra zapisana na ciele... Więc wierzyłem, jak każdy. Ale w dniu, gdy umarł opat Shigeomi, pewien stary służący, któremu *sake* rozwiązała przy tej okazji język, opowiedział trochę inną baśń.

Słowa płyną powoli jak myśli pijaka zapatrzonego w księżyc. W tej historii jest mnich, który nie lubił miejscowego wielmoży, i jego podopieczny, młody chłopiec z niemal do szczytu wytępionego rodu, niewidomy lutnista. Wielmoża wzywa lutnistę, ale ten, podpuszczony przez mnicha, pogardzającego niepobożnym panem, nie przychodzi na wezwanie. Mnich każe posłać panu odpowiedź, że lutnista nie jest godzien przemawiać do pańskich uszu. Wielki pan wie, kto stoi za zniewagą, a ponieważ jest okrutny, wywiera zemstę – porywa chłopaka i każe przekazać mnichowi, że skoro lutnista był głuchy na jego wezwanie, uszy nie będą mu już potrzebne. Okaleczony lutnista popada w obłęd, a zły pan umiera – powiadają, że po zjedzeniu kraba Heike. Shigeomi zaś zaczyna głosić opowieść o Hoichim i duchach.

– I on... – pielgrzym patrzy na mnicha zaskoczony – miałby w to uwierzyć? A jeśli naprawdę tak było, czy podobna, że całe życie nie miał wątpliwości?

– Kto to wie? Być może wspomnienia zatarły się, a być może tak zżył się z tą rolą, że nie umiał stanąć w prawdzie sam przed sobą? Zresztą ktoś wie, że to służący nie kłamał? W końcu co noc słyszałem, jak Hoichi przeklina duchy za to, czym go uczyniły.

– Przecież dzięki nim stał się najlepszym żyjącym lutnistą!

Mnich znów się uśmiecha. W świetle księżycy jego okrągła twarz może być nawet twarzą kraba Heike.

– Stał się... człowiekiem, który stracił uszy i musiał uczyć się dźwięków od nowa. Owszem, nie przeczę, że jego recytacje miały w sobie coś, czego nie da się określić słowami, a ludzie podróżowali z najdalszych krańców cesarstwa, by go usłyszeć. Czy był najlepszy – nie wiem, ale na pewno był jedyny w swoim rodzaju. Wszyscy inni śpiewacy mają dwoje uszu.

Anna Askaldowicz – rocznik 1981. Rzeszowianka z urodzenia, gliwiczanka z wyboru. Pomiedzy Podkarpaciem a Śląskiem zdarzył jej się pięcioletni romans z Krakowem i tamże ukończyła studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Fantastykę pokochała jako dziecię niewinne, wygrzebawszy z domowej biblioteczki opowiadania Stanisława Lema, i dotąd jej nie przeszło. Zawodowo spełnia się jako niania, korektorka i redaktorka, a prywatnie jest nieuleczalnym mołem książkowym, początkującą kolekcjonerką lalek i niespełnioną krawcową. Pisze z rzadka, ale stara się to robić dobrze.

Paula Wanarska
TO, CO ZOSTAJE



Już przed południem, jeszcze nim na niebie pojawiły się pierwsze smugi w kolorze popiołu, Katalin zrozumiała, że coś jest nie w porządku.

Być może pierwszym ostrzeżeniem był sen pełen zrytej kopytami ziemi, gryzącego dymu i czerwonobrazowego błota. Od dawna nie śniła o wojnie, jej koszmary złagodniały z biegiem lat spędzonych w gospodarstwie. Tym razem jednak zaatakowały z całą siłą, tak samo przejmująco rzeczywiste, jak w pierwszych miesiącach po odejściu z armii.

Obudziło ją zimno: ten paskudny, podstępny chłód, który nic sobie nie robił z ciężkich pierzyn i wełnianej koszuli, ponieważ rodził się gdzieś w kościach i stamtąd rozpełzał po całym ciele. Nienawidziła tego uczucia, gdyż bardziej niż cokolwiek innego przypominało jej o starości. Bóle pleców, ramion i nadgarstków mogła zaakceptować, ponieważ ból znała doskonale z czasów służby w wojsku i potrafiła go ignorować. Zimno za to było czymś nowym, jeszcze nieoswojonym, i dlatego budziło jej złość.

Jedno wiedziała na pewno – nie marzyła tak, dopóki miała obok siebie Gwenaela. Może więc nie chodziło o wiek, tylko o to, że nikt nie powinien spać sam w szerokim małżeńskim łóżku. Ale takie myśli przynosiły wyłącznie żal, więc Katalin szybko je odpędziła.

Znajda jak zawsze drzemał na ganku, rozciągnięty w poprzek wejścia – tak bronił domostwa przed niebezpieczeństwami, choć istniały one chyba tylko w jego psiej wyobraźni. Katalin sypnęła mu tłuczy z owsa i łożu, wymieszanej z resztkami własnej wieczerzy. Zauważyła jednak, że stary owczarek nie rzucił się na jedzenie ze swoją zwykłą żarłocznością. Chyba był czymś zaniepokojony, bo uszy miał czujnie nastawione, a futro na potężnym karku lekko zjeżone.

Wtedy jeszcze nie zwróciła na to większej uwagi. Przyszło jej do głowy, że z lasów Srebrnego Królestwa przyplątał się w okolicę

jakiś wilk i to jego woń zdenerwowała Znajdę. Poklepała więc tylko biały łeb psa, chcąc dodać mu otuchy, i zabrała się do pracy.

Niemal natychmiast pożałowała, że nie okryła się płaszczem – był schyłek lata, pora późnych dyń, słodko-cierpkich jabłek i pierwszych naprawdę zimnych nocy, a rześkie powietrze przenikało do szpiku kości. W takie ranki Katalin zdarzało się z żalem wspominać ojczyście strony, gdzie chłody przychodziły później, a zimy miały więcej łagodności.

W końcu jednak, jak zwykle, wysiłek rozgrzał ją i wypędził spod skóry resztki nocnego chłodu. Nabrała wody ze studni i zaniósła do domu, przeklinając pod nosem bolące ramiona i z tęsknotą wracając myślami do dni, gdy z łatwością dźwigała po dwa pełne wiadra. Później wydoiła kozy i pognęła je na pastwisko, a kurom sypnęła ziarna i obierek. Spostrzegła przy tym, że ptactwo bardziej niż zwykle ciśnie się do siebie i stroszy pióra, i przypomniała jej się zjeżona sierść Znajdy. Wiedziała przecież, że zwierzęta lepiej niż ludzie wyczuwają pewne rzeczy. Spojrzała na północ, skąd zwykle przychodziły najgroźniejsze burze i wichury, ale niebo ponad szczytami gór było doskonale niebieskie, bez nawet najmniejszej chmurki. Katalin wróciła więc do pracy, choć złe przeczucie usadowiło się gdzieś u podstawy jej kręgosłupa i od czasu do czasu przypominało o sobie paskudnym mrowieniem.

Zebrała ostatnie dynie, tak pękate i ciężkie, że musiała je załadować na taczkę, choć jeszcze niedawno z łatwością nosiła je w rękach. Od wysiłku rozboleły ją plecy, więc przysiadła na chwilę na ganku, wyciągnęła przed siebie nogi i wystawiła twarz ku słońcu. Znajda ułożył się u jej stóp, napięty i czujny. Wróble, zwykle kotłujące się beztrasko w krzakach, gdzieś zniknęły.

Złe przeczucie pełzło wzdłuż kręgosłupa Katalin, zimne i kłujące.

Wreszcie uznała, że dłużej nie ścierpi bezruchu. Przecięła podwórze, a potem poszła ścieżką wśród wysokich traw, łopianu i jeżyn, aż na skraj wzgórza. Stamtąd mogła ogarnąć wzrokiem niemal całą dolinę – od zieleniących się na południu łąk, na których wiosną i latem wypasali swe stada mieszkańcy osady leżącej niżej, po postrzępione szczyty i surowe urwiska na północy.

I właśnie na północy, na lewo od wyniosłego Rogu, którego zbocza wygrzewały się w słońcu, Katalin zobaczyła skazę na niebie.

Smugi szarości wypełzały zza górskich grzbietów i pięły się coraz wyżej po błękitcie, podobne trochę do dymu, ale zbyt regularne. Wyglądało to niemal tak, jakby coś rzucało cień na sam nieboskłon.

Katalin mieszkała na Pograniczu dość długo, by natychmiast rozpoznać oznaki otwierającego się rozdarcia, nawet jeśli nigdy wcześniej żadnego nie widziała. I dość długo, by nasłuchać się opowieści i wiedzieć, że tam, gdzie pojawia się rozdarcie, do świata ludzi przechodzą potwory.

Znajda przywarł do nogi kobiety, ale choć groźnie stroszył sierść, to ogon miał podkulony niczym przestraszone szczenię. Katalin położyła dłoń na jego łbie i wplotła palce w długie, jasne futro. Nie wiedziała, czy w ten sposób próbuje dodać otuchy psu, czy sobie.

– Już dobrze – mruknęła, a jej głos zabrzmiał jakoś obco i fałszywie. – Nie masz się czego bać. Od polowania na potwory jest Straż, a rozdarcia zawsze w końcu się zamykają.

Choć ślady na niebie w przedziwny sposób przyciągały wzrok, Katalin odetchnęła głęboko i wreszcie zdołała odwrócić się do nich plecami. Gdy wracała ścieżyną ku domostwu, nogi drżały jej tak, jak to się nie zdarzało od ponad piętnastu lat. Nie miała jednak zamiaru się nad tym zastanawiać, bo tego dnia czekało ją jeszcze dużo pracy.

Strażnicy zjawili się dwa dni później.

W tym czasie szare smugi urosły i pociemniały, a otaczający je błękit zrobił się niezdrowo wyblakły, trochę jak skóra wokół rany. Wieczorami, gdy z północy nadciągał chłodny wiatr, Katalin mogłaby przysiąc, że czuje w powietrzu gorzką woń spalenizny. Zapierała wtedy drzwi i kuliła się przy ogniu, jak najbliższej jego ciepła i blasku. Za to w ciągu dnia starała się nie patrzeć na północ i dbała o to, by zawsze mieć ręce i myśli zajęte jakąś pożyteczną robotą. Na szczęście pracy w gospodarstwie nie brakowało, zwłaszcza jeśli było się samotną i niemłodą już kobietą, a w sadzie akurat dojrzewały jabłka.

W rodzinnych stronach Katalin wierzono, że zbiory to najważniejsze dni roku, a towarzyszące im śpiewy, śmiech i rozmowy zapewniają obfitość podczas następnego lata. Gwenael wyśmiewał te przekonania i powtarzał, że dobre plony zależą jedynie od łaskawości Złotego Króla lub Królowej. Katalin jednak wiedziała swoje i kiedy tylko mogła, śpiewała roślinom albo rozmawiała z nimi – i chyba nie było to bez znaczenia, skoro w gospodarstwie wszystko rosło jak szalone.

Tym razem jednak praca szła jakoś niesporo. Kobieta z trudem balansowała na stołku i operowała tyczką do strącania jabłek,

a ramiona paliły ją od wysiłku. Melodie, które nuciała, brzmiały niewłaściwie i co chwila gubiły się w ciężkim oddechu, a słowa znanych od dzieciństwa piosenek umykały z pamięci. W końcu jednak udało jej się zapełnić ostatni kosz, a na odchodnym pogłaskała każdą z jabłoni po szorstkiej korze, prosząc, by mimo wszystko także w następnym roku bogato obrodziły.

W drodze powrotnej musiała zatrzymać się przy ogrodzeniu, by choć na chwilę zrzucić ciężar z ramion i zaczerpnąć tchu, i właśnie wtedy usłyszała tętent. Zaniepokojona uniosła głowę, bo jego brzmienie w niczym nie przypominało nierównego, leniwego kłusa ciężkich szkap gospodarskich, które wlekły za sobą tylne nogi, a często także jakiś wózek. Wyszkolone wojskowe wierzchowce pod dobrymi jeźdźcami, zrozumiała, a jej puls gwałtownie przyspieszył.

Stać! Utrzymać szereg!

Tętent narastał, aż wreszcie Katalin słyszała dziesiątki rozpędzających się koni. A może to łomot jej serca zwielokrotniał uderzenia kopyt o ziemię?

Jakiż głupiec prowadzi szarżę pod górę?

Dłoń kobiety, szukająca włóczni, zacisnęła się na pustce. Katalin ze zdziwieniem przyjrzała się swoim palcom. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby zrozumieć, że ciemne obwódki pod paznokciami to ziemia i brud, a nie zakrzepła krew.

Jeźdźcy wyłonili się zza zakrętu ścieżki opasującej wzgórze. Było ich troje, mężczyźni i młoda kobieta, wszyscy dosiadający rosłych, długonogich wierzchowców. Nawet z daleka Katalin dostrzegła charakterystyczne fioletowe obszycia na szarych płaszczach, używane tylko przez Straż Pogranicza.

Zauważyli ją i zwolnili, a jadąca pośrodku dziewczyna wysunęła się nieco naprzód.

– Bądźcie pozdrowieni, babko! – zawołała czystym, bardzo młodzieńczym głosem. – Mieszkacie w tym gospodarstwie?

Katalin poczuła gorąco rozlewające się na policzkach. Może nie była już młoda, nie tak jak te podrostki na koniach, ale to jeszcze nie czyniło z niej staruszki! Tylko jej głupi grzbiet, najwyraźniej przeciążony pracą, za nic nie chciał się wyprostować i dlatego tkwiła przygarbiona przy płocie jak jakaś wiejska babuleńka.

– Mieszkam – burknęła, wlewając w głos całą urażoną godność. – A kto pyta?

Strażniczka miała przynajmniej tyle przyzwoitości, by nieco się zmieszać.

– Jestem Norunn ze Straży Pogranicza – rzekła. Zwolniła do stępa i podprowadziła konia blisko ogrodzenia. – Wybaczcie mi brak manier. Przybywamy z ostrzeżeniem. Na północ stąd otworzyło się rozdarcie.

– Tyle to sama zauważyłam.

Norunn niepewnie poruszyła się w siodle i Katalin prawie pożałowała swej opryskliwości. Z bliska strażniczka wyglądała tak młodo! Twarz miała bladą, a rysy jeszcze po dziewczęcemu miękkie. Jasne włosy splotła w dwa warkoczki, upięte ciasno z tyłu głowy. Pochodziła pewnie z Niebieskiego Królestwa, wskazywało na to imię. Ile mogła mieć lat – szesnaście, siedemnaście? Ledwie przestała być dzieckiem, a jednak nosiła już pełne oznaczenia Straży. Brali coraz młodszych.

Nie, poprawiła się w myślach kobieta. Raczej: niechcianych. Bo dziewczyna, choć w każdym calu wyglądała na mieszkankę północy, miała jasnioletowe oczy, które zdradzały jej mieszaną krew i związane z nią dar. W żadnym z Królestw nie spoglądano przychylnie na takich jak ona, którzy mogli używać magii bez pośrednictwa swego władcy.

– No cóż – odchrząknęła Katalin. – Dziękuję za ostrzeżenie.

Strażniczka zmarszczyła brwi. Jej koń wyciągnął łeb i zaczął podgryzać płot, więc Katalin pacnęła go w nos.

– Ilu ludzi mieszka z wami, babko?

– Nie jestem twoją babką – warknęła kobieta. – I mieszkam sama. A bo co?

– Och. – Z wyrazem zdziwienia na twarzy Norunn wyglądała jeszcze młodziej. – Zupełnie sama? W tym wielkim gospodarstwie?

Katalin zmeła w zębach opryskliwą odpowiedź i tylko ponuro skinęła głową.

– Och – powtórzyła tamta. – Przykro mi, ale musicie opuścić to miejsce.

Katalin nie zrozumiała.

– Co takiego?

– Chodzi o rozdarcie. Jest większe niż zazwyczaj i już zaczęło zatruwać okolicę, a pożeracze... Tutejsza Straż nie zdoła dopaść wszystkich. Musimy poczekać na posiłki, sformować oddziały...

– I co? – spytała Katalin, odruchowo zaciskając dłonie w pięści. Co to miało wspólnego z nią?

– Przygotowujemy się do odparcia ich niżej, w kolejnej dolinie – powiedziała Norunn powoli i jakby ze wstydem. – Nie zdołamy

was ochronić, jeśli pożeracze tu przyjdą, dlatego chcemy, żebyście stąd odeszli. Dla waszego bezpieczeństwa.

Katalin pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Czyli to jest wasz sposób? Porzucić wszystko, bo gdzieś tam powychodziły potwory? No i niby dokąd miałabym pójść?

Strażniczka przygryzła wargę. Widać było, że nie przywykła do takich rozmów i zupełnie nie wie, jak się zachować. Czy towarzysze posłali ją samą, bo uznali, że jedna staruszka nie sprawi jej kłopotów?

– Tak mi przykro – wymamrotała. – To nie na zawsze. Kiedy rozdarcie zniknie, będziecie mogli wrócić. Chcemy ewakuować całą osadę i okoliczne gospodarstwa, na pewno znajdzie się ktoś, kto wam pomoże, przewiezie w bezpieczne miejsce. Możecie schronić się w Rozstajach, to trzy dni drogi stąd...

– Nie – wyrwało się Katalin. – Nie.

Wiedziała, że brzmi jak uparta stara kobieta, ale zupełnie o to nie dbała. Na myśl, że mogłaby zostawić gospodarstwo, sad i może nawet zwierzęta, zrobiło jej się niedobrze. Porzucenie tego wszystkiego, co zbudowali razem z Gwenaelem, wydało jej się najgorszego rodzaju zdradą. Zresztą opuścić coś, co pielęgnowało się własnymi rękami i nazywało domem, to zupełnie jak wyrwać sobie kawałek serca – każdy mieszkaniec Złotego Królestwa o tym wiedział.

– Musicie zrozumieć – naciskała Norunn. – Chodzi nie tylko o pożeracze. Z rozdarcia sączy się zło, zatrauwa serca strachem i rozpaczą. Jego cień pada na wszystko, co jest w pobliżu, a Straż nie może tego powstrzymać.

Katalin, choć targało nią wzburzenie, zrobiło się żal dziewczyny. Przypomniała sobie, jak sama brała udział w ewakuacjach ludności. Pamiętała krzyki i lamentsy, a także złorzeczenia i kamienie leące w stronę żołnierzy. Ludzi, którzy błagali ją, by pozwoliła im zostać, i tych, którzy ją przeklinali. Jedni i drudzy zachowywali się, jakby od Katalin coś zależało, jakby wcale nie była zwyczajną dziesiętniczką, która tylko wypełniała rozkazy.

– W porządku – mruknęła. – Wiem, że to nie twoja wina, dziecko.

– Nie jestem... – Z grymasem oburzenia na twarzy Norunn wyglądała jeszcze bardziej dziecinnie. – Przykro mi, ale nie da rady inaczej. Takie jest Pogranicze, wiedzieliście o tym.

Katalin tylko skłoniła głowę, bo strażniczka miała przecież rację. Wszyscy przybywający na Pogranicze wiedzieli, jaka jest cena za życie tam, gdzie nie sięga ani władza, ani ochrona

któregokolwiek z Królów czy Królowych. Wiedzieli, że na wschodzie, po drugiej stronie gór, leżało kiedyś królestwo azurów o fioletowych oczach, z którego ostało się jedynie okryte pyłem pustkowiem. Ta sama plugawa moc, która spustoszyła ten niegdyś wspaniały kraj, dała podobno początek rozdarciom i potworom, które przez nie przechodziły. Jednak klątwa, jakkolwiek potężna, nie sięgała żadnego z Królestw, za to jej strzępy czasem przedostawały się przez góry i osiadały na ziemi, która nie należała ani do azurów, ani do ludzi, tylko do wszystkich po trochu. Takie było Pogranicze: piękne, żyzne i wolne od wszelkiej władzy, a jednak dotknięte najpodlejszą z magii. I wszyscy wiedzieli, że nowe rozdarcie może pojawić się w każdej chwili – a jednak wciąż ścigali do tej krainy i próbowali zbudować sobie w niej życie. Niektórzy pragnęli wolności, inni – leżących pod ziemią bogactw, jeszcze kolejni po prostu uciekali.

Katalin i Gwenael przybyli kiedyś na Pogranicze, bo zapragnęły czegoś, co należałoby całkiem i bez reszty do nich. A także dlatego, że były takie wspomnienia, które chcieli zostawić za sobą jak najdalej, a nie dało się chyba zawędrować dalej niż na Pogranicze.

Norunn patrzyła na Katalin z takim współczuciem, jakby niemal rozumiała.

– Przykro mi, że nie mogę zrobić nic więcej – rzekła wreszcie, ścigając wodze wierzchowca i ściskając jego boki łydkami. – Bywajcie w pokoju.

Zwierzę pokazało zęby, niezadowolone, ale posłusznie cofnęło się i obróciło. Strażniczka jeszcze spojrzała przez ramię, prawie przepraszając, a potem pokłusowała z powrotem w dół zbocza. Katalin odprowadziła ją wzrokiem, a potem zarzuciła na ramiona kosze, które wydawały się jeszcze cięższe niż wcześniej, i poczępała w stronę chaty.

W nocy północny wiatr przyniósł chmury pyłu, szarego jak popiół z ogniska, który osiadł na trawie, liściach i drewnie. Kiedy rankiem Katalin otworzyła drzwi, zobaczyła za nimi świat pograżony w żałobie i wyprany z wszelkich barw. Na próżno nasłuchiwała śpiewu ptaków.

– To nic takiego – powiedziała do Znajdy, który lojalnie opierał łeb o jej udo, dodając otuchy. – Wystarczy porządny deszcz, żeby to zmyć.

Jednak z wiatrem nadeszło z północy coś jeszcze. W powietrzu unosił się zapach spalenizny, który pozostawiał suchość w ustach

i gorzki posmak na języku. Osowiałe, nastroszone kury nie tknęły ziarna, a kozy nawet nie próbowały się paść, tylko tępo patrzyły przed siebie. Może zresztą nie należało się dziwić, że nie chcą ruszać okrytej szarym kozuszkciem trawy. Katalin najpierw przemawiała do nich cierpliwie, ale w końcu poddała się i podsypała im siana oraz obierek. Dopiero to nieco ożywiło zwierzęta.

Nawet jabłoniowy sad wydawał się tego dnia jakiś ponury i obcy. Katalin krążyła między drzewami – od czasu do czasu muskała palcami jakiś pień albo przystawała, by strząsnąć z najniższych gałęzi nieco pyłu. Jabłonie były stare, zasadzone znacznie wcześniej niż Katalin i Gwenael przybyli na północ i zapewne przetrwały już niejedno rozdarcie. Ta myśl wydała się kobiecie dziwnie pocieszająca. Gwenael od pierwszej chwili zakochał się w tych drzewach, może dlatego, że przypominały mu o bujnych sadach Złotego Królestwa. Po części z tego powodu zdecydowali się zostać właśnie tutaj i wznieść własne gospodarstwo na ruinach dawno zapomnianych zabudowań.

Katalin przesunęła dłonią po pomarszczonej, spękanej korze, tak podobnej fakturą do jej własnej skóry.

– Będzie dobrze – wymruczała. – Obie nie jesteśmy już młode, ale należymy do tej ziemi. Nie pozbędą się nas tak łatwo, prawda?

Być może był to moment, kiedy miałyby szansę znaleźć pocieszenie w modlitwie – ale pochodziła ze Złotego Królestwa, nie potrafiła więc modlić się do kogokolwiek poza Złotym Królem.

* * *

Osada, która przez lata nie dorobiła się nawet własnej nazwy, w niczym nie przypominała uporządkowanych, schludnych wsi Złotego Królestwa. Rozlewała się po obu stronach strumienia chatytczną mieszaniną zagród, warzywników, solidnych domostw i ledwo stojących lepierek – a wszystko to w otoczeniu pól i pastwisk, rozbiegających się na wszystkie strony bez żadnego planu. Ten rozlazły kształt zmieniał się niemal bez ustanku wraz z przyływem i odpływem kolejnych mieszkańców. Jedni pojawiali się tylko na chwilę, rozczarowani bezskutecznymi poszukiwaniami złóż albo pozbawieni zarobków przez katastrofę kolejnej kopalni. Inni próbowali ułożyć sobie życie na stałe, bo nie mieli do czego wracać. Niektórym nawet się to udawało.

Na samym początku Katalin jako nieodrodna córka swego Królestwa spoglądała na osadę z mieszaniną odrazy, politowania i irytacji. Nie mogła znieść jej nietrwałości i niczym nieskrępowanej

swobody, z której rodziły się jedynie brud i chaos. Z czasem przyzwyczała się, a po latach, gdy wrosła wreszcie w tę ziemię, przyzwyczajenie przerodziło się w niemal matczyną tkliwość. Czasem schodziła między zabudowania, by pohandlować albo najając parobka do sianokosów, ale najbardziej lubiła obserwować wioskę z daleka, ze wzgórz. Może dlatego, że z bliska ludzie zazwyczaj wypadali rozczarowująco.

Tego dnia osada pulsowała gorączkowym ruchem, a strach i desperacja unosiły się nad nią razem z dymem palenisk. Wielu mieszkańców najwyraźniej usłuchało ostrzeżenia i teraz starało się spakować jak najwięcej dobytku. Zresztą pewnie mniej chodziło o słowa strażników, a bardziej o rozlewającą się na niebie ciemność. Ta zaś wciąż rosła i nie przypominała już smug dymu, a chmurę burzową, nieprawdopodobnie powoli nadciągającą znad północnych szczytów.

A może o wszystkim przesądziło płynące z rozdarcia zło, które zdążyło już położyć się cieniem na ludziach i całkiem złamać w nich ducha?

Katalin zdusiła w sobie złość, zabarwioną chyba odrobiną strachu. „Dlaczego uciekacie?” – chciała spytać ludzi tam, w dole. Gdybyśmy wszyscy zostali, pomyślała z zalem, może zdołalibyśmy obronić się przed potworami. Siebie i nasze domy.

Jakaś jej część obawiała się jednak, że to oni mieli rację. Bo kto wie, czy stal, strzała albo ogień w ogóle mogły zabić pozeracza? Podobno potwory te żywiły się samym życiem, obracając w popiół wszystko, czego się tknęły. Jak zwykły człowiek może walczyć z czymś takim?

Może dlatego Straż Pogranicza potrzebowała mieszkańców z ich fioletowymi oczami i magią odziedziczoną po azurskich przodkach, a nie pochodzącą, jak należy, z samej ziemi, skąd czerpał ją i rozdzielał między wiernych poddanych prawowity władca.

Katalin wiedziała, że mogłaby uciec wraz z mieszkańcami osady, i były chwile, gdy nawet to rozważała. Miała dość pieniędzy zaoszczędzonych jeszcze z wypłaty, którą otrzymali z Gwenaelem po zakończeniu służby w wojsku. Dość, by zapłacić za miejsce na wozie dla siebie, psa i kilku skrzyń, a potem najając jakąś nędzną chatynę w Rozstajach, może nawet z kawałkiem błotnisteo warzywnika. Mogłaby przebiedować tak kilka miesięcy, a na wiosnę wrócić...

Wcześniej jednak musiałaby sprzedać kozy i kury, a dom, warzywa, kwiaty i sad porzucić na pastwę potworów i tego

przeklętego wiatru, niosącego pył i gorzki swąd. No i czy potem miałyby w ogóle do czego wracać? A co, jeśli potwory zniszczą jej gospodarstwo? Albo nie potwory, tylko jacyś podli ludzie, którzy rozkradną wszystko aż po ostatni kamień, a jabłonie porąbią na opał? Na samą myśl Katalin poczuła łyzy swędzące w kącikach oczu. A potem wyobraziła sobie, jak dożywa ostatnich dni w Rozstajach – w jakiejś nędznej izbie na zapleczu warsztatu, w smrodzie dymu, potu i ludzkiego brudu, z dala od nieba i wzgórz – i zadrżała z odrazy.

Poza tym co powiedziałyby na to Gwenael? Przez lata był gwardzistą, czerpiącym dar magii od samego Złotego Króla, i po odejściu z armii mógł liczyć na pomniejszy tytuł, słuszny kawałek ziemi i dość pieniędzy, by zatrudnić parobków do jej uprawiania. A jednak pojechał z Katalin aż na skraj świata, by mogli zbudować dom, który będzie należał tylko do nich, i zamieszkać z dala od wszystkiego, co przypominałoby im o wojnie.

Nigdy nie żalowali, nie tak naprawdę. I Katalin uświadomiła sobie, że dopiero jeśli odejdzie, przekona się, co to znaczy żałować.

Słońce zachodziło już, gdy Katalin wracała do chaty, i w jego ciepłym, bursztynowym blasku wszystko nabierało miękkości, a wszechobecny szary pył mniej rzucał się w oczy. Znajda dreptał u boku kobiety, choć dopasowanie się do jej wolnego kroku przychodziło mu z trudem. Widząc, jak owczarek co chwila wyrывa naprzód, po czym przystaje, by na nią zaczekać, Katalin uśmiechnęła się lekko. Cóż, pomyślała tylko z odrobiną goryczy, minęły już czasy wspólnych wędrówek aż do granicy śniegu i biegów wzdłuż strumienia.

– Przykro mi, że zestarzałam się szybciej niż ty, przyjacielu – mruknęła.

Znajda spojrział na nią i zamerdał ogonem, jakby zapewniał, że nic nie szkodzi.

Wiatr wreszcie zmienił kierunek i zamiast spalenizny czuć było nieco słodkawy, a nieco cierpki zapach traw, wilgotnej ziemi i jesiennego kwiecia. Katalin z przyjemnością wdychała znajomą woń, pozwalając, by ukoili jej nerwy.

Nie od razu zauważyła, że Znajda gdzieś odbiegł. Jej uwagę zwróciło dopiero psie ujadanie, bardziej radosne niż gniewne. Po chwili dostrzegła biały grzbiet, ledwo widoczny w wysokiej trawie – a może to tylko jej wzrok nie był już tak dobry jak kiedyś, zwłaszcza w zapadającym zmroku. Zawołała raz i drugi, jednak

bez skutku; udało jej się jedynie spłoszyć wróble z pobliskiej bżowiny. W końcu zebrała wysoko płaszcz, żeby nie wplątał się w gałęzie łopianu, i weszła w zarośla.

Owczarek znalazł sobie dziwną zabawę. Wpychał łeb w wysokie trawy i powarkiwał śmiesznie, jak szczeniak, po czym odsukiwał i przypadał do ziemi z wywalonym ozorem i błyszczącymi ślepiami. Katalin przykucnęła, odsunęła kudłaty łeb i rozgarnęła żółtkłe źdźbła, odkrywając ukrytego w nich zająca.

Był jeszcze młody, a do tego chyba śmiertelnie wystraszony. Zwinął się w kulę, rozpląszczył nieruchomo na ziemi i tylko boki unoszące się wraz z szybkim oddechem oraz drgania nosa zdradzały, że żyje. Kobieta stanowczo odepchnęła Znajdę. Nie sądziła, by mógł zrobić zwierzakowi krzywdę – był w końcu porządnym psem pasterskim, nawet jeśli znalezionym w przydrożnych zaroślach, i nie atakował bez przyczyny – ale zając lada chwila mógł paść z przerażenia. Katalin nie potrzebowała mięsa ani futer, więc byłaby to bezsensowna, smutna śmierć.

Przymierzała się już, by chwycić Znajdę za kark i odejść, ale jakieś nieprzyjemne, usadowione w żołądku uczucie podpowiadało jej, że coś jest nie w porządku. Znów rozgarnęła trawy – powolnym, delikatnym ruchem, żeby nie wystraszyć szaraka – i popatrzyła uważnie.

Futro zająca straciło swą zwyczajną brązową barwę – wydawało się poszarzałe, brudne, pozlepiane w strąki. Katalin, nie całkiem pewna, co nią powoduje, wyciągnęła dłoń i przesunęła nią po grzbiecie zwierzaka. Zamiast ciepła drobnego ciała poczuła pod palcami nienaturalny chłód, a gdy uniosła rękę do twarzy, przekonała się, że opuszki ma całe umazane na szaro, jakby popiołem z paleniska. Zając nie zareagował w żaden sposób na jej dotyk i kobieta pomyślała, że może to nie strach powstrzymuje go przed ucieczką.

Nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego później zrobiła to, co zrobiła. To był raczej instynkt niż świadoma decyzja, jakaś desperacka próba buntu, zrodzona z niezgody, złości i żalu. Katalin ostrożnie wzięła szaraka na rękę i przycisnęła do piersi, osłaniając rozdygotane, okropnie zimne ciało połą płaszcz. Kiedy prawie biegiem ruszyła do domu, nogi niosły ją, jakby ubył jej niedłwie dziesięć lat.

Wpadła do chaty i przecięła główną izbę, znacząc wymiecioną pieczołowicie podłogę grudkami ziemi, które odpadały od podszew beznadziejnie ubłoconych chodaków. Ten jedyny raz Katalin

zupełnie się tym nie przejmowała. Ułożyła zającą blisko ognia i otuliła kawałkami szmat w nadziei, że przywróca mu trochę ciepła. Potem jednak musiała spojrzeć w oczy przykrej prawdziwości, że nie ma pojęcia, co dalej. Owszem, zdarzyło jej się opiekować osieroconym koźlęciem, porzuconym szczeniakiem, a raz nawet poranionym przez sidła sarniakiem, ale nie miała pojęcia, jak zatroszczyć się o zającą dotkniętego złą mocą pożeraczy. Najpierw nalała nieco świeżej wody do glinianej miseczki i podstawiła pod nos zwierzaka, ten jednak wyraźnie nie chciał pić. Katalin odniosła wrażenie, że wystający spod tkanin łebek zrobił się jeszcze bardziej szary, ale może to rozedrgane światło lamp oliwnych i odbłask ognia oszukiwały jej wzrok.

Przez chwilę skubała rękaw koszuli, zaniepokojona, a potem podreptała do spiżarni po jabłkowe powidło. Zerwała zalepiający garnuszek rybi pęcherz, nabrała odrobinę słodkiego słońcem musu i przelała go w rożek ze zwiniętego pergaminu. Jego węższy koniec podsunęła pod pysk zającą, który jednak i tym razem nie zareagował, choć zapach owoców był wyjątkowo nęcący.

– Nie ma mowy – burknęła Katalin, biorąc szaraka na rękę. – Nie dam ci tak po prostu paść, głupie stworzenie.

Oparłszy bezwolny ciężar na podółku, ujęła łeb zwierzaka i włożyła mu koniuszek pergaminowego rożka do pyska, ściskając lekko, by pokarm skapywał między wargi zającą. Przez chwilę wydawało się, że i to nie skutkuje, ale wreszcie biedak drgnął i wystawił różowy jęzor, którym zaczął z coraz większą łapczywością zlizywać powidło.

– No, jakoś poszło – mruknęła kobieta z zadowoleniem. Potem, wiedziona impulsem, pogłaskała zajęczy łebek: delikatnie, samą opuszką.

Po jej dotykem szorstka sierść zaczęła się kruszyć, zamieniając się w szary pył.

Katalin poczuła lodowate dotknięcie przerażenia na plecach, ale udało jej się zdusić krzyk. Pospiesznie złapała najbliższą szmatę i gorączkowo wytarła palce, po czym dla pewności polala je solidną porcją wody z dzbana. Zupełnie jakby oczyszczenie skóry pozwalało udawać, że nic się nie stało.

Skuliła się na taborecie, blisko ognia, mając nadzieję, że ciepło płomieni przepędzi rozlewający się po jej kościach chłód. Ręce skrzyżowała na piersi, a dłonie wetknęła pod pachy, w ten sposób próbując opanować drżenie. Cudowny, niezawodny Znajda ułożył się na jej stopach, dzieląc się własnym ciepłem i otuchą. Zamarli

tak, kobieta i pies, pogrążeni w jakimś upiornym czuwaniu, podczas gdy ciemna moc płynąca z rozdarcia wzrastała – nawet ten jej okrucuch, który znaleźli i zdecydowali się zabrać do domu.

Zająwszy nie tknął już ani powideł, ani wody. Jego oddech stawał się coraz szybszy i bardziej nierówny, futro pokrywające łeb zaczęło opadać płatami podobnymi do popiołu, a owiniętym w szmaty ciałem wstrząsały dreszcze. W pewnym momencie Katalin, która nie potrafiła dłużej powstrzymać żalu, wzięła rozdygotane zwierzę i przycisnęła do piersi, mamrocząc jakieś uspokajające, pozbawione sensu słowa. Widziała, jak sierść i skóra obracają się w pył, jakby spalane przez jakiś wewnętrzny, żarłoczny płomień, i czuła, jak zwierzątko w jej ramionach staje się coraz złejsze, choć nie powinno to być możliwe. Poczula też, jak zajęczy nos i boki przestały się poruszać, jak ustał trzepot przerażonego serca. Gdy miała już pewność, starannie owinęła truchło tkaniną, by nie musieć patrzeć, jak zwęglona skóra i mięśnie odpadają od kości szarymi płatkami, i wyniosła tłumok na zewnątrz. W ciemności pochmurnej nocy była jak ślepa i potykała się nieomal co krok, ale wreszcie dokuśtykała do granicy sadu. Znalazła szpadel oparty o jedno z drzew i wbiła w zmarzniętą ziemię z całą wściekłością, w jaką potrafiła obrócić strach. Kopała w zapamiętaniu, aż w końcu zdołała zrobić nierówny, ale dość głęboki dół, w którym złożyła zajęcze truchło. Gdy już na powrót nagarnęła ziemi, odrzuciła łopatę i niemal pobiegła do chaty. Drżącymi rękoma opuściła zasuwę, ale coś w jej trzewiach domagało się, by dodatkowo zapała drzwi jednym z taboretów. W nozdrzach czuła zapach spalenizny i potu, kwaśny odór własnego przerażenia.

Chwyciła resztkę mydła, napełniła miednicę wodą i zaczęła szorować ręce. Popiół zmywał się łatwiej niż krew, ale Katalin i tak tarła dłonie długo i zawzięcie, aż stały się całkiem czerwone.

Tej nocy pozwoliła, żeby Znajda został w chacie i ułożył się w nogach jej łóżka, ale nawet ta ciepła, wierna obecność nie zdołała jej ukoić. Gdy w końcu zasnęła, śnił jej się popiół padający z nieba niczym śnieg i okrywający wszystkie jabłonie pierzyną szarą i ciężką jak śmierć.

* * *

Oświeceni nauczali, że gdy po śmierci ciało wraca do ziemi, duch udaje się do Wiecznych Dworów, przygotowanych przez poprzednich Złotych Władców i wciąż rosnących ku ich nieprzemijającej chwale. Katalin jednak zdarzało się myśleć, że może Gwenael,

który przecież tak wiele poświęcił Złotemu Królowi i tak bardzo ukochał swoje gospodarstwo na Pograniczu, wcale nie spieszył się odchodzić do Dworów. Były momenty, kiedy czuła jego obecność pomiędzy starymi jabłoniemi, wplecioną w szelest wiatru w ich koronach i grę cieni na trawie.

Tego dnia bardzo jej potrzebowała. Jeszcze rano nie była w stanie podnieść się z łóżka. Leżała skulona pod pierzyną, rozdygotana i słaba jak w gorączce, aż świt zamienił się w pełnię dnia, a Znajda zaczął nerwowo skrobać pazurami podłogę i domagać się, by go nakarmić i wypuścić. Katalin nie pamiętała, kiedy ostatnio zdarzyło jej się wstać tak późno i tak rażąco zaniedbać poranne obowiązki. Nie miała siły wyganiać kóz z zagrody, więc tylko je wydoiła, ale nogi tak jej się plątały, że kiedy wracała do domu, wychlapała z wiadra połowę mleka. Z trudem wmuśliła w siebie kromkę ciemnego chleba, która w ustach nabierała smaku popiołu.

– Może powinnam pojechać – wyszeptwała, osuwając się na ziemię u stóp największej z jabłoni. – Myślisz, że powinnam pojechać?

Odpowiedział jej szep wiatru w liściach, ale był to tylko zwyczaj szum bez słów.

– Pewnie większość pieniędzy wydam na to, żeby dotrzeć do Rozstajów i jakoś się urządzić. I nie sądzę, żebym mogła zabrać jakieś zwierzęta poza Znajdą, gdzie bym je tam podziała?

Oparła głowę o pień, by spod zmrużonych powiek obserwować mozaikę światła i cieni w koronie drzewa.

– No i co się stanie z gospodarstwem, jeśli odjadę? Nie, jeśli ucieknę na południe, to już tam zostanę. A przecież chcieliśmy być tu do końca, prawda? I tutaj umrzeć. Tobie się to udało – szepnęła, pociągając nosem. – Wykorzystałeś pierwszą nadarzającą się okazję, ty draniu.

W gospodarstwie przynajmniej nie była sama. Otaczały ją ich wspólne wspomnienia: cierpki smak pierwszych jabłek, które jedli do zmroku; zapach świeżej trawy, gdy kochali się na łące jak podlotki; złość zmieniająca się w śmiech, gdy okazało się, że może potrafili dowodzić oddziałem, ale nie mają pojęcia, jak zabrać się za naprawianie przeciekającego dachu. Radość i wzruszenie, gdy urodziły się im pierwsze kozłeta albo gdy zasadzone przez Katalin warzywa wydały wyjątkowo obfity plon.

Przez całe życie niewiele udało im się stworzyć – wybrali kiedyś los żołnierzy, więc znacznie lepiej poznali zniszczenie. Czasem żałowała, że nie zdecydowali się odejść szybciej, nie zdążyli

mieć dzieci, jednak to gospodarstwo i tak było dla niej dostatecznie wielkim – i może trochę niezasłużonym – darem. A teraz miałyby tak po prostu wszystko to porzucić? Pozwolić, by pożeracze chodziły po jej sadzie, by jabłonie rozsypały się w pył? Nie, w głębi serca czuła, że powinna zostać, wytrwać za wszelką cenę.

– Ale boję się – szepnęła, a wiatr zaniósł to wstydlive wyznanie drzewom. – Dzisiaj tak bardzo się boję, że nie dam rady.

Wieczorem wyjęła ze skrzyni włócznię.

Nawet kiedy zapragnęła pozostawić żołnierskie życie daleko za plecami, nie potrafiła rozstać się z tą wspaniałą bronią, a dowódca zgodził się, by ją zatrzymała. Ostatnimi czasy sięgała po nią rzadko, tylko po to, by naoliwić jesionowe drzewce i upewnić się, że lekko wygięty, podobny do noża grot wciąż jest ostry i błyszczący. Tym razem jednak potrzebowała poczuć ciężar włóczni w ręku, więc odwinęła ją z płótna i wyszła przed dom. Pierwsze, proste pchnięcia i zamachy szły jej z trudem i niezgrabnie, często traciła równowagę i myliła krok. Na chwałę Królestwa, czy to drzewce zawsze było tak długie i ciężkie?

Nie minęło wiele czasu, a Katalin była cała mokra od potu i bezbrzeżnie zirytowana. Zdjęła wełnianą kamizelę i ze złością cisnęła na trawę.

– No i co się tak gapisz? – ofuknęła Znajdę, który przycupnął w bezpiecznym oddaleniu i przyglądał się jej z mordą rozciągniętą w psiej wersji szerokiego uśmiechu. – Kiedyś byłam w tym cholernie dobra, wiesz?

Kilka razy odetchnęła głęboko, żeby uspokoić rozszalałe serce i równie rozchwiany umysł. Przyjęła postawę i wykonała pchnięcie, rozmyślnie powoli, skupiając się na płynności i poprawności ruchu. Potem kolejne. Gdyby miała naprzeciw siebie prawdziwego wroga, mogłaby go co najwyżej rozbawić – ale na szczęście ten wyobrażony był bardziej wyrozumiały. Poza tym podczas wykonywania kolejnych ćwiczeń ciało zaczęło łapać rytm, a włócznia nie zdawała się już tak nieporęczna. Katalin zaczęła czuć ból w rękach i plecach, ale to był dobry ból, więc go zignorowała. W pewnym momencie zapatrzyła się na swój cień, wydłużony w promieniach wiszącego nisko słońca. Powtarzał wszystkie jej ruchy, ale nie oddawał lekko przykurczonych ramion, pomarszczonej twarzy czy zgrzebnej, poplamionej koszuli. Gdy obserwowało się tylko jego, można było zobaczyć wyłącznie doświadczoną wojowniczkę, pochłoniętą ćwiczeniem swej sztuki. To było

piękne kłamstwo i przez chwilę kobieta pozwoliła sobie się w nim zatracić.

– Co wy tu jeszcze robicie?!

Okrzyk zupełnie zaskoczył Katalin. Straciła równowagę, zachwiała się i musiała oprzeć się na drzewcu, by nie runąć na twarz. Znajda poderwał się z ujadaniem i pomknął w stronę nadjeżdżającego lekkim klusem samotnego jeźdźca.

Młodziutka strażniczka już z daleka sprawiała wrażenie zmęczonej i wyraźnie garbiła się w siodle. Jednak kiedy podjechała bliżej Katalin, wyprostowała się i podparła pod boki, jakby usiłowała wyglądać groźniej. Zdaniem starszej kobiety sprawiała przez to raczej śmieszne wrażenie.

– Mielicie stąd odjechać! Babko, czy nie rozumiecie...

– Mówiłam, że nie jestem twoją ani niczyją babką. Nazywam się Katalin i nie przypominam sobie, żeby Straż mogła komukolwiek coś nakazać.

– Ale...

– Otrzymałam ostrzeżenie i podjęłam decyzję. Ty zrobiłaś, co należało.

– Tak, ale...

– To po co tu wróciłaś?

Norunn zmieszała się. Obserwująca ją Katalin zauważyła, że dziewczyna ma sine kręgi pod oczami, a jej włosy, pozlepiane od potu i brudu, nie są już tak zachwycająco jasne.

– Patroluję tę okolicę – powiedziała w końcu strażniczka. – Pomyślałam, że przy okazji zobaczę...

– Aha.

Wbrew sobie Katalin poczuła lekkie drgnienie współczucia.

– Skoro już jesteś, to może chcesz się czegoś napić? – spytała z wysiłkiem, zwalczywszy odruchowe pragnienie przepędzenia nieproszonego gościa.

Norunn zawahała się, a potem skinęła głową, wysunęła stopy ze strzemion i zeskoczyła na ziemię. Nogi ugięły się pod nią lekko i choć natychmiast odzyskała równowagę, opierając rękę o koński bok, to Katalin zdążyła zauważyć jej wyczerpanie. Ile godzin ta dziewczyna spędziła w siodle?

Ruszyły w stronę chaty – Katalin nieco niezgrabnie, wlekąc włócznię za sobą, bo ból i zmęczenie wywołane ćwiczeniami zaczęły dawać o sobie znać. Była boleśnie świadoma swojej przepoconej odzieży i rozczochranych włosów.

Musi mieć mnie za szaloną, pomyślała, zerkając kątem oka na idącą u jej boku Norunn. Strażniczka jednak wydawała się co najwyżej zamyślona.

– Byłaś żołnierką? – spytała w końcu.

– No byłam.

– To, co robiłaś z włócznią... Musiałaś być w tym dobra.

– Pewnie tak.

– Jesteś ze Złotego Królestwa, prawda?

Katalin poczuła nieprzyjemny ucisk gdzieś w trzewiach.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Twoje imię brzmi jak stamtąd. Masz ich ciemne oczy. No i ta włócznia. Długość, kształt grotu...

– Mhm. Prawda. – Katalin wzruszyła ramionami z udawaną obojętnością.

W czasach jej żołnierskiej służby Złote Królestwo pozostawało w niemal ciągłym konflikcie z Niebieskim. Tłąca się wzajemna wrogość co kilka lat wybuchała płomieniem zażartych bitew, staczanych o przygraniczne wioski albo pobliskie ziemie dawnego Srebrnego Królestwa, porzucone przez jego władców na łup sąsiadów. Katalin nigdy nie próbowała dociekać, co stanowiło przyczynę kolejnych starć i po której stronie leżała racja, miała jednak paskudne wrażenie, że to wojska Złotego częściej pierwsze przypuszczały atak.

Ale Norunn najwyraźniej nie chciała rozmawiać o krzywdach dzielących ich narody.

– Byłaś może jedną z nich? – spytała z zaciekawieniem. – Wybranych Króla? Tych, którzy otrzymali od niego dar magii?

– Tylko zwykłą włóczniczką.

– Och. – Dziewczyna wyglądała na rozczarowaną.

– Mój mąż był – rzuciła Katalin, sama nie wiedząc dlaczego. – Przez piętnaście lat należał do Złotej Gwardii i czerpał moc prosto z królewskiego źródła.

– Twój mąż... Ale mówiłaś, że mieszkasz sama.

Katalin milczała przez chwilę.

– Zmarł trzy lata temu – powiedziała wreszcie, po trochu dziwiąc się własnej szczerości. – Zapalenie płuc. Wyobrażasz to sobie? Przez tyle lat płał się w królewskiej magii, która dawała mu niezwykłą wytrzymałość i pozwalała uleczyć każdą ranę, wychodził żywy z nieprzeliczonych bitew, a na końcu przegrał ze zwykłym przemarzeniem.

Dlaczego jej to opowiadam? – zastanawiała się kobieta. Przez lata, które minęły od śmierci Gwenaela, nigdy nie rozmawiała z kimkolwiek o swej żalobie. Teraz żal i uraza, tak długo duszone, zaczęły wzbierać w niej z zaskakującą siłą, zapierając dech w piersi i dławiąc w gardle.

– Przykro mi – rzekła łagodnie Norunn.

Katalin pokazała jej, gdzie może przywiązać i napić wierzchowca, a potem powiodła ją do głównej izby, w duchu ciesząc się, że z powodu wewnętrznej dyscypliny regularnie sprzątała chatę, przez co nie musiała palić się ze wstydu. Przygotowanie poczęstunku zajęło jej jednak trochę czasu, dawno bowiem nie miała gości i zupełnie nie wiedziała, jak się zachować. W końcu jednak postawiła przed Norunn dzban gęstego piwa i drugi z czystą wodą, najmniej poszczerbiony kubek, jaki znalazła, a także miskę z odrobiną potrawy. Sposób, w jaki dziewczyna rzuciła się na jedzenie, wiele mówił o jej wycieńczeniu.

Katalin obserwowała jedzącą strażniczkę, w milczeniu rozważając przedziwne zjawisko, jakim była obecność drugiej osoby po przeciwnej stronie stołu. Było w tym coś irytującego, ale może z czasem zdołałaby się przyzwyczaić i nawet czerpać z tego nieco otuchy?

– Naprawdę chcesz tu zostać? – spytała Norunn, gdy już rozprawiła się z potrawką.

– Tak. Tak zdecydowałam.

– Nie rozumiem. – Dziewczyna pokręciła głową. – Chodzi o pieniądze na podróż? Nie będziesz miała za co wyżyć w Rozstajach? Mogę zwrócić się do komendanta, może znajdziemy dla ciebie schronienie w jednej ze strażnic...

– Nie, nie. – Katalin uniosła ręce. – Nie chodzi o pieniądze. Po prostu nie chcę zostawiać gospodarstwa. Nie mogę tak po prostu go... porzucić na pastwę tych, tych...

– Potworów – dokończyła Norunn. – Ale co chcesz zrobić? Przecież jedna stara kobieta z włócznią nie pokona pożeraczy!

– Ale może spróbować – odparła Katalin hardo i z pewną urazą.

– Nie wiesz, o czym mówisz – zachnęła się strażniczka. – Widziałas w ogóle pożeracza?

– No... nie. – Katalin zrobiło się głupio, więc natychmiast przystąpiła do ataku. – A ty? Widziałas?

– Oczywiście.

– Walczyłaś z jakimś? Zabiłaś?

Trafiła celnie, bowiem na twarzy Norunn pojawił się ceglasty rumieniec, zdecydowanie niedodający jej urody.

– Nie walczyłam z żadnym... jeszcze – przyznała z ociąganiem.

– Ale przynajmniej byłam na tyle blisko, by wiedzieć, czym są. Nauczyłam się opierać ich wpływowi i wpływowi rozdarcia. Ty nie zdołasz zrobić nawet tego. Ten strach, rozpacz, zło... Uwierz mi, prędzej czy później ulegniesz.

– Zobaczymy – rzekła Katalin twardo.

– Jak możesz być tak niezdolnie uparta?! – jęknęła strażniczka.

– Nie ma niczego, co mogę zrobić, żeby cię przekonać?

– Możesz mi powiedzieć, jakie one są. Żeby przynajmniej wiedziała, czego się spodziewać. Na przykład jak wyglądają. I jak je zranić.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

– Z daleka mogą ci się wydać podobne do ludzi, bo też chodzą na dwóch nogach, ale wierz mi, nie ma w nich nic ludzkiego. – Przełknęła ślinę, jakby zmagając się z myślami albo jakimś okropnym wspomnieniem. – Są potworami, wynaturzonymi i obrażającymi. I są całkiem szare, zupełnie jak popiół i jak śmierć, którą przynoszą.

Katalin skinęła głową, bo o tym ostatnim słyszała już wcześniej. Pożeracze były straszliwą plagą, efektem klątwy rzuconej przez najeźdźców z północnego wschodu. Ci barbarzyńcy, doznawszy druzgocącej klęski za sprawą połączonych sił ludzi i azurów, sięgnęli po swą plugawą magię i przekleli krainę, której nie zdołali podbić. Mówiono, że to za sprawą klątwy zaczęły pojawiać się rozdarcia przepuszczające pożeracze, potwory pochodzące z jakiegoś straszliwego podświata. Te spustoszyły całą ojczyznę azurów, zmieniając ją w jałowe pustkowie i doprowadzając do zguby większość mieszkańców. Potem zaczęły ciągnąć na zachód, gnane głodem, którego nic nie mogło zaspokoić, i pochłaniały wszystko, co żywe, obracając to w popiół. Wtedy odparto je na Pograniczu. Jednak rozdarcia wciąż się pojawiały – choć nigdy tam, gdzie sięgała moc Królów i Królowych. Dlatego władcy ludzi oraz ocalali azurowie zawarli pakt, na wieki czyniący Pogranicze ziemią niczyją, i powołali Straż.

– Ta wiedza i tak nie ma znaczenia – rzekła Norunn znużonym głosem. – Jeśli zaatakuje cię pożeracz, nie zdołasz nawet unieść włóczni. Spojrzysz w jego oczy i po prostu się poddasz.

Katalin przełknęła ślinę, bo znów poczuła zapach spaleni-
zny, nadpływający gdzieś z pamięci i wdzierający się do nozdrzy,

duszący, gorzki. Odruchowo spojrzała na dłonie, niemal pewna, że zobaczy na nich szare plamy popiołu. Skóra była oczywiście czysta, ale kobieta spostrzegła, że ręce zaczynają jej dygotać ze zdenerwowania. Szybko schowała je pod stół w nadziei, że Norunn niczego nie zauważyła.

– Być może się poddam – rzekła lekko schrypniętym głosem. – A może jakoś przetrwam. Może żaden pożeracz się tu nie zjawi, może wybiorą inną zdobycz, w tej albo następnej dolinie. To możliwe, tak?

– Możliwe – zgodziła się ostrożnie Norunn. – Ale nie możemy tego wiedzieć. Jeśli pozostaniesz jedyną osobą w okolicy i do tego te wszystkie zwierzęta... Możesz zwrócić ich uwagę, przyciągnąć ich głód.

– Zamierzam zaryzykować.

– Nie rozumiem – szepnęła Norunn. – Ja na twoim miejscu umierałabym ze strachu. Czy ty się zupełnie nie boisz?

– Boję się. Ale jeśli mam gdzieś umrzeć, to wolę tutaj niż w jakiejś obcej, zatęchłej dziurze. Tu jest moje miejsce, mój dom, wszystkie moje najlepsze wspomnienia.

– I warto za to umierać?

Katalin przypomniała sobie swoją żołnierską przysięgę, że będzie walczyć i umrze za Złotego Króla.

– Tak – odpowiedziała spokojnie. – Za to warto.

Po odjeździe strażniczki Katalin długo siedziała i przyglądała się swoim dłoniom, spoczywającym jedna obok drugiej na blacie stołu. Czy naprawdę były już stare i słabe? Owszem, z biegiem lat skóra stała się pomarszczona i cienka, pod spodem widać było żyły, ale opalenizna świadczyła o zdrowiu i uczciwej pracy. Patrząc na liczne blizny i zgrubienia – jedno od włóczni, inne od narzędzi gospodarskich – kobieta czuła wyłącznie dumę. Tak, to były dobre, silne dłonie, wciąż mogące chwycić zarówno za radło, jak i za broń.

Katalin zaczęła dzielić swoją codzienność na kawałki. W każdym z nich toczyła inną bitwę i odnosiła inne małe zwycięstwo. Być może w obliczu zagrożenia zbudziła się żołnierska część jej natury, która potrzebowała prostych rozkazów i jasnych celów, a przy tym nieszczęśliwie dbała o rezultat całej wojny.

O poranku walczyła o to, by wstać z łóżka, założyć świeżą koszulę i przełknąć choć kilka kęsów śniadania, nawet jeśli

w ustach czuła wyłącznie suchość i gorycz popiołu. Potem brała się za obowiązki. Wychodząc z domu, starała się nie spoglądać w górę, ale wiedziała, że ciemność dalej tam jest – nie znikalała, ale też chyba przestała pożerać kolejne kawałki nieba. Kobieta doiła kozy, starannie rozcierała ich boki wiązka słomy, a potem przepędzała na pastwisko. Tam siadała między nimi, głaskała grzbiety albo łaskotała podbrzusza zerwanym źdźbłem i mówiła do nich uspokajająco, aż w końcu otrząsały się z marazmu i zaczynały jeść. Niekiedy musiała najpierw sama nazrywać nieco trawy i podsunąć do kozich pysków, żeby przypomnieć zwierzętom, że muszą się pożywić.

Wiele czasu spędzała na doглядaniu spiżarni i porządkowaniu zapasów. Osada w dolinie niemal całkiem opustoszała, więc Katalin wiedziała, że przez całą jesień i zimę będzie zdana tylko na siebie, bez możliwości zakupienia dodatkowej mąki czy wymiany warzyw i serów na mięso. Przeżyła jednak niejedną chudy rok i niejedną kampanię wojenną na kiepskim wickie, wiedziała więc, że i tym razem przetrwa choćby o ciemnym chlebie i cienkiej polewce. Byleby miała dość jedzenia dla Znajdy.

Cień rozdarcia w końcu dosięgnął i jej. Tak długo jak skupiała się na pracy, mogła go ignorować, choć cały czas czaił się tuż obok, jak powiew lodowatego wiatru albo złowrogi szept za plecami. Czasem smutek ogarniał ją ciemną, lepką mgłą, z powodu której myśli płynęły wolniej, a nawet najprostsza czynność stawała się wyzwaniem ponad siły. A jeśli Katalin pozwoliła swemu umysłowi zanurzyć się w tej ciemności choć na chwilę, zapadała nagle w otchłań rozpacz i lęków tak głęboką, że traciła oddech.

Ale nie zamierzała się poddawać. Wieczorem siadała przed domem na krześle, które zrobił dla niej Gwenael, a włócznię opierała w zasięgu ręki. Choć lato obróciło się już w jesień, wciąż kwitły krwawnik i nagietki, których żółte kwiecie przypominało Katalin o rodzinnych stronach. Jabłonie przebrały się z zieleni w złoto, pomarańcz i brąz w ostatnim przeblasku piękna przed listopadowymi deszczami. Ciepłe promienie zachodzącego słońca i młeczne tumany podnoszące się z dolin łagodziły wszelkie ostre krawędzie, upodabniając widok do snu. To dobre życie, myślała Katalin, starając się zapamiętać każdy obraz, dźwięk i zapach. I dobry koniec, jeśli tak będzie trzeba.

Podczas jednego z takich wieczorów Znajda zwąchał intruza.

Katalin znieruchomiała, zaskoczona, gdy leżący u jej stóp owczarek nagle poderwał się, zjeżył i obnażył kły, a potem

pomknął naprzód z wściekłym ujadaniem. Kobieta zawołała za nim, ale pies już zniknął za krzewami jeżyn.

Podniosła się, ignorując opór zeszywniałych mięśni. Rozważała, czy powinna wziąć włócznię i spróbować przepędzić to, za czym pogonił Znajda, czy też po prostu zaczekać, gdy nagle powietrze rozdarł psi skowyt. Głos bólu i strachu.

Chwyciła więc broń i pobiegła.

Opuchnięte stawy protestowały, włócznia ciążyła w rękę, i Katalin kilkukrotnie omal nie poślizgnęła się i nie upadła. Ale skomlenie wciąż dźwięczało jej w uszach, głośniejsze nawet od kołatania serca, więc biegła dalej.

A potem go zobaczyła. Był całkiem szary, zupełnie jak skazy na niebie, i naprawdę wyglądał jak śmierć.

Katalin zachwiała się i poczuła, jak nogi odmawiają jej posłuszeństwa, a serce zamiera w pół uderzenia. Przed oczy napłynęły jej plamy czerwone jak krew i szare jak popiół i zupełnie zapomniała, po co tu przybiegła. Zamarła, rozdarta między rozpaczliwym pragnieniem ucieczki a przerażeniem tak paralizującym, że nie była w stanie nawet drgnąć.

Pożeracz ruszył ku niej, ale wtedy skoczył na niego Znajda. Owczarek zderzył się z potworem całą swoją masą i podciął mu nogi. Istota zachwiała się, oderwała wzrok od Katalin i machnęła szponami w stronę psa, który ledwo odskoczył. Dopiero wtedy kobieta oprzytomniała na tyle, by zauważyć, że Znajda kuli przednią łapę. Jego prawy bok pokrywała krew, ale sierść w miejscu, gdzie pazury stwora rozdarły ciało, była całkiem czarna, jak zwęglona.

– Zostaw go! – wrzasnęła Katalin.

Ten krzyk wyrwał jej się sam, bez udziału myśli – na myślenie wciąż była zbyt przerażona. Pożeracz znieruchomiał, po czym ponownie obrócił ku niej ciężki łeb, okryty naroślami podobnymi trochę do hełmu, a trochę do rogów.

Patrząc na potwora, kobieta widziała już, jak jego szpony rozpruwają jej brzuch, jak skóra i mięśnie czernieją i odpadają zwęglonymi płatami. Wiedziała, że nie ma najmniejszych szans pokonać pożeracza, więc lepiej rzucić broń i poddać się, osunąć w ciemność, żeby nie musieć tego oglądać...

Jednak Katalin była włóczniczką, która niejednym raz stawała naprzeciw szarżującej konnicy, i w chwilach najgłębszego przerażenia, zamiast się poddać, zwykła robić coś zupełnie przeciwnego.

Pewniej chwyciła włócznię trzęsącymi się rękoma i zaatakowała.

Być może potwory rzadko napotykały opór, bo pierwszy cios trafił w tułów pożeracza, choć grot ześlizgnął się po pancerzu. Katalin nie czekała na reakcję – od razu cofnęła się, stawiając doskonale zapamiętane kroki i zwiększając dystans, by móc wykorzystać długość broni. Pożeracz miał tylko swoje szpony, a te, choć paskudne, wciąż były mniej groźne niż miecze.

Nie odwracaj oczu! Patrz na niego, głupia!

Katalin słyszała krzyk swojego dawnego dowódcy, jakby stał tuż za jej plecami, więc choć marzyła tylko o tym, by nie widzieć tej koszmarniej istoty przed sobą, nie spuściła wzroku ani na chwilę. Jej serce waliło jak oszalałe, wypełniając uszy hukami dziesięciu wodospadów, a umysł wył z przerażenia, ale ciało robiło swoje. Pchnięcie, zamach, unik, dwa kroki w bok, znowu zamach. Ta przekłęta bestia chciała zabić jej psa!

– Nie dostaniesz go – warknęła, i zdumiał ją własny głos, schrypnięty z gniewu, nie ze strachu.

W następny cios włożyła całą swoją rozpacz i tym razem udało jej się trafić w miękkie ciało: grot zagłębił się w przestrzeń między tułowiem a ramieniem. Kobieta szarpnięciem wyswobodziła broń, ale straciła przy tym równowagę i pożeracz doskoczył do niej, unosząc szponiastą łapę.

Głupi, szczeniacki błąd, błysnęło w umyśle Katalin i była to jedyna trzeźwa myśl w otchłani paniki.

Z boku wyskoczył Znajda i uderzywszy całym ciężarem w potwora, powalił go – po czym upadł i już nie wstał. Jego niedyś śnieżnobiałe futro pokrywały plamy czerni i czerwieni.

Katalin wydała z siebie okrzyk bez słów i rzuciła się naprzód, dźgając włócznią z całej siły i zupełnie na oślep, bo wszystko przesłaniały jej łzy.

Trafiła prosto w środek łba podnoszącego się pożeracza, w miejsce nieokryte skorupą, które mogłoby być twarzą – gdyby w potworze było cokolwiek z człowieka. Grot wszedł głęboko, aż po nasadę, zupełnie jak w ludzkie ciało.

Stwór zaszamotał się dziko i targnął się do tyłu, wyrывая broń z rąk kobiety. Przez chwilę sądziła, że jest zgubiona, bo nie widziała ani kropli krwi, ale nagle pożeracz zadygotał i runął bezwładnie na ziemię. I tak już został, leżąc na wznak, z włócznią tkwiącą głęboko w głowie.

Pod Katalin ugięły się nogi. Opadła na kolana, wstrząsana spazmami, i zwymiotowała.

Nie wiedziała, jak długo klęczała na zdeptanej trawie, obejmując się ramionami i usiłując się nie rozpaść. Nagle poczuła liźnięcie szorstkiego jęzora na policzku. Dopiero to uświadomiło jej, że twarz ma całą mokrą od łez.

– Już dobrze – wyszeptła, kładąc dłoń na karku Znajdy.

Futro pod jej palcami było posklejane od krwi. Bała się spojrzeć na owczarka, jakby odwracanie wzroku mogło odczynić nieuniknione. W końcu jednak zamrugła, strząsając wilgoć z rzęs, a kiedy rozmyty świat wokół niej odzyskał ostrość, popatrzyła.

Trzy równoległe rany pozostawione przez szpony pożeracza biegingy od grzbietu przez łopatkę aż do prawej przedniej łapy. Na futrze widać było czerwone plamy i zacieki, ale krew prawie już nie płynęła, co znaczyło, że rozcięcia nie były aż tak głębokie. Katalin zakręciło się w głowie z ulgi. Wprawdzie ich poszarpane, poczerniałe brzegi i zwęglona sierść wokół wyglądały okropnie, ale powiedziała sobie, że to nic takiego. Najwyżej będzie trzeba usunąć zepsutą tkankę.

– Wyjdiesz z tego – szepnęła, ujmując w dłonie psi pysk. – Już ja się tym zajmę. Oczyszczę, opatrzę... Może trzeba będzie zaszyć, ale to nic, już to robiłam, na wojnie, kiedy nie było w pobliżu żadnego chirurga. No, nie patrz tak, wiem, że to byli ludzie, ale przecież zasada jest taka sama!

Kobieta uspokajająco poklepała biały łeb, po czym zebrała wszystkie siły, jakie jej pozostały, i z trudem stanęła na nogi. Kolana jej drżały, a stawy i plecy wyły z bólu, ale zdołała zrobić kilka niepewnych, rozchwianych kroków. Spojrzała z góry na truchło pożeracza z wciąż utkwioną w nim włócznią. Już zaczęło rozszypywać się w pył, zupełnie tak samo jak wszystkie nieszczęsne ofiary potworów. Jednak patrząc na martwego przeciwnika, Katalin nie czuła nienawiści, tylko smutek, rezygnację i mdłości. Te zwłoki wcale nie różniły się aż tak bardzo od ludzkich trupów, których naoglądała się na polach bitew. Przedziwna skorupa trochę przypominała pancerze, które nosili ciężiej uzbrojeni żołnierze, a gdy wierzchnia warstwa skóry i narosłe zniekształcające kończyny odpadły, sylwetka istoty stała się bardzo podobna do człowieczej.

I tylko szlak pożeracza znaczyło pasmo popiołu i martwych traw, jak ślad płynącej z rany krwi.

Katalin chwyciła drzewce i z trudem wyszarpnęła broń z truchła. Towarzyszyło temu odrażające mlaśnięcie i zgrzyt ostrza o kość, zupełnie tak samo jak wtedy, gdy wyrwało się grot tkwiący w ludzkiej twarzy. Kobieta poczuła, jak do gardła podchodzi jej żółć, a umysł zaczynają szturmować wspomnienia i odczucia, które przez tyle lat pieczołowicie spychała na samo dno pamięci. Duszący zapach krwi i fekaliiów. Czaszki i kości zmiżdżone pod końskimi kopytami. Jasnowłosy dzieciak z grotem włóczni, jej włóczni, wbitym prosto w oczodół...

– Spoczywaj w pokoju – wyszeptwała, z trudem formułując słowa zdrętwiałymi wargami. – I nie wracaj, żeby mnie dręczyć.

* * *

Kolejne dni przypominały koszmary sen. Katalin starannie oczyściła ranę Znajdy, przemywając ją naparem z rumianku i wycinając poczerniałą tkankę, po czym zszyła skórę. Jednak choć same obrażenia nie wydawały się poważne, pożeracz najwyraźniej zdołał wyrządzić swej ofierze inne szkody. Katalin patrzyła bezradnie, jak owczarek staje się coraz bardziej osowiały, na śnieżnobiałym futrze pojawiają się kolejne szare plamy, a kępki sierści czernieją, kruszą się i opadają jako popiół.

– Nie pozwolę na to – powtarzała i delikatnie obejmowała psa, usiłując przekazać mu trochę swojego życia i ciepła.

Przygotowała Znajdzie legowisko tuż przy ogniu, wyścielone zapasową pierzyną. Kiedy nie chciał tknąć pożywienia, siadała przy nim i przekonywała, prosiła, błagała tak długo, aż zaczynał jeść.

– Nie możesz zostawić mnie samej. Nie dam sobie rady bez ciebie – mówiła drżącym, płaczkliwym głosem, a Znajda spoglądał na nią i opuszczał pysk po kolejny kęs.

Nie było jednak nikogo, kto mógłby dodać otuchy samej Katalin, gdy moc rozdarcia powoli ją łamała. Najgorsze były poranki – rozciągnięte w nieskończoność chwile, gdy leżała już rozbudzona, lecz ogarnięta takim znużeniem, że nie potrafiła się podnieść. Podczas gdy bezużyteczne ciało trwało nieruchomo, jej myśli krążyły w ciemności, przywołując przed oczy to, czego wcale nie chciała oglądać. Ukazywały jej każdy lęk i każdą stratę, jakie tylko potrafiła sobie wyobrazić, aż wreszcie zwijała się w kłębek i zanosiła okropnym płaczem bez łez.

Ale na końcu zawsze wstawiała. Pierwsze kroki były najtrudniejsze, pierwszy posiłek smakował pyłem i stawał w gardle,

aż miała ochotę cisnąć go do ognia. Potem było już lepiej. Im bardziej ocieężała się czuła, tym bardziej zmuszała ciało do wysiłku. Przetraszała słomę, by nie zgniła, bo przecież miało jej wystarczyć na całą jesień i zimę. Suszyła w słońcu plastry jabłek naniżane na sznurki. Sprzątała chatę, aż każdy kąt lśnił czystością, i z uporem wysypywała podłogę świeżym sitowiem oraz trawami. Gdy nie miała już czym się zająć, wędrowała po wzgórzach. Z wysokich grzbietów widziała ślady obecności pożeraczy, płataninę szarych blizn na zieleni doliny. U jej wylotu opuszczona osada wyglądała jak stos ogryzionych kości.

Wieczorem szła do sadu. Jabłonie okryły się już złotem, jakby drwiły z rozpaczony otaczającego je świata i ze śmierci napływającej z północy. Czasami Katalin miała wrażenie, że w szumie ich liści słyszy echo śmiechu swojego i Gwenaela.

Norunn wróciła dwa tygodnie po tym, jak Katalin zabiła pożeracza.

Kobieta siedziała wtedy przed chatą, czyszcząc zebrane w zagajniku grzyby, może ostatnie tego roku. Zobaczyła majaczącą w oddali sylwetkę jeźdźca, ale choć nigdy by się do tego nie przyznała, czuła zbyt wielkie zmęczenie, by wyjść mu na spotkanie. Dlatego strażniczka musiała zeskoczyć z konia i sama otworzyć furtkę, nim wprowadziła wierzchowca na podwórze.

– Żyjiesz! – rzuciła zamiast powitania, a w jej głosie radość mieszała się z niedowierzaniem.

– A co miałabym nie – burknęła Katalin. – Możesz napić konia przy studni. W zagrodzie kóz znajdziesz trochę siana, jeśli chcesz.

To ostatnie powiedziała z pewną niechęcią, bo obawiała się, że zabraknie jej zapasów na całą zimę. Jednak koń strażniczki wydawał się tak wychudły i nieszczęśliwy, że nie miała serca odmówić mu pożywienia. Zauważyła też, że pęciny zwierzęcia są pokryte szarym pyłem, jakby brodziło w popiele.

Gdy Norunn odeszła, by zająć się wierzchowcem, Katalin wstała i zaczęła przestępować z nogi na nogę, próbując rozgrzać zeszywniałe kończyny. Nie zamierzała okazywać słabości na oczach strażniczki, ale nie potrafiła odpędzić wrażenia, że w ciągu ostatnich dni jej dolegliwości znacznie się pogłębiły. Wiedziała, że nie jest już najmłodsza, ale wcześniej zakładała, że jeśli tylko nie przydarzy jej się choroba, przeżyje w niezłym zdrowiu jeszcze co najmniej dziesięć, piętnaście lat. Teraz nie była już tego taka pewna. Ból stawów i mięśni stał się niemal

nieznośny, zimno nie chciało opuścić dłoni i stóp nawet długo po tym, jak wstała z łóżka, a przy wysiłku oddech często grzązał w piersi. Może działa się tak za sprawą bliskości rozdarcia, które niszcząc jej umysł, dręczyło także ciało. Chciała w to wierzyć.

Wróciła Norunn. Z bliska wyglądała na jeszcze bardziej zmarnowaną niż przy poprzednim spotkaniu i przez to – na jeszcze młodszą. W Złotym też wzięliby ją już do wojska, pomyślała kobieta, ale nie potrafiła nie czuć złości na myśl o tym, że ktoś rzucił tego naiwnego, dobrego dzieciaka w samo serce pełnego popiołów koszmaru. Patrząc na miecz zawieszony u boku strażniczki, zastanawiała się, czy dziewczyna musiała go już użyć.

– Chciałam sprawdzić, czy nie zmieniłaś zdania – rzekła Norunn nieco nieśmiało, a na widok miny Katalin dodała szybko: – Albo czy czegoś ci nie potrzeba.

– Dziękuję, radzę sobie – skłamała z godnością kobieta.

– Widzę – mruknęła Norunn. Najwyraźniej ochlapała twarz wodą ze studni, bo policzki miała zaróżowione i czyste. – Sądziłam, że jeśli osada opustoszeje, to może pożeracze podążą inną drogą, ominą tę dolinę. Ale jest ich po prostu za wiele. Głód gna je w każdą stronę. Na dole jest pełno śladów. To cud, że żaden nie dotarł tutaj...

– Jeden dotarł, ale go zabiłam.

– Co takiego?!

– Zaatakował Znajdę. Mojego psa – wyjaśniła krótko Katalin.

– Włócznia to chyba dobra broń na pożeracze. Może powinnaś to przemyśleć.

– Spotkałaś pożeracza i po prostu go zabiłaś? – Norunn nie mogła uwierzyć.

– To nie było proste – warknęła kobieta. – Zabijanie nigdy nie jest.

Strażniczka przez chwilę przyglądała jej się z dziwnym wyrazem twarzy, a w jej oczach zamigotało coś bardzo podobnego do szacunku.

– Zranił cię? – spytała w końcu łagodnie.

– Nie mnie. Znajdę.

Katalin ruchem głowy wskazała owczarka, który leżał nieopodal, wygrzewając się w słońcu. Teraz wydawał się zadowolony, choć wcześniej nie chciał ruszyć się z legowiska i kobieta musiała wywlekać go z domu za uszy. Stracił na wadze, a jego futro nie było już tak gęste i zachwycające, szpeciły je też pozbawione

włosów miejsca, pod którymi widać było poczerniałą skórę – ale kobiecie wydawało się, że przybywa ich wolniej.

Wyraz twarzy Norunn zdradzał głęboki żal.

– Wyjdzie z tego – rzuciła Katalin ostro, domyśliwszy się, co chce powiedzieć strażniczka. – Może będzie kulał do końca życia, ale wyjdzie z tego. Jest silny.

Dziewczyna podeszła do psa, przykucnęła i wyciągnęła dłoń. Znajda polizał jej palce i pozwolił pogłaskać się po łbie.

– Co dalej? – spytała Katalin. – Z pożeraczami. Walczycie z nimi, tak? Próbujecie to powstrzymać?

– Odkąd otworzyło się rozdarcie, ściągamy posiłki z innych posterunków i strażnic – rzekła Norunn. – Większość pożeraczy skierowała się w dolinę na wschód stąd...

– Kopalnie – domyśliła się Katalin. – Miasteczko górnicze.

– I wielu ludzi, którzy przyciągają pożeracze. Tam skupiamy nasze siły, mamy też posterunek na drodze do Rozstajów. Udało się nam odeprzeć ataki całych grup, ale wciąż pozostają te potwory, które wcale nie ciągną do osad, tylko wędrują samotnie. Tropi je wielu strażników, ale...

– Ty też? – przerwała jej Katalin. – Dlatego tutaj jesteś?

Norunn parsknęła krótkim, niewesołym śmiechem.

– Ja? Ja tylko patroluję te doliny i wąwozy, przez które dawno już przejechali tropiciele i stwierdzili, że niczego tam nie ma. Komendant sądzi, że... że nie dam rady. Nie ufa mi, ale musi mnie gdzieś wysłać. – Dziewczyna wzruszyła ramionami z udawaną swobodą. – Dlatego tu jestem. Bo do niczego innego się nie nadaję.

Katalin pomyślała, że gdyby była dowódcą, też nie posłałaby do walki z pożeraczami tego dobrego, naiwnego dziecka, które przy pierwszej okazji łamało rozkazy i zbaczało ze szlaku, by odwiedzać jedną upartą starą kobietę. Wiedziała jednak, że to spostrzeżenie powinna zachować dla siebie.

– To ile jeszcze to potrwa? – spytała tylko.

– Nikt nie może powiedzieć na pewno – odparła ostrożnie Norunn. – Ale rozdarcie przestało rosnąć już jakiś czas temu i nawet jeśli przechodzą przez nie jeszcze jakieś pożeracze, to jest ich mniej.

– Tak – mruknęła Katalin. – Niebo rzeczywiście wygląda ostatnio lepiej, prawda?

– Jeśli nic się nie wydarzy, rozdarcie powinno zamknąć się samoistnie za mniej więcej miesiąc. Jego moc będzie się

utrzymywać jeszcze przez jakiś czas i nie od razu wytropimy wszystkie pozeracze, ale...

– Wytrzymać do zimy – szepnęła Katalin. – To wcale nie tak długo. Wiesz, nie mogę się doczekać, aż spadnie śnieg i zakryje to wszystko.

Przez chwilę trwały w milczeniu, napawając się ciepłem słońca na skórze i pozwalając sobie zapomnieć o cieniach na niebie i śmierci zalegającej w dolinie.

– Jesteś odważna – rzuciła nagle Norunn. – Prawdziwy żołnierz. Zupełnie jak mój dziadek.

Katalin poczuła skurcz w żołądku.

– Był żołnierzem?

– Służył w armii Niebieskiego Króla. Zginął w bitwie pod Skardą.

Skurcz zamienił się w nieznośny ucisk obejmujący trzewia, bo Katalin dobrze pamiętała Skardę. Była tam, w dniu wielkiego zwycięstwa Złotego Króla nad Niebieskim.

Nie potrafiła znaleźć słów, które nie byłyby zupełnie puste albo całkiem niewłaściwe, więc milczała. Po chwili Norunn zmieniła temat i spędziły jeszcze trochę czasu, rozprawiając o zupełnie nieistotnych rzeczach – o naprawie siodła, suszeniu jabłek i łątaniu dachu przed pierwszymi mrozami.

Potem dziewczyna poszła po konia. Katalin patrzyła, jak strażniczka poprawia uprząż i dociąga popręg, po czym wspina się na grzbiet zwierzęcia. Jakaś część umysłu kobiety pragnęła za wszelką cenę zatrzymać Norunn, błagać, by została jeszcze trochę, do zmroku, do rana, by swoją obecnością odpędziła rodzące się w ciemności koszmary.

Jednak Katalin nie zwykła ulegać takim podszeptom, więc tylko w milczeniu uniosła dłoń na pożegnanie.

Miesiąc. Kobieta zaczęła zaznaczać upływ czasu kreskami, wydrapywanymi codziennie na brzegu stołu.

Każdy dzień był podobny do poprzedniego, tylko trochę gorszy. Któregoś wieczoru poszła sprowadzić kozy do zagrody i przekonała się, że jedna z nich padła. Katalin znalazła ją leżącą na boku, bez śladu jakiegokolwiek rany. Jakby po prostu w pewnym momencie poddała się i zgasła. Kobieta nie wiedziała, czy smucić się, czy też cieszyć, że dzięki temu łatwiej będzie jej wykarmić pozostałe zwierzęta.

Dni stawały się chłodniejsze i deszczowe, a zmrok zapadał coraz szybciej i coraz mniej było zajęć, które Katalin mogła wykonywać na zewnątrz. Zamiast tego nadeszły niekończące się wieczory spędzane w ciemniej izbie, rozjaśnianej tylko nikłym, czerwonym blaskiem paleniska, bo trzeba było oszczędzać oliwę do lamp. Ponieważ przy takim świetle nie dało się nawet szyć, kobieta zostawała sama z zimnem zzerającym ją od środka i z rozpaczą wypełniającą myśli. Wciąż jednak miała w sobie trochę swego dawnego uporu i dlatego dorzucała świerkowych gałęzi do ognia, owijała się kocem i jakoś trwała do kolejnego wschodu słońca.

Aż pewnego dnia śmierć sięgnęła po jej jabłonie.

Bardzo różniła się od poprzedniego pożeracza. Była niższa i smuklejsza, a coś w jej sylwetce i sposobie, w jaki pancerz układał się na ciele, sprawiało, że nie sposób było myśleć o niej inaczej niż właśnie „ona”.

Katalin nie zauważyła jej od razu. Wyszła z domu, by na chwilę odpocząć w złocistym półcieniu jabłoniowych liści. Pod pachą miała placek z rozmarynem, który skubała powoli w nadziei, że dzięki temu poczuje jego smak. Wśród drzew czuła się bezpiecznie, a rozpacz i lęk zalegające w jej duszy zdawały się ustępować. Może chodziło o to, że sad był tak pełen dobrych wspomnień i dawnej radości, że teraz oddawał je tak, jak nagrzane słońcem kamienie oddają ciepło w trakcie chłodnych wieczorów. Katalin, przymknąwszy oczy, chłonęła ten spokój. A potem powiał wiatr, po jesiennemu chłodny, i przyniósł ostry, przerażająco bliiski zapach spalenizny.

Kobieta zerwała się na nogi, a serce podeszło jej do gardła. Ruszyła naprzód sztywnym krokiem, zupełnie bezmyślnie, wiedzona tylko strachem. Z następnym podmuchem nadleciały drobnutkie płatki popiołu, które przyłgnęły do jej policzków i rzęs. Proszę, błagała w myślach, tylko nie to, nie nasze jabłonie...

Pożeraczka stała na granicy sadu, w kręgu wypalanej ziemi. Jedną łapę – rękę? – oparła na pniu najbliższego drzewa, który już niemal całkiem zszarzał. Katalin patrzyła, jak kolejne liście, jeszcze niedawno złote i pomarańczowe, czernieją i opadają, jak zwijają się i kruszą w locie, by dotrzeć do ziemi już jako ciemne strzępki. Patrzyła i czuła, jak pęka jej serce.

– Proszę... – szepnęła, choć nie wiedziała, kogo i o co błaga. – Proszę, nie jabłonie. To wszystko, co mi zostało. On tak bardzo je kochał...

Nie wiedziała, co robić. Nie miała nawet włóczni, jedynie ściskany kurczowo pod pachą ciężki placek pachnący solą i rozmarynem.

Pożeraczka obróciła się ku kobiecie.

Głód. Strach. Rozpacz.

Katalin zachwiała się pod wpływem ogarniających ją uczuć i poleciała do tyłu, w ciemność.

Pamiętała. Pamiętała te straszne dni, gdy zostali rozbici w bitwie pod Fjallwen i wycofywali się przez spustoszone ziemie w małych, zagubionych oddziałach, wlekąc ze sobą rannych, pozbawieni zapasów i dowództwa. Gdy wreszcie natrafili na wioskę, która nie była doszczętnie spalona, wpadli do niej – spragnieni jedzenia i kawałka dachu nad głową – a mieszkańcy barykadowali się przed nimi w domach. W ich oczach żołnierze byli potworami.

I zachowywali się jak potwory: wyważali zamknięte drzwi, grozili mieszkańcom obnażonymi ostrzami i zabierali to, czego potrzebowali. Bo byli głodni i przerażeni i starali się przetrwać.

Tamtego dnia zostawili za sobą okradzioną osadę i kilka trupów tych, którzy zbyt gwałtownie sprzeciwiali się grabieży. Katalin pamiętała, że gdy odjeżdżali, zobaczyła rodzącą się lunę pożaru. Nie wiedziała, kto z jej oddziału podłożył ogień, ale zapach spalenizny długo powracał od niej w snach.

Kłęczała na ziemi, pod palcami czuła sypki popiół i kruche żdźbła obumierającej trawy.

– Wy też, prawda? – wychrypiała, podnosząc głowę, i spojrzała na pożeraczkę. – Wy też nie macie wyboru. Trafiliście tutaj i staracie się przetrwać.

Istota nie próbowała podchodzić bliżej. Przy boku miała coś, co trochę przypominało miecz, ale nawet jeśli nim było, nie sięgała po niego.

– Ten strach, rozpacz... Sprawiacie, że czujemy to, co wy, prawda? Tylko mocniej.

Katalin podniosła placek, który upadł na ziemię, i z trudem stanęła na nogi.

– Przykro mi, że nie mogę ci pomóc – szepnęła. Patrzyła na pożeraczkę i czuła jej udrękę, której nic nie mogło ugasić.

Zawahała się, po czym rękawem otarła z popiołu placek, zrobiła dwa kroki w stronę istoty i położyła jedzenie na ziemi, na jedynej zielonej jeszcze kępie trawy. Był to tylko pusty gest, nic więcej.

Wszyscy wiedzieli, że pożeracze karmią się życiem, a ludzka strawa nie może zaspokoić ich głodu.

Pożeraczka zrobiła jeden niepewny krok, potem drugi. Nie próbowała atakować. Przykucnęła, w sposób tak bardzo ludzki, że Katalin aż się wzdygnęła, i ostrożnie, jakby z obawą, ujęła placetek w zniekształcone, zakończone pazurami dłonie.

– Weź go – szepnęła Katalin. – Proszę.

Jedzenie nie zaczęło zmieniać się w popiół, ponieważ nie było w nim niczego, co pożeraczka mogłaby pochłonąć. A jednak istota nie odrzuciła go, tylko ścisnęła w rękach, i nie wykonała najmniejszego ruchu w kierunku Katalin. Przez chwilę patrzyły na siebie – potwór i stara kobieta, która z trudem utrzymywała się na rozdygotanych nogach.

A potem pożeraczka odwróciła się i odeszła. Powoli, krok za krokiem, zmierzała w dół wzgórza, oddalając się od sadu i gospodarstwa, a tam, gdzie stawiała nogi, pozostawały ciemne plamy martwych traw.

I nie wróciła więcej.

* * *

Namiot komendanta Allarda pachniał dymem, potem i tłuszczem do nacierania skór. Zapach ten był tak znajomy i kojarzący się z bezpieczeństwem, że Norunn poczuła, jak opada z niej napięcie, a jego miejsce zajmuje obezwładniające zmęczenie. Z największym trudem zmusiła się do utrzymywania postawy na baczność i kontynuowania raportu.

– Dolina na zachodzie jest prawie całkiem martwa – powiedziała, starając się zachować obojętny ton. – Ponieważ osada została całkiem opuszczona, a Rozstaje znajdują się najwyraźniej za daleko, pożeracze nie wędrują na południe, tylko trzymają się doliny i uśmiercają wszystko, co znajdują. Niewiele tam zostało poza pyłem, kikutami drzew i zwierzęcymi szkieletami. – Urwała na chwilę, żeby odzyskać panowanie nad sobą. – Z tego powodu trudno rozdzielić ślady i ocenić, ile pożeraczy w tej chwili przebywa w dolinie. Sądzę, że co najmniej cztery.

– Rozumiem – mruknął komendant, odrywając wreszcie wzrok od czytanych dokumentów.

Pod przesywającym spojrzeniem jego jasnofioletowych oczu, oczu mieszańca, Norunn poczuła się niepewnie. Jak dziecko, które czuje, że zrobiło coś nie tak, tylko nie rozumie jeszcze co.

– Znowu odwiedzałaś to gospodarstwo, tak?

Dziewczyna przelknęła ślinę.

– Ostrzegalem cię, Norunn. Mówilem, żebyś się nie przywiązywała. To musiało się stać.

Strażniczka wzdrygnęła się jak uderzona.

– Nic się nie stało! – rzuciła, zanim zdążyła pomyśleć. – Nie miałeś racji. Ona wciąż żyje.

– Norunn...

– Powinieneś to zobaczyć! Dolina jak szare pustkowie, ale na jednym ze wzgórz wciąż zostało trochę trawy, a jabłonie nadal mają liście. A kiedy podjedzie się dostatecznie blisko, czuć zapach dymu, słyszeć beczenie kóz i stukot narzędzi. Ona siedzi przed domem, wyplatając kosz albo szyjąc, a u jej nóg leży biały owczarek. Kiedyś wybiegłby, żeby mnie oszczekać, ale teraz kuleje i...

– Norunn.

Zamilkła posłusznie, wciąż jednak drżała z emocji.

– Widzę, jak ci ciężko – Głos dowódcy brzmiał prawie łagodnie. – Nie byłaś gotowa. Rozumiem, że w ten sposób ci łatwiej. Ale nie jesteś już dzieckiem. Nie wolno ci szukać pocieszenia w zmyśleniach. Nawet tak pięknych jak ta historia.

Dziewczyna najpierw pobladła, a potem oblała się rumieńcem.

– Komendancie, ja nie...

– Dość już, Norunn. Jesteś strażniczką. Zobacysz jeszcze wiele śmierci. Pogódź się z tą, a potem rusz dalej.

Zamrugła szybko, jakby próbowała pozbyć się łez, zanim jeszcze napłynęły.

– Możesz odejść – rzekł ciężko Allard, już przebiegając wzrokiem kolejne papiery.

Dziewczyna zawahała się, po czym okręciła na pięcie, zapominając o salucie, i wypadła z namiotu. Komendant podniósł jeszcze oczy, by odprowadzić ją zatroskanym wzrokiem.

I zdążył zobaczyć, że w dłoni, którą przez cały czas chowała za plecami, Norunn ścisnęła jabłoniową gałązkę. Gałąź była już nieco zmarniała, ale wciąż trzymały się jej liście.

Paula Wanarska – rocznik 1995. Pochodzi z Gdańska, gdzie ukończyła bardzo nieciekawy kierunek studiów. Lubi dobrze zjeść, długo spać, układać puzzle oraz włóczyć się po górach i lasach. Za pisanie na poważnie wzięła się dopiero kilka lat temu, ale już nie wyobraża sobie, że mogłaby przestać. Debiutowała w „Nowej Fantastyce” opowiadaniem „Bohaterowie nie umierają nigdy” (NF 07/2019), opublikowała też opowiadanie „Ziemia potworów” (NF 12/2020).

Mamy tu rasowe teksty science fiction, fantasy, fantastykę orientalną, a także obyczajową. I nie umiałabym wybrać najlepszego z nich, bo wszystkie są po prostu wyśmienite. Aż trudno uwierzyć, że autorzy to członkowie sekcji literackiej, a nie starzy wyjadacze na rynku.

Magdalena Kucenty

Wydawca:



ISBN 978-83-931240-7-7



9 788393 124077 >

Patronaty:

MAGAZYN
BIAŁY KRUK

**Pokój
Geeka**



Fahrenheit
WWW.FAHRENHEIT.NET.PL



MAGAZYN KULTURY POPULARNEJ
esensja